

Colleen Thompson

Zderzenie

Przełożyła Ewa Spirydowicz

Dla Connie, z miłością i wdzięcznością

Rozdział 1

Zapytajcie kogo chcecie w służbie zdrowia – poczynając od sanitariuszy pogotowia, poprzez lekarzy i dyrektorów – a wszyscy, nawet personel medyczny małego szpitala na teksaskiej prowincji, przysięgną, że pełnia wywabia wariatów z ukrycia. Podobnie jak piątek trzynastego. Wypadki, napaści, próby samobójcze – nieważne, co mówią statystycy i sceptycy – najczęściej jest ich właśnie tego dnia. Co jakiś czas, piątek trzynastego i pełnia wypadają równocześnie. A wtedy naprawdę wszystko się może zdarzyć.

Jak choćby powrót znienawidzonego syna marnotrawnego wywołujący szok, który szybko zblednie w obliczu morderstwa, bezpowrotnie niweczącego poczucie bezpieczeństwa mieszkańców.

– Kocham cię jak siostrę, ale proszę, nie mów mi, którymi pacjentami mogę się zająć, a którymi nie – zawołała Beth Ann Decker od progu. Naciągnęła kurtkę na biały strój pielęgniarki i sięgnęła po torbę lekarską. W ultrakonserwatywnym hrabstwie Hatcher pacjenci oczekiwali, że pielęgniarka będzie wyglądała jak należy, nawet odwiedzając ich w domu.

Sheryl Riker zarumieniła się po korzonki jasnoblonde włosów i podniosła głowę nad stojącego pośrodku ciasnego gabinetu biurka zawalonego papierami. Beth Ann zauważyła, że przestawiła do kąta komputer, który pewnie znowu się zawiesił, i tym sposobem zrobiła miejsce na więcej dokumentów. W ciągu minionych lat dochody spadały jak samochód na łysych oponach po oblodzonej stromej szosie. Jednak nawet w najlepszych czasach program opieki domowej i hospicyjnej był nieudany dzieckiem systemu.

Krzesełko zaskrzypiało, gdy pulchna Sheryl wstała, chcąc dodać sobie powagi. Choć była szefową programu, nigdy sobie nie radziła z tą rolą.

– Posłuchaj, przykro mi, ale uważam, że nie powinnaś zajmować się akurat tym pacjentem. Zadzwońię po Vickie, odwołam jej urlop.

Beth Ann pokręciła głową.

– Nie możesz. Biedaczka od tyłu miesięcy marzy o rejsie z okazji rocznicy ślubu! A zresztą, kiedy ostatnio miała dwa tygodnie wolnego?

Sheryl zmarszczyła brwi, wskutek czego stała się bardzo podobna do matki. Odkąd jesienią tego roku skończyła czterdzieści lat, zaczęła się bać, że skończy z twarzą pooraną zmarszczkami i z tego powodu marszczyła się jeszcze bardziej.

– Gdybyśmy mieli kogoś innego...

Nie było sensu analizować tego od nowa. Emmaline Stutz przebywała na zwolnieniu w związku z chorobą kręgosłupa, a wobec niemożności przyjęcia nowych pielęgniarek, nie miały nikogo innego do dyspozycji – i obie o tym wiedziały.

Sheryl potrząsnęła głową. W jej orzechowych oczach malowała się troska.

– Nie możesz iść tam sama. W tamtym wypadku zginęła córka Hirma Jessupa. A jego syn... sama wiesz, co się stało z Markiem.

– Do licha! Trzy lata spędziłam w szpitalach i sanatoriach. Myślisz, że zapomniałam? –

Dlaczego ludzie przypominają jej o tym na każdym kroku? Na widok smutnej miny przyjaciółki, Beth Ann dodała: – Daj spokój, Sheryl. Minęło szesnaście lat. Pan Jessup i ja pogodziliśmy się dawno temu.

Nigdy szczerze nie porozmawiali, ale przynajmniej Hiram nie wybiegał ostentacyjnie ze sklepu, jeśli się tam spotkali, i uprzejmie kiwał jej głową w kościele, gdzie się widywali na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

– A proces?

Beth Ann wzruszyła ramionami.

– To sprawa między nim a moją mamą. Mnie to nie dotyczy.

Nie do końca prawda, bo matka poszła do sądu z powodu obrażeń Beth Ann – czy raczej astronomicznych rachunków za operacje i rehabilitację.

– Może sama powinnam się nim zająć... przypomnieć sobie, jak wygląda praca w terenie.

– Sheryl dotknęła złotego krzyżyka wpiętego w klapę zakietu. Kiedyś wyznała Beth Ann, że zgodziła się zostać szefową programu, co łączyło się z mnóstwem niewygód i długimi godzinami pracy, tylko dlatego, że chciała nosić normalne ubrania. Uważała, że w stroju pielęgniarki ma tyłek tak wielki jak tył szkolnego autobusu.

– Kiedy po raz ostatni osobiście zajmowałaś się pacjentem? – zainteresowała się Beth Ann. Założyła ręce na piersi i przy okazji uderzyła łaskawie framugę drzwi. Łaską, która ani jej, ani nikomu w miasteczku nie pozwalała zapomnieć o tamtym wydarzeniu.

– Kiedy Emmaline poszła na zwolnienie, sama przyjechałam pana Jessupa. Sama załatwiłam całą robotę papierkową...

– Robotę papierkową... – Beth Ann pokręciła głową. – Pozwól mi się nim zająć.

– Dlaczego sama sobie to robisz? Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – Sheryl nie mogła się nadziwić.

– Bo od szesnastu lat toczę daremną walkę, by przekonać wszystkich w hrabstwie Hatcher, że nie jestem ofiarą losu. Mam tego dosyć, Sheryl, wkurza mnie, że moja matka ma ciekawsze życie towarzyskie niż ja – a przecież jej nikt tu nie lubi. Jeśli nie udowodnię, że jestem profesjonalistką, która patrzy w przyszłość, a nie w przeszłość, zabiorę się stąd i zacznę nowe życie gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nikt nie słyszał o drużynie Czerwonych Sokółów i wypadku samochodowym sprzed lat.

Sheryl westchnęła i opadła z powrotem na krzesło, które zatrzeszczało na znak protestu.

– I myślisz, że opieka nad Hiramem Jessupem udowodni wszystkim, że wzięłaś się w garść?

– Udowodni to mnie samej – odparła spokojnie, zawstydzona niedawnym wybuchem. Zanosilo się na niego od miesięcy. Odkąd zamieszkała z matką w nowym domu, znanym jako Wielki Fart na cześć zeszlórocznego uśmiechu losu, dużo myślała o swoim życiu. Miała nadzieję, że nie jest za późno, żeby je jakoś ułożyć. – Może właśnie tego mi potrzeba.

Sheryl zerknęła na kalendarz z wersami z Biblii, stojący na biurku, zerwała wczorajszą kartkę i ich oczom ukazała się wielka czarna liczba „13” między słowami: „piątek” i „październik”. Sheryl spojrzała na, przyjaciółkę.

– Jesteś tego pewna?

Beth Ann skinęła głową. Co ją obchodzą głupie przesady? Przez okrągły rok styka się ze śmiercią i ostatnio doszła do wniosku, że jedynym prawdziwym nieszczęściem jest nieumiejętność korzystania z życia.

Sheryl skinęła głową.

– Dobrze, jeśli sama tego chcesz, ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Moja siostra domyśliła się, że Hirma Jessupa obejmie program hospicjum domowego. I zanim uraczysz mnie wykładem o poufności danych, uprzedzam, że nie pisałam ani słowa. Widziała mój samochód przed jego domem, a potem rozmawiała z Normą Nederhoffer, która przepisuje dane dla lekarzy. Norma nie pisała słówka, ale ona ma takie smutne spojrzenie.

Beth Ann zrozumiała. W Eudenie, miasteczku liczącym zaledwie cztery tysiące mieszkańców, smutne spojrzenie Normy Nederhoffer w połączeniu z faktem, że samochód pracownicy hospicjum stał przed czyimś domem, nabierał wielkiego znaczenia. Zresztą Aimee, młodsza siostra Sheryl, obecnie Aimee Gustavsen – była znaną plotkarą; odkąd Beth Ann poznała ją w przedszkolu, rozsiewała plotki szybciej, niż wiatr na prerii roznosi pył.

– Wiesz, jaka ostatnio jest Aimee – ciągnęła Sheryl. – Rozczarowała się małżeństwem.

Trzydziestotrzyletnia Aimee, rówieśniczka Beth Ann, dawna miss szkoły, była już w drugim związku. Podobnie jak siostra, wybrała tym razem policjanta, choć potężny jasnowłosy Ted Gustavsen był młodszy i przystojniejszy do Pete'a Sheryl. Jednak nawet przy nim nie mogła zapomnieć tych dni, gdy flirtowała ze wszystkimi chłopakami, których tak bardzo nie lubili jej surowi rodzice, baptyści. Mark Jessup znajdował się wśród nich na pierwszym miejscu.

– Zadzwoiła do niego, tak? Powiedziała mu, że jego ojciec jest chory?

Sheryl skinęła głową, nerwowo bawiąc się obrączką.

– Znasz Aimee. Kiedy uznała, że obowiązkiem Marka jest wrócić do domu, nic nie mogło jej powstrzymać. Kilka dni temu w Internecie znalazła numer telefonu jego firmy w Pittsburgu... – Skrzywiła się z dezaprobatą. – A potem, bezczelna smarkula, zadzwoniła do niego i oznajmiła, że musi wracać do domu i zająć się ojcem. Beth Ann pokręciła głową.

– Mark Jessup nie wróci po tym, jak ojciec zostawił go własnemu losowi. Zresztą tutejszym nie zaimponuje bogactwem. Zawsze będą w nim widzieli zabójcę trzech cheerleaderek, po jednej na każdy rok, który spędził w więzieniu. – Zastanowiła się chwilę. – A zaraz potem pomyślała o biednej Beth Ann. Trudno. Sama go zabije, jeśli nie będzie miał dość rozumu i naprawdę tu przyjedzie.

Mniej więcej godzinę później Beth Ann ze zdumieniem stwierdziła, że naprawdę ma ochotę go zamordować.

Dawniej nie wahałaby się pociągnąć za spust, gdyby od tego zależało życie jej samej czyjej mamy – choć niejeden mieszkaniec Eudeny dziwiłby się temu ostatniemu. Teraz, gdy widziała śmierć tylu pacjentów, nie wyobrażała sobie zabójstwa z zimną krwią.

Przynajmniej dopóki nie zobaczyła wielkiego forda pikapa na podjeździe przed otoczonym krzewami domkiem na ulicy Zaginionego Bizona. Zacisnęła dłonie na kierownicy i oddychała głęboko.

– Niemożliwe, żeby to był ten sam pikap – tłumaczyła sobie. – Niemożliwe, do cholery! Podobnie jak błyszczące czarne camaro, którym jechała tamtego feralnego wieczora, pikap z jej wspomnień musiał już dawno trafić na złomowisko Culpeppera. W związku z pracą jeździła po całym hrabstwie, ale zawsze celowo nadkładała drogi, byle omijać tamten odcinek szosy i ulicę Mustanga.

A przecież wystarczyło spojrzeć w lustro, by wszystko sobie przypomnieć.

Odzyskała ostrość widzenia i zauważyła, że pikap jest granatowy, ma chromowane felgi i eleganckie zderzaki. To samochód o wiele nowszy i droższy niż tamten sprzed szesnastu lat. A jednak i tablica rejestracyjna z numerami z Pensylwanii przemawiała za tym, że to jego wóz.

Bezczelny drań Mark Jessup, Jess dla przyjaciół, w czasach gdy jeszcze ich miał.

Mógł przecież zatrudnić kilka pielęgniarek, by wspierały pracowników socjalnych przysyłanych przez hrabstwo. Tak postępowała większość mężczyzn, gdy śmiertelna choroba rodziców zakłócała im życie z dala od miasteczka. Kobiety wracały, zmieniały się w kłębki nerwów, usiłując nianńczyć własne dzieci i chorych rodziców, ale mężczyźni... Beth Ann przemknęło przez myśl, czy aby na lekcjach wychowania technicznego chłopcy nie wykuwają sobie zbroi, która nie dopuszcza wyrzutów sumienia.

Jednak zbroja Marka Jessupa najwyraźniej nie jest doskonała. Może pęknięcia powstały po tym, co zrobił swojej siostrze Jordan?

Ledwie pojawiła się ta myśl, Beth Ann zaczęła rozważać, czy nie docisnąć gazu do dechy w starym, zardzewiałym subaru, tyleż wiekowym, co niezniszczalnym – i nie przejechać obok domu Hirma Jessupa. Kiedy już będzie w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem jego wzroku – a to niełatwe, zważywszy na krajobraz płaski jak deska i bezchmurne kobaltowe niebo – zadzwoni do staruszka i powie, że zepsuł się jej samochód. Każdy, kto go widział, uwierzy bez zastrzeżeń.

A potem zadzwoni do Sheryl i powie, że może jednak czas, by ta odświeżyła swoje umiejętności zawodowe.

Zawahała się jednak, bo wiedziała, że prędzej czy później szefowa wspomni o tym swej młodszej siostrze. – Aimee dowie się, że Beth Ann stchórzyła. I plotka rozejdzie się echem po całym hrabstwie.

Zacisnęła zęby, niemal słysząc wymieniane półgłosem uwagi: „Wiesz, co się stało z biedną Beth Ann? Lepiej byłoby, żeby dostała w głowę łomem, niż żeby on tak się pojawił jak grom z jasnego nieba. Zawsze same kłopoty z tym chłopakiem Jessupów. Gorszy niż wściekły kojot, ot co”.

Spotkanie oko w oko z Markiem Jessupem nie jest aż tak straszne jak utrata szacunku ludzi w Eudenie. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ona: kobiety po trzydziestce, która woli ułatwiać śmiertelnie chorym przejście na tamtą stronę, niż rodzić własne dzieci. Kobieta, którą kiedyś wyciągnięto żywą ze zdruzgotanego chevroleta pełnego martwych cheerleaderek.

Nie wiadomo, czy Beth Ann weszłaby do środka, czy jednak stchórzyłaby i pomknęła na północ, do Oklahomy, w nieznaną. Nigdy nie poznała odpowiedzi na to pytanie, bo w tym

momencie otworzyły się drzwi i na drewnianym ganku pojawił się mężczyzna.

Właśnie mężczyzna, nie chłopiec, ale wciąż niezwykle przystojny.

Beth Ann czuła, jak jej żołądek się kurczy, jak powietrze ucieka z płuc. Rozpoznała go po tylu latach, choć dawny olśniewający uśmiech zdobywcy świata ustąpił minie tak smutnej i poważnej, że trudno było uwierzyć, iż to ten sam człowiek.

Słyszała, że niektórzy bardzo się zmieniają w więzieniu.

Dostrzegła też inne zmiany. Włosy mu ściemniały. Były gęste, faliste i trochę za długie. Niechętnie przyznała, że to do niego pasuje, podobnie jak sprane dżinsy i kurtka, narzucona na brązowy sweter. Na jego policzkach ciemniał zarost, jakby przegapił kilka randek z żyletką. Nic dziwnego, musiał gnać jak na skrzydłach, skoro dotarł tu tak szybko po rozmowie z Aimee.

Beth Ann uznała, że to o niczym nie świadczy. Tylko udaje troskliwego syna, chce zamydlić oczy mieszkańcom Eudeny, wmówić im, że wcale nie jest potworem.

Co za bezczelność, wiadomo przecież, co ludzie o nim myślą. Gdyby nie miała tylu powodów, by go nienawidzić, właściwie podziwiałaby jego odwagę.

Skręcała na podjazd. Chyba jej nie zauważył. Otworzył drzwiczki samochodu i wyjął walizkę z tylnego siedzenia. Dużą walizkę i torbę podróżną, jakby zamierzał tu zostać na dłużej.

Jakby miał do tego prawo.

Oczywiście, że ma. To jedyny bliski chorego. Tylko ojciec może kazać mu odejść. I Hiram już to kiedyś zrobił, ze względu na Jordan. Może teraz postąpi podobnie, chociaż stoi nad grobem.

Z czystego egoizmu miała nadzieję, że tak się właśnie stanie. Wsiadła z samochodu.

Zawahała się, wyjmując torbę lekarską, obok której leżała laska. Przez chwilę kusilo ją, by pójść do domu o własnych siłach. Na ułamek sekundy odżyła w niej próżność matki – nie chciała, by litowano się nad nią.

Beth Ann nagle poczuła przyływ gniewu. Co ją obchodzi ten były więzień? Dopiero będzie wyglądała, jeśli przewróci się na schodach, idąc bez laski.

Nie zamknęła drzwiczek – i tak będzie musiała wrócić po resztę rzeczy. Nagle usłyszała chrzęst żwiru i kroki za sobą.

– Czy mogę pani po...

Urwał, kiedy się odwróciła. Poczula złośliwą satysfakcję, widząc, jak cała krew odpływa mu z twarzy.

– Beth Ann, ty... – zaczął, ale nie wydusił z siebie niczego więcej. Jego walizka z głuchym łoskotem wylądowała na ziemi.

Uśmiechnęła się z trudem. A przynajmniej miała nadzieję, że jej grymas przypomina uśmiech.

„Jesteś profesjonalistką – upomniała się. – Najlepszą z roku na uniwersytecie Midwestern”.

Oparła laskę o zderzak i wyciągnęła rękę.

– Nadal nazywam się Decker. Jestem pielęgniarką z hospicjum i mam się zajmować

panem Jessupem.

Zanim ujął jej rękę, przyglądał się jej odrobinę za długo. Domyśliła się, że szuka śladów wypadku, oznak katastrofy, która obojgu zniszczyła życie.

Chłodny powiew wiatru zaszeleścił liśćmi samotnego dębu na podwórzu, przemknął po trawie dawnych ziem Jessupów po drugiej stronie drogi, zagwizdał wśród trzech szybów naftowych, zerwał płaty farby ze starego domu i zabudowań gospodarczych.

Beth Ann patrzyła Markowi prosto w oczy. Ciekawe, czy coś powie o jej zrekonstruowanym nosie i kościach policzkowych. Wyglądały dobrze, wszyscy jej to mówili, niemal niewidoczne blizny nikły zupełnie pod makijażem, jednak jej rysy nie były takie same jak przed wypadkiem. Już nigdy nie odzyska dawnej twarzy, zdrowego kręgosłupa, władzy w lewej nodze, nienaruszonej miednicy. W porównaniu z nią jedyna blizna, jaką dostrzegła na jego twarzy – dwucentymetrowa czerwona kreska pod lewym okiem – to nic takiego; ot, przypomnienie od losu, by nie zapomniał, co zrobił.

– A on... – Mark się zawahał, najwyraźniej szukał odpowiednich słów. – A on nie ma nic przeciwko temu, że tu przychodzisz?

– Nie będzie miał – odparła krótko. Hiram nigdy nie poruszał z nią drażliwego tematu, nie wspominał, że to ona powiedziała do jego córki: „Pospiesz się, bo inaczej pojedziemy bez ciebie”. Szesnastoletnia Jordan okropnie się bała, jak wszystkie nieśmiałe dziewczęta, że straci swoje miejsce w grupie. Nawet dziś, po tylu latach, Beth Ann widziała, jak macha ojcu na pożegnanie, zamiast go pocałować.

Beth Ann w kółko analizowała w myślach tę scenę, bo była ostatnią, jaką wyraźnie zapamiętała sprzed wypadku.

– Twój ociec to wielkoduszny człowiek – odparła. – Nigdy mnie o nic nie obwiniął.

– Niby dlaczego miałby to robić, skoro ma mnie?

Odwróciła głowę, poruszona jego rozpaczą. Szukała pocieszenia w widoku szybu naftowego, jedyne, który jeszcze pracował. Fachowcy nazywali takie szyby komarami – wysysały życie i pieniądze z prerii.

Lecz odwierty wysychały w całym hrabstwie. Mama mądrze postąpiła, domagając się pieniędzy, a nie udziałów w wydobywaniu ropy. Jednak te pieniądze zniknęły bez śladu, wydane na opłacenie szpitalnych rachunków Beth Ann. Dobrze, że wycieczka do kasyna pozwoliła Lilly zdobyć prawdziwą fortunę.

– Wejdźmy do środka. – Beth Ann odgarnęła z oczu rudawe kosmyki. Gdy miała rozpuszczone włosy, opadały miękką falą do połowy pleców. Włosy to jej największy skarb, zapewniali wszyscy. Rano je upięła, ale preriowy wiatr nieustępliwie wyciągał kolejne kosmyki spod spinki. Na pewno ma czerwony nos. Musi poszukać chusteczki.

Pomyślała, że wygląda okropnie. Ale zaraz się skarciła: nie jest rozkapryszoną laleczką, jak mama, tylko pielęgniarką. Przyjechała tu w sprawach służbowych.

I pokaże wszystkim, jaka z niej profesjonalistka, nawet jeśli jej pacjentem jest Hiram Jessup. Zrobi to dla Larindy, Heidi, dla Jordan... ale przede wszystkim dla siebie.

Rosario Gutierrez miała klucze do białego domu, zwanego Wielki Fart na cześć dnia, w

którym Lilly Decker weszła do kasyna w Oklahomie, żeby się zabawić, a wyszła zgarnawszy najwyższą wygraną w historii stanu. Mimo to kolejny raz zadzwoniła do drzwi i czekała.

Zapukała – bez skutku. Ciągle jednak wahała się czy użyć klucza. Córka *señory*, biedna Beth Ann, nawet nie podejrzewa, że jej *madre* ma kochankę. Może nawet dwóch. Rosario była zbyt dyskretna, by o tym mówić. Ale co tam dyskrecja; w czerwcu Rosario przeżyła największy szok w swoim życiu, gdy poszła z mopem do wielkiej, nowoczesnej kuchni.

Do dzisiaj nie mogła zapomnieć o tym, że widziała ich wtedy na granitowym kuchennym blacie. I żeby Lilly Decker w takim wieku... *Hijole!* Kto by to pomyślał? Więc to z tego powodu, a nie dla samej figury, bezwstydnica kazała sobie zrobić nowe *chichis*.

Nadal cisza. Rosario rozcierała zmarznięte ręce, zastanawiając się czy nie wrócić do domu. Jej córka Carmelita właśnie przyjechała z małym dzieckiem! Jednak traktowała swoje obowiązki bardzo poważnie, więc obeszła dom i zajrzała przez okno do garażu. Nowiutki srebrzysty mercedes *señory* stał na swoim miejscu, natomiast nie było wozu Beth Ann.

Rosario skinęła głową, zadowolona, że dzisiaj żaden obcy wóz nie, zajmuje miejsca samochodu Beth Ann. Może po tylu miesiącach sąsiedzi wybaczyli *señorze* budowę zamczyska, przy którym ich domy wydały się żałośnie małe. Rosario uśmiechnęła się na myśl o blond paniusiach w salonie. Pewnie zajadają miniaturowe kanapeczki i elegancko odstawiają mały paluszek.

Wyjęła klucze z kieszeni, pewna, że teraz może spokojnie wejść.

Mylili się. Bo to, co zobaczyła, okazało się o wiele gorsze niż para kochanków na granitowym blacie w upalny lipcowy poranek.

Rozdział 2

Mark wziął jedną z jej toreb.

– Masz rację. Chodźmy do środka. Robi się coraz zimniej.

Czuł dreszcze. Po ponad dwudziestogodzinnej podróży miał przekrwione oczy i nerwy napięte jak postronki, na co złożyły się: nadmiar kofeiny, zmęczenie i szok po wiadomości otrzymanej trzy dni temu. Może komuś innemu przyznałby się do zmęczenia podróżą.

Ale to Beth Ann Decker, a wobec niej może tylko zastosować więzienną sztuczkę – ukrywanie emocji.

W rzeczywistości niemal nie czuł chłodnego wiatru, może dlatego, że od lat nie mieszkał już na słonecznym południu, lecz na śnieżnej północy. A może dlatego, że nadal nie otrząsnął się z wrażenia, jakie na nim zrobił widok ojca, zmienionego chorobą i wiekiem.

– Niepotrzebnie przyjechałeś – obojętnie powitał go Hiram Jessup, ubrany w sfatygowane szlafrok i piżamę, które zapewne pamiętały czasy Reagana. – Hrabstwo się mną opiekuje. Kościół też pomaga, chociaż rzadko tam bywam.

Tylko tyle powiedział po niemal szesnastoletnim rozstaniu. I nawet nie spojrzał na to, co syn trzymał w ramionach. Mark skrzywił się i ułożył śpiącego chłopca na starej narzucie, którą rodzice kupili, gdy był mały. Pocałował Elięgo w policzek i otulił zielonym kocem, a potem poszedł po walizki.

Właśnie wtedy spotkał jedyną żyjącą przyjaciółkę Jordan, Beth Ann Decker...

Kiedy zatrzasnęła drzwi samochodu, zwrócił uwagę na pewne zmiany. Tak jak się spodziewał, jej twarz wyglądała inaczej, dostrzegł też małe blizny pod makijażem. Nie była gruba, ale na pewno przybyła na wadze od czasu, gdy jej pragnął. Miała na sobie uniform pielęgniarki i beżowy żakiet, a nie skąpy strój cheerleaderki z jego dawnych wspomnień, ale coś mu mówiło, że zaokrągliła się tam, gdzie trzeba, że jej piersi kusząco przechodzą w wąską talię, a potem...

Przerażony, zdusił te myśli w zarodku. Nie obchodzą go kształty Beth Ann, najważniejsze jest to, że dojrzała. W jego wspomnieniach wszystkie cztery, łącznie z tą, która przeżyła, pozostały na zawsze kilkunastoletnimi dziewczętami.

Beth Ann czekała z laską w dłoni i coś w jej oczach, nadal tak niebieskich, jak w jego wspomnieniach, zdradziło, że nie chce, by widział, jak idzie. Że czeka, żeby on poszedł przodem. Przytrzymał jej drzwi, poczuł zapach szamponu i wtedy wróciła dawna obsesja na temat jej włosów; kiedyś godzinami się zastanawiał, czy bardziej przypominają kolorem sierść setera irlandzkiego czy może kasztanowego konia. Zapewne nie przypadłoby jej do gustu żadne z tych porównań. Beth Ann zawsze dawała wszystkim jasno do zrozumienia, że wybiera się tam, gdzie chłopak po kolana umazany błotem i końskim łajnem nie ma czego szukać.

Zabawne, jak życie zakpiło z ich planów. I pchnęło jego młodszą siostrzyczkę do grobu.

Zaciągnięte kotary spowijały dom półmrokiem. Mark odstawił walizkę i wraz z Beth Ann

ruszył do salonu, kierując się blaskiem telewizora. Ojciec oglądał kanał reklamowy, albo przynajmniej udawał, że to robi. Na ekranie jakaś lalunia przeżywała ekstazę na widok kuchenki. Ojciec ukrył lewą dłoń pod udem, ale Mark i tak zdążył zauważyć, że nie ma kciuka.

Kiedy minął pierwszy szok, przyjrzał mu się uważnie. Zdziwiał, że ojciec, taki wielki i dominujący we wspomnieniach, okazał się tak mały i kruchy. Włosy, dawniej bujne, lekko tylko przyprószone siwizną na skroniach, teraz odsłaniały niekształtną czaszkę, pokrytą plamami. W obcej, skurczonej twarzy dominowały wyłupiaste oczy, wielki nos i odstające uszy. Gdyby nie ten dom, nie ten fotel, nie rozpoznałby ojca.

Markowi przemknęła przez głowę bolesna myśl, że zapewne i mama tak się zmieniła przed śmiercią. Po raz pierwszy pomyślał, że może to dobrze, że był wówczas za kratami.

Spojrzał na Beth Ann i zapytał:

– Gdzie mam to postawić?

Wskazała niski stolik i zwróciła się do ojca:

– Jak się pan dzisiaj czuje, panie Jessup?

Nie odpowiedział, więc wzięła pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze. Zapaliła nocną lampkę i pokój pogrążył się w złocistym świetle.

– Dzień dobry, panie Jessup. Chciałam zobaczyć, jak się pan czuje... I muszę zmierzyć panu ciśnienie.

– Słuchałem tej audycji – odpowiedział niezadowolony Hiram, a Mark pomyślał, że zachowuje się jak Eli, gdy odrywa się go od kreskówki.

Ale teraz malec spał jak zabity, zmęczony długą podróżą, podczas której oglądał nowe krajobrazy i jadł w zakazanych na co dzień barach szybkiej obsługi. Ojciec Marka wreszcie zauważył owinięte w koczek dziecko.

– Co to ma być, do cholery? – zapytał, patrząc na syna.

– Mały chłopczyk. Prawie pięcioletni – odparł Mark, celowo ignorując zaskoczenie ojca.

Hiram się zachnął.

– Wygląda mi na... Cholera jasna... Ten dzieciak jak nic wygląda mi na cza...

– Na Jessupa. – Mark zmrużył oczy, odruchowo zacisnął pięść. – To mój syn, a twój wnuk. I nie waż się wypowiedzieć słowa, które miałeś na końcu języka. Ani innych jemu podobnych.

Beth Ann wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. A potem uśmiechnęła się do malca i w jej niebieskich oczach pojawiało się prawdziwe uczucie.

– Jaki śliczny – powiedziała. – Ma takie miękkie włosy i długie rzęsy... Dziewczyny mogą mu tego pozazdrościć.

Mark był jej wdzięczny za ciepłe słowa i za troskliwość wobec ojca. Pytała go o samopoczucie, ciśnienie, czy zażywa lekarstwa, mierzyła mu ciśnienie.

Tym samym dawała Hiramowi czas, by pogodził się z istnieniem wnuczka – Mulata w świecie, gdzie jedyni Azjaci prowadzili chińską knajpkę, a czarni Amerykanie byli taką rzadkością jak UFO.

Posterunkowy Damon Stillwater zaczynał służbę dopiero za trzy godziny, ale gdy w radiu rozległo się wezwanie, natychmiast pobiegł do pralni, żeby sprawdzić, czy mama już uprała mu mundur.

Owszem, uprała, ale jeszcze nie przypięła odznaki i numeru identyfikacyjnego. Może bolały ją dzisiaj ręce, jak często przy takiej pogodzie.

Przyczepiając odznakę, skaleczył się w palec i poplamiał koszulę krwią.

– Jezu Chryste! – mruknął, wkładając koszulę i zapinając guziki.

– Damon! – zawołała z kuchni matka. Nie pozwalała nadużywać imienia Bożego. Nawet w najgorsze dni miała słuch jak nietoperz.

– To morderstwo, mamó! – Czuł, jak z podniecenia czerwienieją mu uszy, a głos podnosi się o oktawę. – Moje pierwsze prawdziwe morderstwo.

– Morderstwo? W Eudenie nie zdarzają się takie rzeczy. Pewnie w drugim krańcu hrabstwa, w obozowisku Meksykanów?

– Nie, tu u nas, w Eudenie – zapewnił Damon. – Pierwsze od... sam nie wiem, od jak dawna.

Matka wyszła z kuchni. Wąskie okulary zjechały niebezpiecznie nisko na czubek nosa, platynowe włosy nie śmiały wymknąć się z nieskazitelnie ułożonego hełmu, który robiła na głowie niezmiennie od balu maturalnego. Choć gościec czasami tak dawał się jej we znaki, że nie była w stanie utrzymać się na nogach, nigdy nie odwołała piątkowej wizyty w salonie piękności Margie.

– Trzydzieści lat temu popełniono tu morderstwo, przypominam sobie. Jacyś włóczędzy z północy. Bójka na noże w niedzielę świętą, wyobrażasz sobie? I hazard!

Cmoknęła językiem na znak dezaprobaty, ale Damon tylko wzruszył ramionami. Wszystko, co miało miejsce przed jego urodzeniem, równie dobrze mogło się wydarzyć w czasach pierwszych osadników. Najważniejsze, że dzisiaj dołączy do pierwszej ligi, będzie jak faceci z serialu *CSI*, który oglądał z zapartym tchem. Odkąd nauczył się obsługiwać pilota, z wielką uwagą oglądał seriale policyjne. A z niektórych spraw na kanale sądowym robił nawet notatki.

– Synu, nie zapomnij pasa! I wsadź sobie koszulę do spodni! – upomniała.

Czasami matka zapomina, że jest już dorosły, nosi broń i aresztuje pijaków. Od sześciu miesięcy pracuje w policji, ale rodzice i siostra ciągle traktują go jak smarkacza. A szeryf Morrell zwraca się do niego per Dzieciak, jakby imię Damon nie było wystarczająco dobre.

Wszystko to się zmieni, gdy rozwiąże pierwszą sprawę o morderstwo. Oczywiście nie liczył, że będzie ich o wiele więcej. Ale trochę może być, pod warunkiem, że śmierć nie zabierze jego krewnych ani członków kongregacji.

– Wiesz, kogo zabito? – W głosie mamy pojawiła się nuta niepokoju.

Damon przecząco pokręcił głową i palcami przeczesał króciutkie jasne włosy. Szeryf Morrell chciał, by jego ludzie świecili przykładem dla młodzieży w miasteczku.

– Nie, proszę mamy. Podali tylko adres, gdzieś nad stawem.

– Ho, ho! – Mama cmoknęła, jak zawsze, gdy była mowa o, jak ich określała, snobach znad stawu. Mieszkali tam dwaj lekarze z Eudeny, miejscowy sędzia i szczęściarze, którzy w

odpowiedniej chwili zainwestowali we właściwy interes. No i ta milionerka, Lilly Decker. Oczywiście wszyscy uważali, że Beth Ann, taka dobra dla ciotki Estelle, gdy ta zachorowała, to istny anioł na ziemi, mimo bardzo rzadkiej obecności w kościele, ale dowodzi to tylko, że czasami jednak jabłko pada daleko od jabłoni. I toczy się pod górę, jak w tym wypadku.

– Zadzwoń, gdyby się okazało, że to ktoś znajomy, bo muszę się zabrać za zapiekanek – mruknęła mama bez przekonania. Stillwaterowie, właściciele ostatniego w Eudenie sklepu z artykułami żelaznymi, nie obracali się w tych samych kręgach społecznych, co snoby z nad stawu.

Damon niemal słyszał, jak mama narzeka, że zarozumiałe baby kręcą nosem na pyszną zapiekanek z kartofli i tuńczyka. Ponieważ nie cierpiał tego świństwa, uznał, że ma coś wspólnego z bogaczami. Kiedy rozwiąże zagadkę morderstwa jednego z nich, kto wie, dokąd go zaprowadzi dobry gust i talent detektywistyczny.

Podkscytowany, snuł marzenia o przyszłości przez całą drogę na miejsce zbrodni, mknąc starym ffordem, prezentem od ojca, po głównych ulicach Eudeny. Znalazł miejsce zbrodni bez trudu, bo stały tam dwa wozy patrolowe i karetka pogotowia. Właśnie ona przyciągała najwięcej gapiów, ciekawych, tak jak Damon, kto padł ofiarą zbrodni. Przed największym domem na ulicy, budowlą znaną jako Szczęśliwy Traf, zgromadził się tłum ludzi.

– Muszę porozmawiać z Markiem na temat pańskiego zdrowia – oznajmiła Beth Ann, gdy skończyła badać Hiram Jessupa. Hiram milczał, póki Mark nie wyniósł chłopczyka do pokoju gościnnego, gdzie przebrał go w piżamkę i pościelił łóżko.

– Nie zapraszałem go tutaj – powiedział. – Wcale nie chciałem, żeby się dowiedział o mojej chorobie. Ciekawe, co za wścibski dureń uznał, że jego obowiązkiem jest go zawiadomić.

Beth Ann pomyślała, że nie ma sensu zdradzać winowajczyni. Tylko katastrofa nuklearna zdoła powstrzymać Aimee Gustavsen, gdy raz podejmie decyzję.

– Pański syn wrócił i nic tego nie zmieni. Rysy starego człowieka wykrzywiła nienawiść.

– Powinna tu być Jordan albo jej matka. To on je zabił, zabił je obie. Mieszkańcy hrabstwa Hatcher uznali jednomyślnie, że to strata córki wpędziła Letty Jessup do grobu. Mimo że lekarze mówili o niewydolności nerek, ludzie i tak wiedzieli swoje. Ojciec Beth Ann także umarł osiem miesięcy po wypadku. Choć od dawna chorował na serce, również jego wpisano na listę ofiar Marka.

– Panie Jessup, mogłabym posłać po duchownego albo pracownika opieki społecznej, żeby to panu powiedział, ale spróbuję zrobić to sama.

Przyglądał się jej czujnie.

– Mark i jego synek to wszystko, co panu zostało. Chyba że woli pan umierać wśród obcych. Albo, jeszcze gorzej, w samotności.

Tykanie staroświeckiego zegara wypełniało zagracony pokój, któremu przydałoby się malowanie. W końcu starzec wyciągnął zdrową dłoń po pilota. Zanim ponownie włączył dźwięk, mruknął:

– Powiedz mu, co chcesz. Ale ja już umarłem w samotności. Szesnaście lat temu, jak ty.

Wstrząsnął nią niemy protest. Gdy usłyszała kroki Marka w korytarzu, odwróciła się i skinęła głową w stronę kuchni na znak, że tam się spotkają.

Żadne z nich nie usiadło, choć dokoła stołu czekały cztery krzesła. Pamiątka po rodzinie, której już nie ma.

– Obudził się, kiedy go niosłeś? – zapytała. Mark pokręcił głową.

– Na chwilę, ale zaraz znowu zasnął.

– Jak ma na imię? – Dziwiła ją własna ciekawość. Myślała, że będzie czuła do Marka tylko nienawiść. Tymczasem przeszłość w dziwaczny sposób połączyła ich losy; tylko oni przeżyli.

– Eli... właściwie Elijah. Jego matka... to wspaniała kobieta, bardzo mądra, dowcipna, piękna... ale już nie jesteśmy razem. A kiedy zaczęła studia medyczne w Ohio, uznaliśmy, że małemu będzie lepiej ze mną.

Studia medyczne. Początkowe zaskoczenie przerodziło się w zazdrość, jakby tamta kobieta ukradła jej życie, jej marzenia. Mark wzruszył ramionami.

– Cieszę się, że w końcu tak się ułożyło. Nadal jesteśmy z Rachel w dobrych stosunkach, a za małym po prostu szaleję.

Nie wiedziała, jak skomentować takie wyznanie. Czy chce ją przekonać, że po wypadku jego życie nabrało sensu? A może liczy na to, że wizerunek dobrego syna i troskliwego ojca przysporzy mu punktów w ostatecznym rozliczeniu?

Nie powie mu, że jego olśniewający uśmiech i udawana troska nie wynagrodzą trzech śmierci, jej kalectwa i zniweczonych planów.

Zdecydowała, że czas wrócić do głównego tematu.

– Twój ojciec zgodził się, żebyś udzieliła ci informacji na temat jego stanu zdrowia.

Na twarzy Marka pojawiło się zdumienie. Może sądził, że Hiram zechce go wyrzucić? A może usłyszał chłód w jej głosie?

– Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę na jego lewą dłoń – zaczęła.

– Tak. Co się stało z kciukiem?

– Nowotwór złośliwy, czerniak, pod paznokciem. To bardzo rzadka lokalizacja. Kiedy w końcu zgłosił się do lekarza, uznali, że to tylko grzybica. Ale i tak było już za późno.

– Więc amputowali mu palec – domyślił się. – A potem się okazało, że i tak są przerzuty? Skinęła głową.

– Ta forma nowotworu często atakuje mózg. Tak właśnie się stało w jego przypadku. Pojechał do Wichita Falls, ale leczenie nie przynosiło rezultatów, więc je przerwał.

Mark wydawał się załamany.

– Ile... ile zostało mu czasu?

Domyśliła się, że chce wiedzieć, kiedy będzie mógł wrócić do normalnego życia, do firmy, którą zbudował na zgłiszczach. Czytała o niej w Internecie. Aimee przesłała jej linka.

– Żeby się zakwalifikować do programu hospicyjnego, chory musi mieć przed sobą nie więcej niż sześć miesięcy życia. – Z trudem zachowała spokojny ton głosu. – Ale wszystko się może zdarzyć.

Śmierć nie przestrzega planów.

– Boli go? Bardzo cierpi?

– Teraz nie i zrobimy wszystko, by ten stan utrzymać. – Mimo woli zaczęła tłumaczyć działanie środków przeciwbólowych i wspomagających, leków łagodzących działanie opiatów na układ trawienny. Rozmawiali o jednorazowych rękawiczkach, pieluchach, o karmieniu; o wszystkich tych przyziemnych, upokarzających sprawach, które tak uprzykrzają koniec życia. Słuchał uważnie i zrozumiała, że zamierza robić wszystko sam, bez zatrudniania pielęgniarki. Czyżby naprawdę nie udawał? Odprawia pokutę czy nadal czuje coś do ojca, który się go wyrzekł?

Nagle przez sztucznie radosny szczebiot prezenterki od garnków przebił się sygnał syreny policyjnej, która ucichła przed domem.

Kilka kroków wystarczyło, by znalazła się przy oknie i wyjrzała zza zasłonki. Zaskoczona, spojrzała na Marka Jessupa.

– To policjant – powiedziała. – Czemu tu przyjechał?

Mark aż podskoczył, gdy trzasnęły drzwi samochodu. Serce waliło mu jak oszalałe, oczy zachodziły mgłą. Chciał zabrać synka i uciec przez okno, w zarośla, w cień cedrów za domem.

Zabierze Eliego z dala od klaustrofobicznej atmosfery hrabstwa Hatcher, z dala od tutejszych więzień i sądów, z dala od smutku i wstydu. Ucieknie i nigdy tu nie wróci... Jednak nie mógł ruszyć się z miejsca.

Tamtego dnia, gdy przyszedł po niego szeryf, siedział przy tym stole nad filiżanką smolście czarnej kawy i usiłował zrozumieć, że jego siostra naprawdę nie żyje.

Matka nie patrzyła mu w oczy, a ojciec się nie odzywał, ale nie wiedział jeszcze wtedy, że to on zabił Jordan. Miał dopiero siedemnaście lat – Jordan była o czternaście miesięcy młodsza – i wspomnienie zgniecionych karoserii i zakrwawionych ciał było zbyt świeże, by narodziło się poczucie winy.

Kiedy szeryf Morrell wszedł do kuchni z kajdankami, Mark był równie zaskoczony, jak gdyby aresztowano go za tornado, które spustoszyło Dallas, albo za wybuch wulkanu, który zniszczył jakieś miasto gdzieś na końcu świata.

Ale to było szesnaście lat temu. Za co go obwiniają tym razem? Co takiego popełnił, o czym jeszcze nie wie?

Pukanie do drzwi było inne, nie tak stanowcze jak w jego wspomnieniach. Ale mimo to nie mógł się ruszyć.

Beth Ann spojrzała na niego dziwnie, wzruszyła ramionami i mruknęła:

– Ja otworzę. Ale nie myśl sobie, że jestem twoją pokojówką.

Jej komentarz ściągnął go z powrotem na ziemię, choć w ustach nadal miał gorzki smak tamtej kawy. Otrząsnął się ze wspomnień i też podszedł do drzwi.

Żałośnie młody policjant gniótł kapelusz w dłoniach. W oczach, zielonych niemal tak samo, jak jego twarz, malował się smutek.

– Panno Decker, szeryf Morrell przysłał mnie po panią – wykrztusił cicho.

Mark podszedł bliżej, wyczuł woń wymiotów.

– Po mnie? – Beth Ann nie wiedziała, co o tym myśleć. – Jeśli chodzi o zmianę tablicy rejestracyjnej, zrobię to, jak tylko stąd wyjdę.

Twarz policjanta z zielonej stała się czerwona.

– Nie, proszę pani. Chodzi o pani mamę. Odwiozę panią do domu, dobrze?

– O moją mamę? – Po dłuższej chwili wyciągnęła rękę do odznaki młodego policjanta, na której widniał napis: „Posterunkowy Damon Stillwater”.

Chłopak odsunął się, ale Beth Ann wskazała czerwoną plamę na koszuli.

– To... To przecież krew... I tutaj też. – Jej głos stał się nienaturalnie wysoki, gdy patrzyła na nogawkę jego beżowych spodni. – Proszę mi powiedzieć, czy mamie coś się stało?

– Odwiozę panią, dobrze? Szeryf wszystko pani wytłumaczy...

– Niech pan mi to wytłumaczy, i to natychmiast – zażądała i znowu zbliżała się do policjanta. – Czy to krew mojej mamy?

Mark odruchowo złapał ją za łokieć. Beth Ann nie ma pojęcia, jak łatwo sytuacja wymyka się spod kontroli, jak z ofiary można stać się podejrzanym, jak nagle zamyka się droga odwrotu.

Ale ona opacznie zrozumiała jego intencje.

– Marku Jessup, trzymaj łapy przy sobie!

Mark widział, jak posterunkowy zamrugał oczyma, jak łączy nazwisko z opowieściami o wypadku, których zapewne nie szczędzili mu rodzice, nauczyciele, księża i katecheci. Takie pouczające opowiadania o tragicznych skutkach szybkiej jazdy po pijanemu były dla dzieciaków jak mroczny horror. Czy bali się potem duchów snujących się po szkolnych korytarzach? Czy wzdrygali się na widok łaski Beth Ann Decker? Czy sfluwali, słysząc jego nazwisko?

Dla nich to zabawa, dla niego – koniec nadziei. Zrozumiał to, gdy posterunkowy Stillwater spojrział na niego podejrzliwie.

Rozdział 3

Jakie to proste, zrobić wszystko zgodnie z planem, jak gdyby nigdy nic. Jak cudownie, uwolnić się od paraliżującego strachu i widoku krwi.

Transformacja dokonała się tak głęboko, że teraz mógł spojrzeć wstecz, analizować chwile, gdy lodowata woda przyprawiała dłonie o ból.

To jej wina, jej, jej, jej. Nie, jestem potworem.

A jednak biedna duszyczka, roztrzęsiona jak osika, widziała cały świat spowity krwawą mgłą. Czuła gorący puls purpurowego strumienia, zapamiętała szkarłatne krople podobne do burgunda. Pojawiły się jeszcze gorsze obrazy: błysk noża i odgłos ciętego ciała, karminowe usta, otwarte jak rana.

Trzeba odepchnąć wizję, ukryć ją głęboko, wcisnąć głębiej niż szmatę w tamto gardło, by uciszyć krzyk. A jednak, na przekrój wysiłkom, wspomnienie powracało.

Przekonywał sam siebie, że to tylko sen. Bardziej wyraźny niż inne, ale równie nierealny. A jednak w snach nigdy nie było butów i ubrania płonących przy odludnej preriowej szosie. Nie było nagości i dreszczy, nie było skóry zaczerwienionej od zimnego prysznica.

Plastikowe włosy szczotki zdzierały skórę przy paznokciach, wbijały się głęboko w ciało. Rodziła się pokusa, żeby szorować tak, aż skóra zejdzie z dłoni, teraz całkiem już obcych. Dłoni Kaina, dłoni, które cięły, mordowały. Strach trzepotał sercem, które waliło o żebra. Szczotka została ukryta, woda zakręcona. Ręcznik dotykał dłoni ostrożnie, ze strachem, jak człowiek nawiązujący kontakt z agresywnym zwierzęciem uzbrojonym w szpony i pazury, gotowym zaatakować.

Pojawił się pomysł, jasny i oczywisty.

To jego zadanie wymierzyć tej dziwce sprawiedliwość. Kara odpowiadająca grzechom. Tak na pewno chciał Stwórca.

Stwórca, który nie chciałby cierpienia niewinnych. Który zaakceptuje wszystko, byle tylko ich chronić.

Absolutnie wszystko.

Dzięki tej myśli ciężar winy zelżał. Ustało drzenie rąk czystych jak Pan Bóg przykazał.

Podczas piętnastominutowej jazdy do domu Beth Ann zastanawiała się, czy to możliwe, że ma atak serca. Czuła ucisk w klatce piersiowej, ostry ból.

W innych okolicznościach wyciągnęłaby z Damona Stillwatera więcej szczegółów. Znała jego matkę, Ginny; była wolontariuszką w hospicjum, na ile pozwalało jej zdrowie. Jednak odkąd wsiadła do wozu policyjnego, Beth Ann nie mogła złapać oddechu. Wydawało jej się, że to najdłuższa przejażdżka w jej życiu.

Zresztą było jej szkoda tego policjanta; gorączkowo zaciskał dłonie na kierownicy, żeby nie drżały. To jeszcze bardzo młody chłopak, z pryszczami podrażnionymi goleniem. To, co ją czeka w domu matki, okazało się dla niego brutalnym zetknięciem z rzeczywistością.

Z taką rzeczywistością, którą ona zobaczyła w świetle reflektorów jadącego z przeciwka

samochodu, gdy miała siedemnaście lat. Oczywiście nie pamiętała tego tak wyraźnie, ale wiedza o wypadku kryła się gdzieś w podświadomości.

Gdy skręcili w uliczkę otaczającą staw, Beth Ann zobaczyła, że mimo chłodu niemal wszyscy sąsiedzi wyszli na dwór. Niektórzy trzymali psy na smyczy i pchali wózki dziecięce. Inni uganiaли się za małuchami, zafascynowanymi tłuściutkimi białymi kaczkami. Grupka dorosłych stała przy skrzynce na listy, choć listonosz zjawi się dopiero za kilka godzin. Nie zabrakło także przybyszów z innych części miasteczka, o czym świadczyły odrapane pikapy i mężczyźni w dzinsach, flanelowych koszulach w kratę i kowbojskich kapeluszach. Ci nie udawali obojętności i bezczelnie gapili się na ambulans i wóz szeryfa, na którym policyjny kogut migał jak świąteczne lampki.

– Co do licha... – Beth Ann słowa utkwiliły w gardle, gdy mężczyzna z zadartym nosem i czarnymi wąsami wskazał ją palcem pozostałym gapiom. Tępym wzrokiem patrzyła na niego, nie pojmując dziecięcej ekscytacji na jego twarzy. Ale odczytała słowa z ruchu warg sąsiadki, widziała, jak jej usta układają się w zniechęcone słowa: biedna Beth Ann...

Damon minął gapiów, wjechał na wyłożony cegłą podjazd, który prowadził do pałacu matki. Beth Ann bez ruchu czekała, aż wyłączy silnik, wysiądzie, obejdzie wóz, otworzy jej drzwiczki. Wyciągnął do niej rękę, ale nie chciała pomocy.

Bardziej niż zwykle wsparta na lasce, szła za Damonem do drzwi wejściowych. Zawahała się, gdy nacisnął klamkę; czuła, że gdy przekroczy próg, życie zmieni się nieodwracalnie.

– Bardzo mi przykro, panno Decker – powiedział. W jego zielonych oczach błyszczały łzy, na jasnych policzkach wykwitł rumieniec.

Weszła do środka, choćby po to, by umknąć przed wzrokiem tłumu. Trwało chwilę, zanim jej oczy przywykły do półmroku po oślepiającym blasku słońca. I wtedy usłyszała kobiecy płacz.

Mama? Ulga była tak wielka, że ugięły się pod nią kolana. Damon łapał ją za ramię, by ją podtrzymać, ale wtedy zobaczyła, że to Rosario, pokojówka, siedzi na wyszywanej złotem kanapie w salonie. Skulona, szlochała w lnianą ścierkę. A szeryf Morrell klepał ją po ramieniu.

– Gdzie moja matka? – Przebiegła wzrokiem cały salon, popatrzyła na ukochany fotel matki, w którym tak bardzo lubiła czytać. Ale fotel był pusty, jeśli nie liczyć historycznego romansu, który porzucony leżał na siedzeniu. Elegancki globus na mahoniowym stojaku z wyższością zerkał na kolorową okładkę, jakby oburzony literackim gustem Lilly. – Coś się stało?

No jasne, przecież dlatego czeka tu karetka. W innym razie Lilly wpadłaby już do salonu z wrzaskiem, wściekła, że goście łażą po jej białym dywanie w butach. Szeryf Morrell stęknął, wstając z kanapy. Od czterech dziesięcioleci żył w glorii dawnego znakomitego futbolisty. Wielki Jim Morrell do dziś zachował posturę sportowca, choć od szkolnych czasów dorobił się wielkiego brzucha, obwisły mu policzki i pojawiła się siwizna w krótkiej czuprynie. Wstał poważny jak przedsiębiorca pogrzebowy.

– Beth Ann, możemy przejść do gabinetu?

Wskazał zamknięte drzwi, ale uwagę Beth Ann przykuł dziwny, szeleszczący dźwięk.

Inny policjant – Pete, mąż Sheryl – zbiegał ze schodów z aparatem fotograficznym w dłoni. Na butach miał plastikowe ochraniacze, które okazały się źródłem hałasu. Ciężko oddychał przez nos, blady jak ściana.

Gdy ją zobaczył, na jego twarzy pojawił się grymas współczucia. W tym momencie szeryf Morrell objął ją ramieniem i wprowadził do gabinetu. Zamknął starannie drzwi i szloch Rosario nagle ucichł.

Beth Ann błędziła wzrokiem po ścianach koloru wina, który, jak twierdziła dekoratorka wewnątrz z Dallas, zarozumiała anorektyczka, eksponował połączone półki i staroświeckie biureczko. Beth Ann namawiała wtedy na kolor mniej kojarzący się z krwią, ale kpiąco uniesione brwi dekoratorki przekonały mamę w mgnieniu oka; zdarzało się to tak często, że Beth Ann przestała się wtrącać i celowo rozstawiała w domu kiczowate drobiazgi, żeby podkreślić jego pretensjonalność.

Teraz wydawało się to takie dziecinne i małosłowne, tak samo jak jej głupi upór: dlaczego nie pozwalała matce, żeby kupiła jej nowy samochód, „zamiast tej kupy złomu, która zajmuje miejsce w eleganckim garażu”?

Pełna wyrzutów sumienia, podniosła wzrok na szeryfa.

– Proszę mnie zaprowadzić do mamy.

Wskazał zapraszającym gestem skórzany fotel przy biureczku, ale nie dawała za wygraną.

– Muszę się z nią natychmiast zobaczyć.

Spojrzała na biurko i zdziwiła się na widok trzech gumowych kaczek, ostatnich, które przetrwały wojnę z kiczem. Wyglądały jak miniaturowi meksykańscy *mariacki*, miały wąsy, sombrero i instrumenty muzyczne.

Szeryf Morrell pochylił się, zajrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

– To nie będzie łatwe, ale musisz znać prawdę. Twoja mama jest w sypialni. Nie żyje.

Poczuła w piersi kolejne bolesne ukłucie, a on mówił dalej, nieustępliwy jak złośliwy nowotwór:

– Ktoś ją zabił. Pani Gutierrez znalazła... znalazła zwłoki.

– Przecież tu nie ma morderstw – stwierdziła Beth Ann. Szeryf się oczywiście myli. To kolejny dziwny pomysł mamy, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi Szczęśliwej Lilly. A Evelyn, żona Morrella, odeszła od niego rok temu, więc pewnie nawet się nie zorientował, że mama płata mu figla.

Szeryf pokręcił głową.

– Kiedyś nie było tu morderstw. Ale... ale dzisiaj niestety to się zmieniło. Twoja mama nie żyje, Beth Ann. Musisz się z tym pogodzić.

Pokręciła przecząco głową i wstała, opierając się na lasce.

– Skądże. Zaraz do niej pójde. Przepraszam, że narobiła tyle zamieszania, ale zaraz sobie wszystko wyjaśnimy.

Przepraszała za matkę odruchowo, jak zawsze, od wielu lat. Ale tym razem wstyd dławił ją w gardle. Obiecała sobie, że to już naprawdę ostatni raz.

Szeryf przecząco pokręcił głową.

– Nie musisz na to patrzeć. Lepiej, żebyś nie zapamiętała jej tak, jak ten skurwiel ją

zostawił.

Te słowa wytrąciły ją z równowagi.

– Kto ją zostawił? Jak?

– Jeszcze nie wiemy kto, ale przysięgam, że go znajdziemy. I gwarantuję, że ten bydlak trafi na krzesło elektryczne.

Beth Ann odwróciła się i dopadła do drzwi. Osaczały ją krwawe ściany, kłamstwa szeryfa atakowały jej mózg jak migrena. Może to prawda, że Evelyn odeszła od niego, bo za dużo pił? Może nawet teraz jest pijany, choć nie czuła od niego alkoholu? Jedno jest w każdym razie pewne: nie ma zamiaru słuchać tych bredni ani chwili dłużej.

Otworzyła drzwi i zobaczyła, jak Damon Stillwater prowadzi Sheryl, która na widok Beth Ann podbiegła ku niej, szeroko rozkładając ramiona.

– Tak mi przykro, skarbie. Przyjechałam najszybciej jak mogłam. I wtedy do niej dotarło. To się dzieje naprawdę, to nie jest dowcip ani pijackie majaki szeryfa. Nagle zrobiło jej się gorąco. Spazmatycznie chwytając powietrze ustami, zaszlochała bezgłośnie, boleśnie. Sheryl uspokajała ją, głaskała. Szeryf dotknął jej ramienia.

– Znajdziemy drania – powtórzył głosem zdecydowanie trzeźwym. – Choćbyśmy mieli przez dziesięć lat pracować dniami i nocami i przeszukać każdy zakątek w hrabstwie.

Krzyżyk na szyi Sheryl boleśnie wbijał się w policzek Beth Ann. Damon Stillwater odchrząknął głośnie.

– Moim zdaniem sprawa zakończy się po kilku godzinach – powiedział z pełnym przekonaniem. – Bo chyba wiem, gdzie powinniśmy szukać.

Rozdział 4

Chcesz wyjechać? Proszę bardzo. – Choć Hiram Jessup nie odrywał oczu od telewizora, było jasne, że mówi do syna, który przed chwilą wrócił do pokoju. – I tak się dziwię, że jeszcze tu jesteś. Kiedy przyszedł szeryf, miałeś taką minę, że myślałem...

Mark spojrzał na ojca i z trudem się powstrzymał, by nie pogłaskać pieszczotliwie łysej czaszki pokrytej plamami. Starzec przywodził na myśl pisklę drapieżnego ptaka, wygłodniałe i spragnione lotu.

– Nigdzie nie jadę – odparł. Miał na końcu języka uwagę, że już nie jest zastraszone siedemnastolatkiem, jak przed szesnastu laty, Milczał, choć w głębi serca nadal czuł się niepewnie. Postanowił jednak, że nic, co może go tu czekać, nie skłoni go do wyjazdu. Doszedł do tego wniosku chwilę po tym, jak Stillwater wyprowadził Beth Ann.

Co takiego stało się w domu Lilian Decker?

Przełknął żółć podchodzącą mu do gardła i zmienił temat.

– Rozejrzałem się po twojej kuchni, chciałem sprawdzić, co masz i zrobić porządek. Znalazłem w zamrażarce kurze piersi. Mógłbym ugotować do nich ryż i marchewkę.

Markowi taki jadłospis wydawał się lekkostrawny. A i Eli potrzebuje czegoś ciepłego, zdrowszego niż smakołyki z fast foodów, którymi żywili się od dwóch dni.

Hiram zacisnął usta w wąską kreskę i burknął, nie patrząc na syna:

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Nie jestem jeszcze głodny. A jak zgłodnieję, mam swój koktajl. Sam po niego pójde – tyle jeszcze mogę zrobić.

– Beth Ann Decker twierdzi, że musisz jeść normalne posiłki. – Mark miał na końcu języka: póki możesz. – Małe porcje, ale często.

Ojciec odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego złośliwie.

– Niczego nie muszę, do cholery. Nie jesteś moim ojcem, żeby mi rozkazywać. Myślałeś, że możesz tak sobie tu wrócić i...

– On jest moim tatusiem – odezwał się cichy głosik z przedpokoju. Eli ziewnął. Ciemne włosy sterczały mu na wszystkie strony, z niesfornym wicherkiem w dokładnie tym samym miejscu, co u Marka. Był wysoki na swój wiek. W jasnoniebieskiej piżamce z granatowymi mankietami tulił niebieskiego pluszowego królika, bardzo podobnego do zabawki, którą przed laty wszędzie ze sobą zabierał jego ojciec.

Jednak Mark wiedział już, że Hiram nie jest skłonny podziwiać malucha, który za kilka dni skończy pięć lat. Starzec dostrzegał przede wszystkim różnice, a nie podobieństwa do ojca: złocistobrązową skórę chłopca, szerszy nos, czarne włosy i lekko skośne oczy, dziedzictwo matki o afroazjatyckich korzeniach. Piękne rysy, które synek odziedziczył po pięknej, ambitnej kobiecie... Mark czekał, napięty jak struna, na reakcję ojca. Musi się dowiedzieć, czy w ogóle może tu zostać. Był gotów zmierzyć się z pretensjami ojca i podejrzeniami mieszkańców miasteczka, ale nie pozwoli, by ktoś skrzywdził jego synka.

– Może to i twój tatuś – powiedział Hiram z ledwie skrywaną pogardą. – Ale ja jestem jego ojcem. A to oznacza, że nie będzie mi mówił, co mam jeść.

Ciemne oczy Eliego wędrowały z twarzy starca na Marka. Chłopiec zacisnął usta, jak zawsze, gdy myślał intensywnie. Podeszedł do fotela Hiram i nagle uśmiechnął się szeroko.

– Skoro jesteś tatusiem tatusia, to znaczy, że jesteś moim dziadkiem, tak?

Mark wstrzymał oddech, widząc, jak piwne oczy starca zwęziły się. Instynktownie stanął za synkiem.

– Mów mi Hiram – burknął starzec.

Mark odetchnął. Nie było to co prawda tkliwe powitanie, na które liczył w głębi serca, ale przynajmniej ojciec nie powiedział nic złego.

– Eli, chodźmy do kuchni – zaproponował. – Zjesz coś, a ja przygotuję kolację. Może mi pomożesz?

– Nakryję do stołu – odpowiedział Eli. Mark uśmiechnął się, choć serce mu krwawiło, gdy widział, jak malec usiłuje zdobyć serce starca. Ileż czasu Mark walczył o uznanie ojca! Czy nadal to robił? Czy dlatego tu wrócił?

– Świetnie – rzekł do synka. – Zawsze mi pomagasz. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Zaprowadził małego do kuchni, dał mu mleka i ciasteczko owsiane z zadziwiająco dobrze zaopatrzonej spiżarni. Dziwnie się czuł w kuchni urządzonej inaczej niż za czasów jego matki, ale panujący tu porządek sugerował, że ktoś pomaga Hiramowi z zakupami i sprzątaniami. Może wolontariusze z hospicjum albo ktoś z kościoła? Ojciec musi naprawdę fatalnie się czuć, jeśli zdecydował się na coś takiego. Po śmierci Jordan zamykał drzwi na cztery spusty i nie wpuszczał współczujących sąsiadek z zapiekankami...

Ale otworzył szeryfowi, gdy ten przyszedł aresztować Marka za jazdę po pijanemu i spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

A teraz historia się powtórzyła. Starzec zjadł cztery kęsy z tacy przed telewizorem, bo nie chciał dołączyć do rodziny w kuchni, a potem wstał z trudem, podeszedł do drzwi i wpuścił szeryfa Morrella.

Wielki Jim Morrell ścisnął właśnie rękę Hiram, gdy Mark wyjrzał z kuchni. Za plecami szeryfa stał policjant, którego Mark poznałby zawsze i wszędzie, choć z upływem lat stracił on sporo włosów i nieco utył. To Pete Riker pierwszy zjawił się na miejscu wypadku i towarzyszył szeryfowi, gdy aresztowano Marka.

– Jak się pan ma, panie Jessup? – zapytał szeryf głosem niskim jak zawsze, choć i on utył, odkąd Mark go widział. Wyglądało na to, że w ostatnich latach dobrze jadano na posterunku.

– Bywało lepiej – burknął Hiram. Choroba przytłoczyła go, sprawiła, że wydawał się niższy niż dawniej, gdy mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt.

Szeryf i Riker jednocześnie podnieśli głowy i zobaczyli Marka.

– Chciałem pogadać z pańskim chłopakiem – rzekł Jim Morrell. Mark poczuł się tak, jakby czas się cofnął, ale wrażenie to znikło, gdy Eli wsunął małą rączkę w jego dłoń. Obaj policjanci byli potężnej postury, zwłaszcza Jim Morrell. Jego wzrost, tubalny głos, mundur i odznaka na pewno robiły wrażenie na pięciolatku w obcym miejscu.

– Nie bój się, Eli – mruknął. – Panowie niczego ci nie zrobią.

– Co z córką Deckerów? – zapytał Hiram, nie odrywając wzroku od szeryfa. Morrell

pokiwał głową. Był poważniejszy i starszy niż w koszmarach dręczących Marka.

– Przeżyła szok, ale z bożą pomocą wyjdzie z tego.

– Co się stało? – dopytywał się Hiram.

Zamiast odpowiedzieć, Morrell zbliżył się do Marka, kucnął i uśmiechnął do Eliego.

– Cześć, bracie. – Wyciągnął wielką dłoń. – Jestem szeryf Morrell i witam wszystkich, którzy przyjeżdżają do naszego hrabstwa.

Pete Riker skrzyżował ręce na piersi, przyglądając się tej scenie. Sądząc po jego minie, albo zatkało go na widok Eliego, albo cierpiał na niestrawność.

Eli zerknął na Marka i czekał, aż ojciec skinie głową, zanim uściska rękę Morrella.

– Nazywam się Elijah Jessup. Za dziesięć dni mam urodziny. Riker skrzywił się, a Mark poczuł do niego taką nienawiść, jak nigdy dotąd.

– Dobrze wiedzieć – odparł szeryf. – Ile skończysz lat? Sześć?

– Pięć.

– No to szczęściarz z ciebie. W samochodzie mam honorowe odznaki, ale daję je tylko dzieciom na piąte urodziny. Gdybyś miał cztery albo sześć lat, straciłbyś szansę, Elijah.

Mały się rozpromienił, wyraźnie polubił szeryfa.

– Proszę do mnie mówić Eli, jak wszyscy.

– Dobrze, posterunkowy Eli. Mogę pogadać chwilę z twoim tatą? A ty popilnuj dziadka.

Hiram już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale Morrell spojrzał na niego ostro i dodał:

– Może mu pokażesz nasze teksaskie kreskówki, Hiram? Moje wnuki przepadają za nimi... Zaraz, gdzie to jest? Na kanale dwudziestym drugim? Pete, przecież masz wnuczki.

Riker wzruszył ramionami, unikając kontaktu wzrokowego z Elim. Pieprzony rasista.

Hiram burknął coś pod nosem – pewnie nie spodobało mu się, że nazwano go dziadkiem Eliego – ale ostatecznie usiadł w fotelu i włączył telewizor. Mark przeprosił i poszedł po kurtkę. Był tak zdenerwowany, że z trudem oddychał.

Ledwie wyszli kuchennymi drzwiami, Morrell spojrzał na zastępcę:

– Pete, poczekaj przy samochodzie. I wyjmij ze schowka przy kierownicy małą odznakę. Ten dzieciak dostanie dziś prezent urodzinowy.

Riker odszedł sztywnym krokiem. Mark spojrzał na szeryfa.

– Dziękuję, że uspokoił pan Eliego. Trochę niepewnie się czuje – nowe miejsce, nowie ludzie... A Hiram...

Ich kroki chrzęściły na zwirowanym podjeździe, gdy szli w stronę garażu.

– Twój ojciec wiedział o małym, zanim przyjechałeś?

Mark przecząco pokręcił głową.

– To nie jest wiadomość, którą można nabazgrać na pocztówce. Napisałem kilka listów, ale wróciły do mnie. Zadzwoniłem tylko raz... i pewnie się pan domyśla, ile trwała ta rozmowa.

Do dzisiaj bolało wspomnienie, jak ojciec z trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki, ledwie rozpoznawszy głos syna.

Morrell skinął głową i wydał wargi, przez co jego policzki wydawały się jeszcze grubsze.

– Domyślałam się, jak to było. Cierpienie sprawia, że człowiek staje się twardszy, a obaj

wiemy, że być ojcem nie jest łatwo nawet w najlepszych latach.

Mark zatrzymał się i spojrzął na niego. Nie zamierzał wysłuchiwać zwierzeń Morrella o jego kłopotach z córką czy Scottym, nie chciał słuchać tego, co już wiedział. Scotty, oczko w głowie Morrella, niegdyś chłopak Beth Ann Decker, obecnie jest prawnikiem i ubiega się o fotel w senacie stanowym w Amarillo. Pisano o tym na pierwszej stronie lokalnego tygodnika, który znalazł w kuchni Hiram. Nagłówek głosił: „Nasz chłopak robi karierę”.

– Przejdźmy do rzeczy, szeryfie. O co chodzi z Beth Ann Decker? Morrell skrzywił się. Szybko wziął się w garść, ale Mark widział, że jego bezpośredniość zaskoczyła starego policjanta. Bardzo dobrze. Szeryf musi zrozumieć, że tym razem nie ma do czynienia z nastolatkiem.

– Ktoś zamordował jej matkę.

– Panią Decker? – Mark z trudem przypomniał sobie rudowłosą kobietę uczesaną w kok. Jego matce bardzo nie podobało się to, że Lilly nawet na spotkania w kościele i w szkole przychodziła w króciutkich, obcisłych sukienkach. Mark nigdy tak naprawdę nie zwracał na nią uwagi, bo o wiele chętniej zerkał na Beth Ann. – Biedna Beth Ann. Niby po co ktoś miałby mordować panią Decker?

Szeryf Morrell skrzywił się.

– Jeszcze nie wiadomo, ale to straszna sprawa. Najgorsza, jaką widziałem w ciągu czterdziestu lat pracy w policji.

Mimo chłodu na dworze, Markowi zrobiło się gorąco. Potrząsnął głową i wybuchnął:

– Beth Ann już tyle przeszła. Czy... czy ktoś jest przy niej?

Morrell skinął głową.

– Ma wielu przyjaciół. Ludzie tutaj bardzo ją lubią.

– I nie wie pan... nie ma pan pojęcia, kto mógł to zrobić? – Mark nie zdołał opanować goryczy w głosie. – Więc zabiera pan swego ulubionego pomagiera i przyjeżdża tu w poszukiwaniu... Jak to było w *Casablance*? W poszukiwaniu tych samych podejrzanych co zwykle. Czy raczej podejrzanego. Mnie.

Morrell patrzył mu w oczy.

– Spokojnie, Mark. Rozumiesz, że muszę sprawdzić każdego, kto miał motyw...

– Jaki motyw?

– Jeden z moich zastępców uważa, że mogłaby być nim zemsta. Mark przypomniał sobie spojrzenie, jakim obrzucił go policjant, który przyjechał po Beth Ann.

– Ten chłopak, którego pan tu przysłał? Uważa, że chcę się mścić na pani Decker? Za co? Szeryf odwrócił się i wskazał zardzewiałe szyby naftowe po drugiej stronie drogi.

– To wszystko kiedyś należało do Jessupów. Cała ta ziemia dokoła skrawka, który został twojemu ojcu. Jessupowie od pokoleń uprawiali tę ziemię...

– Przez wszystkie lata, które spędziłem w domu, ojciec pracował na poczcie i jako kierowca ciężarówki. Nawet w najlepszych czasach dywidendy z odwiertów nie pokrywały kosztów naszego utrzymania, a uprawa ziemi na małą skalę nie opłaca się od wielu lat.

– Ta ziemia należała do Jessupów, a pani Decker pozwała twojego ojca do sądu. – Morrell ze smutkiem spojrzął na dom.

Mark popatrzył na budynek oczami szeryfa i zobaczył obłazącą farbę, brakujące dachówki, porzucone budynki gospodarcze, smutne jak stary garaż, przy którym stali, pełen śmieci, wśród których zielony chrysler ojca był ledwo widoczny. W porównaniu z nowiutkim pikapem Marka wydawał się wręcz przedpotopowy.

– Zajmę się ojcem. A to dziedzictwo, to całe cholerne hrabstwo, nie obchodzi mnie za grosz.

Znowu poczuł na sobie badawczy wzrok Morrella.

– Naprawdę? Świętoszkowaty sukinsyn.

– To bzdura, Morrell. Wracam do miasta. Czy sądzi pan, że będę jak cielę czekał, aż pan mnie wrobi po raz kolejny? Nie przyszło panu do głowy, że już wyciągnąłem z tego odpowiednie wnioski?

Morrell położył dłoń na rękojeści rewolweru.

– Mark, nie radzę odzywać się do mnie takim tonem.

– Dla pana, jestem pan Jessup. I nie sądzę, by chciał pan posunąć się jeszcze krok dalej. Chyba że chce się pan wpakować w proces, który pograży pana w gównie po uszy.

– Słyszałem o twojej firmie. – Morrell spojrzał na niego surowo. – Wiem, że masz pieniądze. Ale jeśli sądzisz, że odpuszczę temu draniowi, który pokroił na kawałki Lilly Decker...

Mark skrzywił się. Nie wyobrażał sobie, by do takiej zbrodni mogło dojść w hrabstwie Hatcher. Czy jego związek z ofiarą morderstwa mogą wykorzystać przeciwko niemu?

– Naprawdę wierzy pan, że w drodze do umierającego ojca, z pięcioletkiem na tylnym siedzeniu, zajechałem na Bowie Road i zrobiłem coś takiego? – zapytał Mark.

– Bowie Road... – powtórzył Morrell. – Mam uwierzyć, że nie słyszałeś o Wielkim Farcie?

– O czym?

– Deckerowe mieszkają teraz na Mili Pond Bend. Dzięki fartowi Lilly – wygrała w jednorękiego bandytę najwyższą sumę w historii Oklahomy. Było o tym głośno w całym kraju.

– Dla mnie to coś nowego – odparł Mark. Nie zwrócił uwagi na adres nadawcy na kopercie, a odkąd sąd przyznał mu opiekę nad Elim, oglądał telewizję jeszcze rzadziej niż dawniej. Dużo pracował i w wolnych chwilach wolał się zajmować synkiem niż oglądać telewizję.

Mark poczuł nagle chłód, gdy ponownie spojrzał w oczy szeryfa. A więc szeryf uważa, że jakimś cudem dowiedział się o fortunie Lilly Decker i wrócił, żeby wyrównać stare rodzinne porachunki. Tyle tylko, że to stek bzdur, jeszcze bardziej oddalony od prawdy niż bajeczka, którą Morrell i jego zastępca wysmażyli przed szesnastu laty.

Obaj przez bardzo długi czas wpatrywali się teraz w siebie, jak rewolwerowcy przed pojedynkiem.

Morrell pierwszy opuścił wzrok. Spojrzał na wóz patrolowy, stojący za nowym pikapem Marka.

– Dam ci odznakę dla synka. Ma na imię Eli, prawda?

Mark nie odpowiedział. Szeryf nie dawał za wygraną.

– Jesteś żonaty?

– Ostatnio nie. – W rzeczywistości nigdy nie był żonaty, bo Rachel odrzuciła jego oświadczenia, gdy się okazało, że jest w ciąży. Ale Mark wiedział, że szybko rozejdzie się plotka, iż wrócił z dzieciakiem, który jest mieszańcem. Nie chciał, żeby dodano do tego jeszcze słówko „bękart”. Nie mógł zagwarantować, jak na to zareaguje. – Ale to fajny dzieciak. Cieszę się, że go mam.

Morrell zawahał się przez chwilę, skinął głową i podszedł do samochodu. Zgodnie z obietnicą wziął od Rikera odznakę z napisem „młodszy posterunkowy” i wręczył Markowi.

– Więc zostaniesz tu jakiś czas? – zapytał głosem tubalnym jak grzmot. Jego szare oczy pociemniały, gdy dodawał: – Mark?

Mark skinął głową.

– Dopóki będę potrzebny ojcu, nigdzie nie pojedę... Jim. Możesz być tego pewien.

Rozdział 5

Sześć dni później

Mam nadzieję, że mnie pan rozumie, panie Lipscomb. Nie mam dzisiaj siły na prawnicze kruczki. – Beth Ann nie chciała obrazić starego adwokata matki, ale pogrzeb okazał się koszmarem i dopiero teraz udało jej się wypchnąć za drzwi ostatnich troskliwych i wścibskich gości. W domu została tylko Sheryl. Inni złożyli jej kondolencje, zjedli ciasteczka i kanapki i wreszcie poszli. Zapewne stypa trwałaby dłużej, gdyby Helenę, żona pastora Timmona, nie przyłapała dzieciaków Synderów, słynących z lepkich palców, na kradzieży srebrnych sztuczków. Policjanci zabrali rozwrzeszczane nastolatki, ale incydent ten przypomniał wszystkim, że w Eudenie pojawiła się nieznana przedtem przemoc, przemoc, która położyła kres życiu Lilly Decker.

– Bardzo mi przykro, ale ta sprawa nie może czekać – mruknął Stan Lipscomb i spojrzał na nią spod starannie nażelowanych, podejrzanie ciemnych jak na sześćdziesięcioparolatka włosów. Odkąd go poznała, pan Lipscomb, jeden z nielicznych prawników w hrabstwie, przypominał jej basseta – miał smutne brązowe oczy i zwisające policzki. Matka uwielbiała się z nim drażnić, często składała mu skandaliczne propozycje, tylko po to, by się przekonać, czy, jak to ujmowała, potrafi wyjąć sobie kij z tyłka i w końcu się uśmiechnąć.

Dzisiaj jednak pan Lipscomb wydawał się smutniejszy niż kiedykolwiek. Beth Ann uległa mu w końcu. Przeszli do eleganckiego salonu, pełnego pogrzebowych wieńców, na ulubioną kanapę matki. Z kuchni dobiegł kojący brzęk naczyń – to Sheryl zmywała i chowała jedzenie do lodówki.

– Siadaj – powiedział i wskazał fotel koło globusa. – Może podać ci coś do picia?

Przecząco pokręciła głową, opadła na miękki fotel i odłożyła laskę.

– O co chodzi? Wiem o testamencie. Mama wszystko mi wytłumaczyła. Pewnie uważała, że będę lepiej znosiła jej wybryki, wiedząc, iż pewnego dnia wszystko odziedziczę.

Ku jej zdumieniu Lipscomb uśmiechnął się, choć zaraz zasłonił ręką krzywe, przebarwione zęby.

– To w stylu twojej mamy. No i co, odniosło to jakiś skutek?

– Skądże – odparła. – Moim zdaniem, te pieniądze przyniosły więcej złego niż dobrego.

Kiedy po raz pierwszy rozeszła się plotka o wielomilionowej wygranej, matkę odwiedzały niekończące się pielgrzymki, nawet całkowicie obcych ludzi z rękami wyciągniętymi po pieniądze. Straciła wielu przyjaciół, gdy poszła po rozum do głowy i powierzyła majątek profesjonalistom, a nie chciała finansować każdego szalonego planu, z którym się do niej zwracano. Co gorsza, musiała zmienić numer telefonu i zamki w drzwiach, gdy zaczęły się anonimy. Ale z czasem anonimy ustały i matce nie chciało się włączać alarmu w ciągu dnia. Czy zostawiała też otwarte drzwi? A może osobiście zaprosiła mordercę do domu, do swojego pokoju? Czy zrobił to ktoś, kogo znała? Może był na pogrzebie i składał jej kondolencje?

Lipscomb przysunął krzesło do sekretarzyka i spojrzał na Beth Ann.

– Wszystko w porządku? Szybko wróciła na ziemię.

– Przepraszam, pytał pan, czy obietnica odziedziczenia majątku sprawiła, że byłam dla matki bardziej wyrozumiała. Niestety nie. Mama grała rolę ślicznej, niesfornej nastoletniej córki, a ja rolę jej marudnej matki. I zazwyczaj jakoś nam się układało.

Za wyjątkiem trzynastego października, dnia przed śmiercią Lilly. Beth Ann zacisnęła dłonie, nagle żądna krwi. Ale czyjej? Mimo zapewnień Morrella i Stillwatera na razie nie mieli żadnego podejrzanego. Wraz z frustracją nadeszły łzy.

– O co chodzi, panie Lipscomb? – zapytała. – Jeśli chodzi o testament...

– Nie, nie. Musimy odczekać dziesięć dni, zanim ustalimy datę odczytania, więc mamy dość czasu, by porozmawiać o tym wtedy, gdy będziesz gotowa. – Wyjął białą kopertę z kieszeni sfatygowanej brązowej marynarki. – Twoja matka nalegała, żebym w razie jej śmierci przekazał ci to zaraz po pogrzebie. Kazała mi przysiąc na Biblię.

Beth Ann poczuła dziwny dreszcz.

– Jak to?

Wsunął jej kopertę w dłoń. Widniało na niej jej imię wypisane dziecięcym pismem matki.

– Nieraz się zdarza, że jeden z rodziców zostawia list do dziecka u prawnika, zwłaszcza jeśli jest on także wykonawcą testamentu. Nie interesowało mnie, co jest w środku – zapewnił. – Ale zapewniam cię, że twoja matka nie spodziewała się śmierci. Była młoda i pełna życia. Kiedy mi to dawała w zeszłym roku, obawiała się, że będzie musiała załatwiać wszystko od początku, jeśli umrę przed nią.

– Dziękuję panu. – Beth Ann uśmiechnęła się z trudem. Matka, która w sierpniu skończyła pięćdziesiąt sześć lat, pękłaby z dumy, że określił ją jako młodą i pełną życia. Lilly Decker nigdy nie planowała zestarzyć się z godnością.

Uścisnął jej dłoń, zanim wstał.

– Mów mi Stan. Za kilka dni się odezwę, ale ty dzwoń w każdej chwili, gdy będziesz gotowa albo gdy będziesz czegoś potrzebowała.

Odprowadziła go do drzwi i zasunęła zasuwę. Później zamknęła się w gabinecie o czerwonych ścianach, usiadła za biurkiem i wyjęła nóż do papieru z szuflady.

Drżącymi rękami rozcinała kopertę. Czy zawiera odpowiedzi na dręczące ją pytania? A może są tu nowe pytania? Ze łzami w oczach czytała:

„Moja najdroższa Beth Ann!

Świat naprawdę należy do ciebie, jeśli masz dość odwagi i mądrości, by wyciągnąć po niego rękę.

Kocham cię i bardzo przepraszam. Wybaczysz mi?

Buziaki,

Mama.”

Beth Ann odwróciła liścik i zamrugła oczami, wpatrzona w czystą kartkę. A potem jeszcze raz przeczytała tych kilka zdań.

– Co to znaczy? – zapytała na głos. To wszystko bez sensu, nic nie trzyma się kupy. Co ma matce wybaczyć? Ten list, zamiast wzruszyć, dodatkowo ją zdenerwował. Ostatnie słowa matki zabrzmiały jak dziecięca zagadka.

Beth Ann zabrała liścik do kuchni, gdzie Sheryl starannie liczyła zastawę.

– Dzieciaki Synderów chyba zwinęły łyżeczkę do melona. Cholerni mali barbarzyńcy.

Beth Ann wzruszyła ramionami.

– Jeśli mają ochotę polerować te paskudztwa, podaruję im cały komplet. Zobacz, co mama mi zostawiła. Prosiła pana Lipscomba, żeby mi to przekazał.

W orzechowych oczach Sheryl pojawiło się zdumienie. Z wahaniem wzięła kartkę z ręki przyjaciółki. Zmrużyła oczy i stwierdziła:

– Do licha, nic nie widzę. Zostawiłam okulary do czytania w torebce w twoim pokoju. O ile oczywiście te dzieciaki również jej nie ukradły.

– Przeczytam ci. – Pomyślała, że może za trzecim razem list wyda się logiczniejszy.

Ale kiedy skończyła, zobaczyła, że Sheryl ma równie głupią minę jak ona.

– Za co przeprasza? – zapytała. – Nie rozumiem.

– Obawiałam się, że tylko ja jestem taka tępa. – Beth Ann zmarszczyła brwi. – Co, do licha, ma znaczyć, że świat znajduje się w zasięgu mojej ręki?

– Może chciała powiedzieć, że powinnaś przestać tak skąpic i zabawić się dobrze?

Beth Ann skrzywiła się.

– Albo pisała to po trzeciej margaricie.

– Mogło i tak być. Twoja mama zawsze się rozklejała po tequili. Beth Ann zamknęła oczy.

– Teraz żałuję, że nie lubię alkoholu. Wypiłabym morze margarity, byle zapomnieć o zeszłym tygodniu.

Rozdział 6

Dwa tygodnie później

Wzdłuż głównej ulicy Eudeny ciągnęły się budynki z krwiście czerwonej cegły. Wśród witryn zabitych deskami gdzieniegdzie pojawiał się czynny sklep, jednak dzisiaj i na nich widniały wywieszki „Zamknięte”. Otwarty był jeden jedyny sklep spożywczy na końcu ulicy.

Beth Ann jechała srebrnym sedanem mamy i czuła na sobie pełne dezaprobaty spojrzenia parafian. Pogłosiła muzykę, żeby zagłuszyć złośliwe szepty wyobraźni, ale paranoja okazała się silniejsza od muzyki: „Jak szybko Beth Ann się zmieniła. Popatrzcie tylko, jeździ drogim mercedesem, puszy się i wywyższa, bo jest najbogatszą kobietą w hrabstwie Hatcher”.

W przyływie buntu Beth Ann podkreśliła muzykę – akurat leciała piosenka pod tytułem *Wóz Grzeszników* – i zatrzymała się przed sklepem spożywczym Barty’ego. Tego ranka jej subaru odmówiło współpracy, a musiała kupić kawę. I chusteczki – w ciągu minionych tygodni zużywała więcej chusteczek niż zastęp astmatyków na pikniku w czasie pylenia traw.

Mogła oczywiście poprosić Sheryl albo jedną z wielu innych sąsiadek i przyjaciółek, które oferowały pomoc, jednak po trzech tygodniach rozpieszczania ze strony bliskich i nagabywań ze strony dziennikarzy miała już tego dosyć. Związała włosy na karku, włożyła dzinsy, ciemnozielony sweter, drewniaki i sięgnęła po kluczyki matki.

Teraz wyłączyła silnik, wysiadła z samochodu z przyciemnianymi szybami i zmrużyła oczy przed ostrym słońcem. Po chwili ukryła się w cieniu mizernych drzewek, które zasłaniały ruiny stacji benzynowej, porzuconej i niszczonej od lat sześćdziesiątych. Wśród zarośli dostrzegła resztki czarno-czerwonych wstążek – pozostałości po powitaniu lokalnego zespołu sportowego, które odbyło się zaledwie tydzień po morderstwie.

Beth Ann wcisnęła guzik na pilocie mercedesa. Kiedy tylko zaświergotał system alarmowy, odwróciła się w jej stronę kobieta z koszem wyładowanym zakupami. Wiatr potargał jej krótkie siwe włosy. Kobieta zawahała się przez chwilę, a potem skinęła jej głową. Beth Ann zacisnęła zęby, widząc litość w jej oczach, i szybkim krokiem skierowała się do sklepu.

Zazdrość o pieniądze to jedno, stara śpiewka o biednej Beth Ann to co innego, o wiele gorsze. A co z biedną Lilly? Co z jej mamą? Powinna zapomnieć o smutku, o łzach, o zatkanym nosie i porażającej bezradności. Potrzebny jej gniew, wściekłość, która rozpali się do czerwoności i zniszczy nie tylko potwora, który zamordował jej matkę, ale także Jima Morrella, jego niezaradnych ludzi, nachalnych dziennikarzy i bezużyteczne współczucie całego miasteczka.

Szła zaciskając pięści, wzrokiem rzucając wyzwanie wszystkim dokoła. Ale problem z wściekłością polega na tym, że zbyt dużo energii pochłania jej podtrzymanie. Zanim doszła do lady – chciała kupić ostre papryczki do kanapek z grillowanym serem – drżała z wysiłku. Co gorsza, mało brakowało, a uległaby pokusie, żeby otworzyć pudełko chusteczek i głośno wytrzeć nos.

Wiedziała, że jeśli sobie na to pozwoli, straci panowanie nad sobą, więc zagryzła usta i skoncentrowała się na jednej myśli: jeśli ludzie zobaczą choćby ślad wilgoci na jej twarzy, całe hrabstwo Hatcher obiegnie plotką, że ryczała w głos w sklepie Barty'ego.

Choć sklep świecił pustkami – w miasteczku, w którym działa pięć kościołów, mieszkańcy biorą sobie do serca drugie przykazanie – pracownicy za ladą byli tak pogrążeni w rozmowie, że jej nie zauważyli, nawet gdy chrząknęła głośno. Już miała uciec się do bardziej drastycznych środków, gdy, ku swemu przerażeniu, nagle zorientowała się, że mówią o jej matce.

– Ta Lilly Decker sama się prosiła o kłopoty. Pomyśl, jak się zachowywała – dowodziła Gertrudę Pederson, najlepsza przyjaciółka Lilly do zeszłej zimy, gdy ta odmówiła dalszego dawania pieniędzy. – Nie dość, że chodziła po ulicach pół naga, wodząc cudzych mężów na pokuszenie, ale kiedy takie jak ona położą łapę na pieniądzech...

– Z Lilly zawsze było niezłe ziółko – odparł Sid Talley, rzeźnik. Biały fartuch z trudem dopinał się na jego wielkim brzuchu. – A bogata stała się rok temu. Ciekawsze jest to, że syn Jessupa wrócił do miasta.

Beth Ann wiedziała, że powinna coś powiedzieć, albo wyjść, zanim się rozklei. Ale nie ruszyła się z miejsca.

– Nie mieści mi się w głowie, że miał czelność tu wrócić. To skandal, że dalej nie siedzi. Zabił tyle ślicznych dziewcząt. I zrujnował zdrowie biednej Beth Ann... – rzekła Gertruda.

Beth Ann najchętniej zapadłaby się pod ziemię... albo zamieniłaby się w kałużę łez.

– Czy szeryf Morrell i jego ludzie nic nie rozumieją? – ożywił się Tally. – Co to jest, zbiorowa amnezja? A może się go przestraszyli, odkąd szasta na prawo i lewo zakrwawionymi pieniędzmi? Może wszystkich już kupił? Chociaż nie, Billy Hyatt nie da się kupić za żadne...

Laska Beth Ann zsunęła się z rączki wózka i z łoskotem spadła na ziemię.

Sprzedawcy za ladą odwrócili się jednocześnie i szeroko otworzyli oczy.

Gertrudę pierwsza wzięła się w garść. Wyszczrzyła zęby poźółkłe od nikotyny, chcąc uśmiechem pokryć zmieszanie.

– Przepraszamy, że cię nie zauważyliśmy. Co ci podać, skarbie? Beth Ann przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu, a potem warknęła:

– Moja mama leży w grobie po tym, jak ją zamordowano w jej własnym domu, a pani twierdzi, że na to zasłużyła?

– Ja... ja nigdy... – wystękała Gertrudę.

– Przepraszamy, bardzo przepraszamy – wtrącił się Talley. – Nie chcieliśmy, żebyś nas usłyszała. Nie spodziewaliśmy się, że ktoś nas tak podejdzie.

– Wie pan, panie Talley, że skradanie się na paluszkach nie jest moją mocną stroną. A jeśli ma pan choćby cień dowodu na to, kto zamordował moją mamę, niech pan idzie do szeryfa i to zgłosi, zamiast gadać bzdury.

Przytrzymując się jedną ręką wózka, Beth Ann schyliła się po laskę i udało jej się podnieść ją w miarę sprawnie. To dobrze, bo nie chciała popsuć swego wystąpienia, padając na nos. Wrzucając torby z zakupami do bagażnika, pomyślała, że dobrze im przysadzała.

Zamierzała po powrocie do domu zaparzyć sobie kawę, ale scysja w sklepie sprawiła, że kofeina okazała się zbędna.

Uruchomiła silnik i wrzuciła wsteczny bieg czując, jak jej krew mocno pulsuje. Nie pojedzie do domu. Odnajdzie szeryfa, choćby miała wyciągnąć Jima Morrella z kościelnego chóru.

Po trzech tygodniach rozpacz, strachu i smutku czas wszystko wyjaśnić. Dojeżdżała już do kościoła Nowych Fundamentalistów, gdy przegapiła znak stopu na skrzyżowaniu Travis i Drugiej Alei, na skrzyżowaniu, które знаła równie dobrze jak odbicie swojej twarzy w lustrze. Usłyszała dźwięk klaksonu – trąbił kierowca vana, który wyjeżdżał z kościelnego parkingu – nacisnęła pedał hamulca i skręciła gwałtownie. Wielki sedan zachwiał się, zahaczył tylnym kołem o znak stopu, który wygiął się żałośnie.

– O Boże! – Beth Ann skręciła w Park Avenue i zgasła silnik. Van zatrąbił jeszcze raz i zniknął.

Beth Ann nawet tego nie zauważyła, skupiona na tym, co widziała dokoła. W ciemności, która nagle zapadła, światła reflektorów wyławiły z mroku ciała jej trzech przyjaciółek. Larinda Hyatt, Heidi Brown i Jordan Jessup nadal miały na sobie stroje cheerleaderek.

– Nie, nie, nie! – Beth Ann zacisnęła powieki. Nie chciała tego widzieć. Krzyknęła, gdy ktoś zapukał w szybę.

– Wszystko w porządku, Beth Ann?

Powróciła do rzeczywistości. Otworzyła drzwi i rozejrzała się dokoła. Zobaczyła Jima Morrella, w garniturze, pod krawatem, idącego do kościoła. Ulica za nim była pusta. Ciała zniknęły.

Przełknęła z trudem ślinę i otworzyła drzwiczki.

– Przepraszam, szeryfie, to moja wina.

Jej prawnik, a właściwie prawnik mamy, dostałby apopleksji, słysząc takie słowa, ale Beth Ann była tak wstrząśnięta, że musiała wyznać prawdę, nie tylko szeryfowi, ale wszystkim wiernym wychodzącym z kościoła. Zaledwie kilku było w pobliżu, ale inni już się zbliżali.

Niemal słyszała uzalania nad biedną Beth Ann. Cholera!

– Słyszałam, jak w sklepie Barty’ego szkalowano moją mamę – wyjaśniła. – Zdenerwowałam się i ruszyłam za ostro. Przeoczyłam znak stopu.

– Masz szczęście, że nikogo nie zabiłaś. – Morrell wyglądał bardzo poważnie ze świeżo ostrzyżoną na jeża głową i surową miną, ale z jego słów przebijało współczucie.

Beth Ann wzdygnęła się na myśl o koszmarnych wizjach.

– Wiem – powiedziała. – Naprawdę wiem.

Morrell odwrócił się i pomachał do nadchodzących wiernych.

– Nikomu nic się nie stało! – zawołał. – Możecie wracać do domu i cieszyć się wolnym dniem.

Beth Ann dostrzegła rozczarowanie na wielu twarzach, stracili nie lada okazję, mogli przecież udawać zatroskanych bliźnich i jednocześnie przyjrzeć się dokładnie świeżo upieczonej bogaczce, a zarazem córce jedynej w miasteczku ofiary morderstwa. Nikt jednak

nie śmiał przeciwstawić się rozkazowi szeryfa.

Beth Ann sięgnęła po laskę, ale okazało się, że wpadła w szczelinę między siedzeniem pasażera a drzwiami.

– Ja podniosę. – Morrell obszedł wóz dokoła, otworzył drzwiczki i wyjął laskę. Zanim wrócił na poprzednie miejsce, Beth Ann zdążyła wysiąść.

Z laską w dłoni patrzyła na małą rysę na karoserii. Jej żołądek ścisnął się boleśnie na myśl, że uszkodziła dumę mamy. Dlaczego do licha nie wezwała mechanika, żeby rzucił okiem na akumulator w jej własnym wozie?

– Jeszcze dzisiaj naprawimy ten znak drogowy – zapewnił Morrell. – A w warsztacie szybko zreperują twój wóz. Warsztat prowadzi mój siostrzeniec, pewnie pamiętasz Gene'a ze szkoły?

W tamtych czasach Gene Calvert był rozgrywającym szkolnej drużyny; woda sodowa tak uderzyła mu wtedy do głowy, że zdaniem Beth Ann, została w niej po dzień dzisiejszy. Wołała pojechać do oddalonego o dwie godziny Wichita Falls, niż pozwolić mu dotknąć samochodu.

Pomyślała, że to dobra chwila, by zmienić temat rozmowy. Na wszelki wypadek wołała nie wspominać o jego żonie, która przeprowadziła się do córki, ale pozostał jeszcze syn szeryfa, będący jego chlubą.

– Słyszałam, że pański chłopak jest faworytem w tych wyborach. Trzymam za niego kciuki. Scotty zawsze był w porządku.

Mówiła szczerze, choć zerwali ze sobą dwa tygodnie przed wypadkiem. Byli razem sześć miesięcy i wszyscy im mówili, że bardzo do siebie pasują: on, potężny obrońca szkolnej drużyny i ona, przywódczyni cheerleaderek. Wtedy takie bzdury miały dla niej znaczenie. Ale z czasem Scotty zaczął zbyt poważnie traktować ich związek i dlatego go rzuciła. Scotty Morrell należał do nielicznych, którzy pisali do niej i odwiedzali ją w szpitalu i podczas rehabilitacji. Co roku przysyłał jej kartkę na święta. Przesłał także zdjęcie: stał na nim u boku ślicznej żony, nauczycielki, trzymając na rękach malutką córeczkę.

Morrell rozpromienił się i Beth Ann nabrała nadziei, że inaczej niż podczas ich ostatniego spotkania sprzed miesiąca – zapłaciła wówczas mandat za przekroczenie dozwolonej szybkości, gdy spieszyła się do pacjenta – tym razem jej daruje. Kolejne karne punkty mogą spowodować to, że straci prawo jazdy.

– Więc... pozwala mi pan odejść? Skinął głową.

– Dzisiaj obejdzie się bez mandatu, Beth Ann. Nikomu nic się nie stało. Zresztą mamy na głowie poważniejsze sprawy.

Spojrzeli sobie w oczy i we wzroku szeryfa dostrzegła obietnicę, że nie podda się, odnajdzie mordercę jej matki.

Beth Ann drgnęła. Nagle przypomniały jej się słowa Sida Talleya, które spowodowały, że jechała tak szybko i nieostrożnie.

– Muszę się dowiedzieć, czy to prawda – wyrzuciła z siebie. Nagle przestało się liczyć, czy wlepi jej mandat, czy nie.

Zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi? Czy coś się stało?

Patrzyła na niego i miała ochotę krzyknąć: „Tak, stało się. Moja mama leży w grobie, a ty nic z tym nie robisz”.

– Czy to prawda, że wyłączył pan Marka Jessupa z kręgu podejrzanych tylko dlatego, że ma pieniądze? – zapytała.

Szeryf spowaźniał, z jego twarzy zniknęło współczucie. Złapał ją za ramię i zaciągnął za róg domu, z dala od ciekawskich oczu.

– Skąd, u licha, wzięłaś taką bzdurę? – powiedział szorstko, nie podnosząc jednak głosu. Najwyraźniej nie chciał, by ktoś to usłyszał.

– Już panu mówiłam, szeryfie, że ludzie gadają. Plotkarze już osądzili i skazali Marka Jessupa. A także pana, za opieszałość.

– Cholerni domorośli detektywi. Wydaje im się, że takie przestępstwo można rozwikłać w ciągu godziny, jak w serialu telewizyjnym. – Morrell pokręcił głową. – Rozmawiałem z Markiem tego dnia, gdy...

znaleziono twoją mamę. Niemożliwe, by miał z tym coś wspólnego, Nie wiedział nawet, gdzie mieszkanie, nie miał pojęcia o wygranej.

– Powiedział to panu? Morrell skinął głową.

– No i nie bardzo miał na to czas. Przyjechał z dzieciakiem. Sądząc po zachowaniu starego Hirama, wątpię, by zgodził się popilnować małego, żeby Mark mógł pójść coś załatwić. A za żadne skarby nie uwierzę, by Mark... zrobił to twojej mamie przy dziecku. Widać gołym okiem, jak bardzo kocha tego brzdąca.

Słyszając te słowa Beth Ann poczuła, jak opuszcza ją napięcie. To prawda, Mark Jessup kocha Elięgo tak samo, jak ojca. Jak mogła uwierzyć choćby na chwilę, że taki człowiek byłby zdolny zabić jej matkę? Otarła oczy, nagle pełne łez.

– Przepraszam pana. Ale ludzie... denerwuję się, ilekroć pomyślę o tym, co wygadują. Wiem, że robi pan, co się da. Ale... ale minęły już trzy tygodnie. Bardzo trudno jest mieszkać w tym domu, wiedząc, co się w nim wydarzyło.

– Żałuję, że musiałaś czytać raport koronera – mruknął.

– Sama tego chciałam – przypomniała mu. – Dobrze, że się dowiedziałam, w jaki sposób... moja mama zginęła. Co ten drań jej zrobił...

Nie mogła mówić więcej, w gardle uwięzła jej bolesna kula. Jim Morrell wziął ją w ramiona. Płakała głośno, a on tulił ją jak dziecko.

Ciało zastygło w bezruchu, serce biło jak oszalałe, czujne oczy śledziły córkę nierządnicę. Co ona tu robi? I co ją zdenerwowało do tego stopnia, że omal nie skosiła znaku drogowego?

Widziała mnie? Czyżby znalazła dowód?

Przyszedł strach, a wraz z nim nienawiść do siebie. W Dniu Prawdy wściekłość pojawiła się z niepojętą siłą, a zaraz po niej przyszło przerażenie na widok martwych oczu i wszechobecnej krwi. Nie było już czasu na szukanie, starczyło go tylko na zmycie krwi z rąk i ucieczkę.

Szeryf Morrell przez chwilę rozmawiał z Beth Ann, a potem gwałtownie zaciągnął ją za róg świeżo odmalowanego białego kościółka.

Panika ustąpiła. Gdyby Beth Ann znalazła jakieś dowody, szukałaby wzrokiem... wykrzyczałaby oskarżenia.

I to byłby koniec. Nagły powiew wiatru wywołał dreszcze mimo spoconego czoła.

– Idziesz czy nie?

Głos znajomy od lat. Twierdzące skinienie głową i odchodzą razem. Ale ostrzeżenia Wszechmocnego nie wolno lekceważyć.

Pójdę do rezydencji Lilly Decker, przewrócę do góry nogami każdy pokój, ale znajdę to, co tam ukryła ta dziwka. A jeśli Beth Ann wejdzie mi w drogę... Cóż, wtedy będzie jasne, że moim zadaniem jest skrócić także jej cierpienia.

Niech się dzieje wola twoja, Boże Wszechmocny.

Niech się dzieje wola twoja.

Rozdział 7

Drzwi kuchenne zamknęły się z trzaskiem. Pewnie Eli znowu wymknął się na dwór, wyruszył na kolejną wielką wyprawę. Zawsze wynikają z tego jakieś kłopoty. W zeszłym tygodniu wlaź na stryszek w poszukiwaniu zdziczałego kota, który kręcił się koło stodoły. Mark omal nie zemdlał, widząc synka na takiej wysokości, wiedząc, że podłoga stryszku wcale nie jest taka pewna.

Zerknął na ojca. Drzemał na szpitalnym łóżku, które dostarczono przed dwoma tygodniami. Od godziny oglądali telewizję, ale teraz Hiram zasnął. Oddychał spokojnie, miarowo.

Na wypadek, gdyby jednak nie spał, Mark szepnął:

– Zaraz wracam, muszę sprawdzić, gdzie jest Eli.

Wziął kurtkę z wieszaka, wybiegł na dwór i zawołał synka po imieniu. Cisza. Eli nie mógł odejść daleko, ale nie odpowiadał. Pewnie traktował to jako zabawę.

Mark westchnął. Siedzieli już trzy tygodnie w tym starym domu i Eli niewątpliwie się nudził. Czasami rysował coś przy stole kuchennym i oglądał telewizję z Hiramem, który nadal nie pozwalał nazywać się dziadkiem. Czasami bawił się samochodzikami.

– Cześć, kotku. – Głosik Eliego odezwał się za rogiem budynku. – Zaprzyjaźnijmy się, dobrze? Zobacz, przyniosłem ci serek.

Najwyraźniej nieprzekonany pręgowany bury kot wyskoczył z wysokich traw i jak szalony pognął ku szopie. Mark czekał, że zaraz zobaczy też synka, bo Eli jeszcze nie wiedział, iż pościg za zwierzęciem tylko je płoszy. Malec się jednak nie pojawiał i Mark poszedł sprawdzić, co robi.

Eli stał o kilka kroków od wielkiego preriowego grzechotnika. Najwyraźniej zafascynowany grzechotem ogona, pochylił się z uśmiechem na buzi. Zanim Mark zdążył zareagować, wyciągnął rączkę w stronę intrygującej grzechotki.

– Cholera! – zaklął Mark. Złapał chłopca w tali i błyskawicznie odciągnął na bezpieczną odległość.

Eli pisnął zaskoczony.

– Nie wiesz, że to bardzo niebezpieczne? – zawołał Mark. – Mówiłem przecież, że jeśli zobaczysz węża, masz zaraz do mnie przyjść. Zwłaszcza grzechotnika. – Przytulił synka, który rozplakał się głośno. – Przepraszam. Wiem, że cię przestraszyłem, ale i ja bardzo się zdenerwowałem.

Godzinę później, gdy grzechotnik został już zabity, a Eli ciągle dąsał się w swoim pokoju, Mark stał przed otwartą kuchenną szafką, która służyła za apteczkę. Musiał podać ojcu lek przeciwbólowy i drugi, uspokajający.

W tej chwili Hiram już zapewne odlicza minuty, czekając na to, i przy okazji wymyśla nowe oskarżenia. Czas nie złagodził jego wrogości wobec syna, za to w ciągu ostatnich dwóch tygodni zjawiała się także podejrzliwość. Mark postanowił zapytać o to nową pielęgniarkę, gdy jutro przyjdzie. Czy to kolejna oznaka postępującej choroby, czy dowód na

to, że niepotrzebnie zabrał ze sobą Eliego?

– Nadal się na mnie gniewasz? – Eli mówił cicho, z wahaniem. Mark odwrócił się i zobaczył zasmarkany nosek i łzy na długich rzęsach. Wyjął chusteczkę z pudełka na stole, kucnął i wytarł buzię małemu.

– Nie gniewam się – zapewnił. – Zdenerwowałem się, bo bardzo cię Kocham. Nie chciałem, żeby stało ci się coś złego.

Nagle przypomniał sobie, jak to na niego wrzeszczał ojciec, jeszcze przed wypadkiem. Hiram pieklił się o złe oceny i nierozważną jazdę. Czyżby głęboko pod gniewem także kryła się miłość?

Eli go objął. Mark odwzajemnił uścisk.

– Ja też cię przestraszyłem? Przepraszam. Postarajmy się nie straszyć wzajemnie. Umowa stoi?

Eli skinął głową, a Mark pomyślał, że musi poszukać przedszkola, w którym synek mógłby bawić się z innymi dziećmi i wyładowywać tam nadmiar energii.

Ale jak Eudena powita Eliego? Z obserwacji Marka wynikało, że dzieci są bardziej tolerancyjne od rodziców, póki oczywiście starsi nie przekażą im swoich uprzedzeń. Najbardziej jednak bał się, by na Elim zaciążyły grzechy ojca.

Jakby nie wystarczył sam wypadek, teraz doszły jeszcze plotki wiążące jego powrót ze śmiercią Lilly Decker.

– Podamy Hiramowi lekarstwa i zabierzemy się za spaghetti – powiedział do synka. – Pokażę ci, jak się robi klopsiki łyżką do lodów. Pomożesz mi, jeśli...

– No dobra – mały rozciągał słowa, żeby podkreślić swoje niezadowolenie. – Skoro nie mogę iść do kotka...

Mark nie zdążył odpowiedzieć. Przerwało mu pukanie do drzwi. Dziwne. Gość o tej porze? W niedzielę nie spodziewał się nikogo z hospicjum, zresztą nie słyszał samochodu.

Nagle ogarnął go niepokój. Czyżby szeryf, z braku innych podejrzanych, jak wyczytał w prasie, jednak po niego wrócił?

– Chwileczkę, Eli – powiedział. Wyrzwał przez małe okienko w drzwiach kuchennych.

Zaklął pod nosem. Co ona tu robi?

Zamiast jednak udać, że nikogo nie ma w domu, otworzył drzwi, by powiedzieć Beth Ann Decker, że nie potrzebują jej pomocy, że świetnie sobie radzą bez niej.

Mimo tego postanowienia odruchowo wyciągnął rękę, by jej pomóc, gdy zobaczył, jak zachwiała się pod ciężarem wielkich toreb.

– Ja to wezmę – zaproponował. Torby okazały się naprawdę bardzo ciężkie. – Co to jest, Beth Ann?

Uśmiechnęła się.

– Domowa szynka. Sałatka z makaronem, zapiekanka z fasolą, bułeczki maślane i ciasteczka. Pół hrabstwa, łącznie ze snobami, którzy nie przyjęli mojej mamy do komitetu rozwoju miasta, nazwoziło mi więcej jedzenia, niż dam radę zjeść do setnych urodzin. Pomyślałam, że wam też się przyda.

Już chciał posłać ją do diabła, ale nagle jakby usłyszał głos matki mówiącej, że należy

zaprosić gościa do domu.

Nie zdążył otworzyć ust, gdy na progu pojawił się Eli.

– A jakie to ciasteczka?

Beth Ann uśmiechnęła się do niego.

– Owsiane, z czekoladą, dzieło Sandi Sawyer. Są pyszne.

– Proszę, wejdz. – Mark cofnął się i zrobił jej przejście. – Eli, to pani Decker. Kiedy tu była poprzednim razem, spałeś.

– Dzień dobry. Mów do mnie Beth Ann, jak wszyscy. Stukot laski na linoleum zaintrygował Eliego.

– Co to jest?

Mark zamarł. Czy Beth Ann opowie pięciolatkowi, że to za sprawą jego ojca nigdy nie będzie chodziła o własnych siłach?

Ona jednak w żaden sposób nie okazała zdenerwowania.

– Niektórzy noszą okulary, żeby lepiej widzieć...

– Jak moja mamusia.

Eli zawsze lubił przerywać innym. Beth Ann skinęła głową i mówiła dalej:

– A ja mam laskę, żeby lepiej chodzić.

Eli już chciał coś powiedzieć, ale w kuchni zadzwonił budzik, a z salonu dobiegł starczy głos:

– Chłopcze! Moje pigułki! Chyba że sam je zażywasz albo już je sprzedałeś.

Mark wyłączył budzik, odetchnął głęboko i zawołał:

– Zaraz przyjdę.

Wypakowywał jedzenie, układał ciasteczka dla Eliego na talerzyku, i jednocześnie za wszelką cenę starał się opanować wstyd. Nie dość, że ojciec nie zwraca się do niego po imieniu, ale żeby w towarzystwie Beth Ann zarzucać mu kradzież lekarstw... Czy nie pomyśli, że w więzieniu został narkomanem?

Mark odwrócił się do synka i dał mu talerzyk z ciasteczkami.

– Wiesz, że przed obiadem nie powinieneś jeść słodczy, ale weź to, pójdz do pokoju i narysuj dla pani Decker samochód wyścigowy. Dobrze?

Eli już zamierzał zaprotestować – nie znosił, gdy go nie dopuszczano do rozmów dorosłych – ale ciasteczka zwyciężyły.

– Narysuję pani coś ładnego – obiecał i pobiegł do pokoju, który dla Marka nadal był pokojem Jordan.

Beth Ann położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie przejmuj się tym, co ojciec mówi o lekarstwach. Pacjenci hospicjum często popadają w paranoję. Czasami ludzie tak reagują na stres i cierpienie.

Markowi zrobiło się wstyd, że kilka minut temu chciał ją odesłać z kwitkiem.

– Przykro mi z powodu twojej matki – powiedział.

Wzdrygnęła się, pobladła, jakby powiedział coś... O Boże! Czyżby przyszła tu, żeby się przekonać, czy na pewno nie zamordował jej matki?

– Szeryf Morrell powiedział mi, co się stało – wyjaśnił szybko. – Przyjechali z Rikerem

po twój samochód. To... to z pewnością był dla ciebie ogromny szok. Nadal nie mieści mi się w głowie, że coś takiego wydarzyło się w Eudenie.

Zajął się tabletkami ojca, wsypywał je do papierowego kubeczka, sprawdzał dawki wypisane na kartce i jednocześnie czuł, jak płoną mu policzki. Mimo uśmiechów i ciepłych słów dawała mu do zrozumienia, że dla niej nadal jest tylko byłym więźniem, tym samym draniem, który przed laty zmarnował jej życie.

A czego mógł się spodziewać? W Pittsburgu ludzie traktowali go bardzo dobrze. Przekazując im swoją wiedzę na temat tragicznych skutków jazdy po pijanemu w wykonaniu nastolatków, zdobył szacunek i pieniądze na działalność dobroczynną.

Ale doskonale wiedział, że w hrabstwie Hatcher nie pójdzie tak łatwo. I nawet gdyby po latach zdołał przekonać do siebie część mieszkańców, nie sądził, by Beth Ann znalazła się wśród nich.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Przepraszam, że tak na ciebie spojrzałam. Niepotrzebnie tu przyszedłam...

Czyżby czytała mu w myślach?

– Skąd wiesz, o czym...

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy się denerwujesz, uszy i kark robią ci się czerwone. Zawsze cię zdradzały, nawet w drugiej klasie, gdy pani McLendon kazała ci czytać na głos.

Na wspomnienie tamtych upokarzających chwil Mark sięgnął po kubeczek z lekami. Cały czas się zamartwiał, że Eli odziedziczy jego dysleksję, ale na szczęście malec zaskoczył go, rozpoznając słowa z czytanych wspólnie bajek na znakach drogowych i szyldach ulicznych.

– A zawsze chciałem uchodzić za łobuziaka i nicponia. Roześmiała się.

– Nie przejmuj się, w dawnych czasach udawało ci się nabrać sporo ludzi. Zwłaszcza dziewczyny nie mogły oderwać od ciebie wzroku.

„Ale nie ty” – pomyślał. Była na tyle bystra, że przejrzała go jak nikt inny.

– Zaniosę ojcu lekarstwa, zanim znowu mnie zwymyśla – powiedział.

Poszła z nim do saloniku. Jak zwykle okna były zasłonięte, a telewizor ryczał na pełny regulator. Mark zapalił nocną lampkę. Hiram wydawał się jeszcze bardziej wychudzony i drobny pod stertą koców.

Jeśli nawet zaskoczył ją stan pacjenta, nie dała tego po sobie poznać. Mark wyłączył telewizor.

– Jak się pan ma, panie Jessup? – zagadnęła.

Hiram wziął tabletki i kubek z tacy, którą Mark postawił przy posłaniu, zażył je i dopiero wtedy odpowiedział:

– Umieram, oto jak się mam.

W słowach tych był smutek, którego Mark dotychczas u niego nie słyszał.

Beth Ann dotknęła kościstego ramienia Hirma w geście przypominającym pieszczotę, a potem zatrzymała się na jego nadgarstku w poszukiwaniu pulsu.

– Nie musisz tego robić – burknął. – Pani Stutz przyjdzie jutro. Od śmierci twojej mamy, świeć Panie nad jej duszą, przychodzi dwa razy w tygodniu.

Beth Ann podniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się. Mark mógłby przysiąc, że bezgłośnie porozumiewali się ze sobą.

– Skoro już tu jestem, zbadać pana – powiedziała w końcu. – Nie mogę przecież zapomnieć wszystkiego, co umiem.

– Bardzo ci współczuję, że przeżyłaś taką tragedię. – Hiram cały czas patrzył jej w oczy. – Z tej Lilly było niezłe ziółko, to fakt. Nie mieściła się w żadnych ramach.

Beth Ann uśmiechnęła się.

– Wielu ludzi powiedziałoby, że doczekała się zasłużonej kary. Dziękuję panu. Akurat z pana ust, po tym...

Hiram przerwał jej ruchem ręki.

– Ten proces? Dawne dzieje. Twoja mama robiła, co się dało, żeby cię ratować. Słyszałem, że musiała bardzo słono płacić lekarzom. Ale dzięki temu miała żywą, kochaną córkę.

Mark niemal słyszał niewypowiedziane słowa: a mnie został tylko syn morderca.

Oczywiście Hiram nie ująłby tego w taki sposób, ale na inne sposoby wystarczająco jasno dawał do zrozumienia, co czuje.

Beth Ann uśmiechnęła się.

– To bardzo wielkoduszne z pana strony, zwłaszcza wobec strat, które i pana dotknęły.

Spojrzała na Marka, który z trudem opanował drzenie. Czy jego także zaliczała do strat ojca? Czy Hiram myślał tak samo, a może spisał go na straty jeszcze przed wypadkiem, gdy Jordan ze swymi świetnymi stopniami, urodą i promienną osobowością przyćmiewała starszego brata, sprawiającego więcej kłopotów niż radości?

Beth Ann zmieniła temat, zadając Hiramowi wszystkie standardowe pytania, począwszy od samopoczucia po stan skóry.

– Kiedy mnie nie boli, śpię – oznajmił Hiram. – Przynajmniej próbuję, o ile chłopak nie zmusza mnie do jedzenia...

– To znaczy Mark? – upewniła się.

– No pewnie, że on.

– Mark dobrze się panem opiekuje. I dba o dom. Widziałam, że naprawił tylne drzwi, pomalował kuchnię... Dom wygląda prawie jak dawniej.

Hiram wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Robi, co musi.

Mark czuł, jak boleśnie ściska mu się żołądek. Nie chciał tego słuchać.

– Włożę jedzenie do lodówki.

Układał talerze i garnki, robiąc więcej hałasu niż zwykle. Był wściekły. Dlaczego sam sobie to robi? Widać gołym okiem, że ojciec go nienawidzi, Eli jest mu solą w oku i nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia, że po wypadku zostawił Marka własnemu losowi.

Pewnie żałował, że Mark nie zginął.

– Musicie szczerze porozmawiać. I to jak najszybciej – powiedziała Beth Ann.

Stała za nim. Zdecydowanie za blisko, by czuł się swobodnie. W dodatku mówiła takim ciepłym, pieszczotliwym głosem... Stwierdził, że dawne marzenia jeszcze nie umarły.

– Jak to? – zapytał. – Rozmawiam z nim codziennie.

Pokręciła głową.

– Musicie porozmawiać o tym, co jest między wami. Tak jak ja, kiedy rozmawiałam z nim o mojej mamie i procesie.

Westchnął głośno.

– Po co wywlekać stare sprawy? Nie cofniemy czasu. Jordan nie żyje, podobnie jak Heidi i Larinda. A ty... bez względu na to, co zrobię, nie jesteś i nigdy nie będziesz taka, jak dawniej.

Wyprostowała się, w jej niebieskich oczach pojawił się błysk gniewu, a może urażonej dumy.

– To prawda. Nie będę.

– Czy ulży ci, gdy powiem, że jest mi z tego powodu bardzo przykro? Czy to cokolwiek zmieni? – Choć miał ochotę uciec wzrokiem, wytrzymał jej spojrzenie. Napisał do niej kiedyś list, jeszcze z więzienia. Napisał też do rodziców Heidi i Larindy. Ale powiedzenie tych słów na głos było o wiele trudniejsze. – Bardzo mi przykro, Beth Ann. Mówię szczerze. Było mi przykro przez te wszystkie lata, każdego dnia.

Patrzyła na niego, aż poczuł ból w płucach i zdał sobie sprawę, że w oczekiwaniu na jej odpowiedź wstrzymywał powietrze. Na trzy wysłane listy odpowiedział mu tylko ojciec Larindy, miejski doradca podatkowy, Billy Hyatt. Napisał, że zabije Marka, jeśli nadarzy się do tego okazja.

– Skoro mogłeś powiedzieć to mnie, dlaczego nie jemu?

Mark pokręcił głową. Ogarnęło go rozczarowanie. Oczywiście, że mu nie wybaczy.

– Nie chce tego słyszeć. Zresztą... po co?

– Dlatego, że czas się kończy. Pamiętasz, co powiedziałam? Ma przerzuty do mózgu.

Ogarnęła go panika.

– Myślisz, że koniec jest bliski? Ile ma jeszcze czasu?

– Nie wiem, nikt tego nie wie. Niekiedy wszystko dzieje się szybko, kiedy pacjent dochodzi do tego stadium. Ale czasami chory wytrzymuje dużo więcej, niż moglibyśmy przypuszczać. Zwłaszcza wówczas, gdy tak ważne sprawy są nierozwiązane.

Jej bliskość go oszałamiała.

– Miałem siedemnaście lat, gdy mnie aresztowano – powiedział. – W osiemnaste urodziny trafiłem do więzienia dla dorosłych. Nie twierdzę, że na to nie zasłużyłem. Nie twierdzę, że przeze mnie nikt nie ucierpiał. Ale dużo bym dał, żeby ojciec był wtedy przy mnie. Wiem doskonale – powiedział mi to adwokat – że to on nie pozwalał matce mnie odwiedzać. A potem ona... umarła, zanim odsiedziałem swoje. Przez niego nie mogłem się z nią pożegnać.

Beth Ann podeszła do zlewu, wzięła czystą szklankę z suszarki, nalała zimnej wody z dzbanka w lodówce i podała mu ją.

– Masz teraz ostatnią szansę. Zresztą, po co wróciłeś, skoro nie chciałeś tego naprawić?

Odstawił szklankę na blat. Nie chciał współczucia, nie chciał, by się nim opiekowała.

– A ty czemu tu jesteś? – W jego słowach zabrzmiały oskarżycielskie nuty. – Żeby

udowodnić, jaka jesteś silna? A może żeby się przekonać, czy aby na pewno to nie ja jestem mordercą twojej matki?

Odwróciła się od niego, ale zdążył zauważyć ból w jej oczach. A zatem miał rację, przyszła tu, nękana podejrzeniami.

Jednak nim także nie kierowały czysto altruistyczne pobudki, choć podczas długiej podróży z Pittsburga wmawiał sobie co innego. Złapał ją za rękę i powiedział:

– Nic nie szkodzi, nie obwiniam cię. Wszyscy w hrabstwie Hatcher wiedzą, że siedziałem za spowodowanie śmierci tych dziewcząt. Wszyscy wiedzą, że i przedtem było ze mnie niezłe ziółko.

Wyrwała mu się i spojrzała surowo.

– Nie porównuj mnie z innymi. Nie wiesz, co myślę. I nigdy nie wiedziałeś, o ile mnie pamięć nie myli.

Patrzył, jak rozmasowuje nadgarstek, za który ją trzymał. Poczul się tak, jakby stanął na krawędzi przepaści. Chciał jej dotknąć, tak samo, jak wówczas, gdy zagrzewała zawodników do walki podczas tamtego nieszczęsnego meczu. Wmawiał sobie, że przyszedł tam tylko po to, żeby pilnować Jordan, gdyby Gene Calvert po raz kolejny spróbował ją uwieść. Ale w pamięci pozostał mu podskakujący koński ogon Beth Ann, falująca króciutka spódniczka, fantastycznie długie nogi. Na początku tamtej nocy tańczyła niemal fruując.

A kilka godzin później leżała ranna we wraku dymiącego camaro, wśród martwych przyjaciółek... Jednak teraz była tu, w tej kuchni, choć miała więcej powodów, by go nienawidzić, niż ktokolwiek inny w miasteczku, które wykluczyło go ze swojej społeczności.

– A więc co sobie myślisz? – zapytał.

Zanim odpowiedziała, głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Że jesteś o wiele lepszy, niż się ludziom wydaje. Że nie doceniasz sam siebie.

Podszedł bliżej. Jej słowa promieniowały ciepłem. Oczarował go nieoczekiwany błysk w jej oczach. Powróciło stare marzenie. Odchylił jej głowę do tyłu i delikatnie pocałował.

Przez chwilę czas odmierzało bicie ich serc. Nagle Beth Ann wtuliła się w niego. Przeszyła go bolesna świadomość jej bliskości. Wolną dłonią przesunął wzdłuż jej pleców, zatrzymał się na biodrze. Jak w niezliczonych snach, odpowiedziała cichym jękiem.

Ale w następnej koszmarnej sekundzie oderwała się do niego, spojrzała tak, jakby postradał rozum. On albo ona.

– Nie. – Gwałtownie pokręciła głową. – Nie to miałam na myśli, Mark.

– A może jednak? – Nie dawał za wygraną. – Między nami coś jest. Może zawsze było.

– To stres – zapewniła. – Często się zdarza, że rodzina pacjenta odbiera profesjonalne zainteresowanie pielęgniarki jako coś... Bardziej osobistego.

– Odwzajemniłaś pocałunek, Beth Ann. Nie zapomnę tego. – Uśmiechnął się wdzięczny za to, że rozbudziła w nim nadzieję. – Dawno nie czułem nic równie miłego.

Jej laska zastukała na linoleum. Cofnęła się.

– Zachowałam się jak idiotka, przychodząc tutaj.

Grzywka opadła jej na oczy. Mark miał ochotę odgarnąć niesforne kosmyki, szukał byle pretekstu, by ponownie jej dotknąć.

– Może zostaniesz na kolacji? Dzięki tobie mamy mnóstwo jedzenia. Przecząco pokręciła głową. Unikała jego wzroku.

– Wybacz, jeśli wprowadziłam cię w błąd. Zadzwońię do nowej pielęgniarki twojego ojca, powiem, jak się czuje.

– Nie uciekaj, Beth Ann. Pozwól przynajmniej, że dam ci coś do picia, colę albo... mam dobrą mrożoną herbatę. – Uśmiechnął się. – Jeśli chcesz, zawołam Elięgo. Będzie naszą przyzwoitką.

Nie odwzajemniła uśmiechu. Szła do drzwi sztywnym krokiem, jakby czuła się tu nieswojo.

– Nie, dziękuję. Pożegnaj ode mnie synka. To fajny dzieciak.

Eli zjawił się jak na zawołanie. Trzymał w dłoni kartkę z bloku do rysowania.

– Narysowałem to dla pani – oznajmił i wręczył jej swoje dzieło. – Czerwony samochód jest pani, a niebieski tatusia.

Mark zerknął przez jej ramię na samochody wyścigowe, które narysował Eli. Ciasteczka chyba wyszły mu na dobre, bo przeszedł samego siebie. Uwzględnił liczbę detali zaskakującą jak na pięciolatek – jego samochody miały reflektory, zderzaki i klamki. Brakowało tylko kierowców. Jak zawsze dorysował płomienie idące spod kół i srebrne obłoki dymu.

– To naprawdę bardzo ładne. – Beth Ann wydawała się zdziwiona. – Dziękuję, Eli. Ale pamiętam, że twój tatuś też świetnie rysował. Też lubił szybkie samochody.

Mark przypomniał sobie, że faktycznie w zamierzchłych czasach chętnie rysował w szkole, dopóki nie zaczął buntować się przeciwko wszystkiemu i łobuzować. Zdziwił się, że ktoś to jeszcze pamięta. Zwłaszcza dziewczyna, która zawsze dawała jasno do zrozumienia, że jej plany sięgają daleko poza hrabstwo Hatcher.

– Dzięki. – Eli opuścił wzrok i Mark zobaczył, jak mu czerwienieją uszy. Najwyraźniej odziedziczył tę wadę po ojcu.

– Co robią te samochody? – zapytała Beth Ann. – Ścigają się? Eli pokręcił przecząco głową.

– Nie. To taki pokaz, na którym byliśmy z tatą. Czekają, aż wybiorą najlepszy.

Ale Mark poczuł, że serce bije mu coraz szybciej, bo na rysunku synka zobaczył coś innego: dwa samochody niknące ku sobie, na sekundę przed zderzeniem czołowym.

Rozdział 8

Chyba naprawdę zaraz zadzwonię do szeryfa Morrella i powiem mu, co o tym myślę, że wysyła smarkacza...

– Mamo! – przerwał jej Damon Stillwater. I tak nie mógł zapomnieć ostatniej przemowy szefa. Ale Ginny Stillwater, w różowym szlafroku, który jej kupił na Dzień Matki, dopiero się rozkręcała.

– No dobrze. Niedoświadczonego młodzieńca. Chodzi o to, że nie powinien wysyłać cię na patrol samego. Zwłaszcza teraz, kiedy po mieście grasuje morderca.

Ponownie rozżłościła go jawnie niesprawiedliwa decyzja Morrella, ale Damon ugryzł się w język, zanim poskarżył się mamie. Powiedział tylko:

– Niepotrzebnie się tak denerwujesz. Wiesz, co lekarz powiedział. Poczzerwieniała i był przekonany, że zaraz mu zarzuci, iż wykorzystuje jej chorobę przeciwko niej.

Zanim jednak otworzyła usta, ojciec Damona ściszył telewizor i oderwał wzrok od ekranu, gdzie reklamy przerwały serwis informacyjny.

– A nie przyszło ci do głowy, że Jim Morrell może mieć poważny powód, kierując Damona na nocną zmianę? Nie zapominaj, że to on jest szefem.

Damon i jego matka zdziwili się, słysząc te słowa. Po wielu godzinach pracy w sklepie, Earl Stillwater zazwyczaj nie marnował energii na udział w rodzinnych kłótniach. Większość wieczorów spędzał jak teraz: w ukochanym powyciąganym granatowym dresie, na ulubionym fotelu, z nosem w gazecie albo oglądając wiadomości tak nudne, że Damon od razu zasypiał.

– Niby jaki powód? – zdziwiła się Ginny. – Chyba nie chodzi ci o to, że lubi zaglądać do butelki, jak rozpowiada to ta beczelna plotkara Evelyn? Rozumiem, że rozwód to straszna sprawa, ale to nie powód, by ryzykować życie Damona.

Damon spojrzał ojcu w oczy i pokręcił głową. Nie chciał, by matka dowiedziała się, dlaczego trafił na nocną zmianę, bo wtedy na pewno zadzwoni do szeryfa i powie mu, co o tym myśli.

A jeśli do tego dojdzie, do emerytury zostanie na nocnej zmianie – z przezwiskiem Dzieciak.

Earl Stillwater albo nie zauważył ruchu głowy syna, albo po prostu go zignorował, w każdym razie mówił dalej:

– Słyszałem, że nasz Damon wsadza nos w nie swoje sprawy.

A Damon w swojej naiwności sądził, że do sklepu z artykułami żelaznymi nie dotrą te plotki.

– Ja tylko pomagałem w śledztwie.

Nie musiał dodawać, że chodzi o dochodzenie w sprawie śmierci Lilly Decker. Nawet teraz, kilka tygodni po fakcie, był to ulubiony temat lokalnych plotek.

Damon naburmuszył się. Był święcie przekonany, że sprawa została już dawno rozwiązana, gdyby szeryf nie zlekceważył jego instynktu.

– Proszono cię o pomoc? – Ojciec przyglądał mu się surowo zza okularów do czytania.

– Nie, ale powinni byli to zrobić. – Damon bawił się odznaką, chcąc dać rodzicom do zrozumienia, kto w tej rodzinie zna się na wymierzaniu sprawiedliwości. – Bez sensu jest kazać mi zajmować się ujadającymi psami i pijakami, gdy sprawa stulecia ciągle czeka na rozwiązanie.

– Anie przyszło ci do głowy, że to bardziej doświadczeni policjanci powinni się zająć sprawą stulecia? – Earl pokręcił głową. – Ciągle to samo, synu. Nigdy nie słuchasz przełożonych. Zawsze ci się wydaje, że wiesz lepiej.

Damon przecesał włosy palcami. Dobrze, że są takie krótkie, inaczej chyba by je szybko stracił.

– Tato, nie wracajmy do czasów, gdy jako licealista pracowałem w twoim sklepie. Zapomnijmy o moich kłótniach z tą głupią Jo-Ellen Baxter w sprawie rozmiarów rozków do lodów. Tu chodzi o życie człowieka.

Wypiął dumnie pierś, zaskoczony głębią swojej wypowiedzi.

– O życie Lilly Decker – poprawił ojciec i pokręcił głową.

– Tej kobiety. – Matka szczerzej otuliła się szlafrokiem. – Sprawiała kłopoty za życia, sprawia i po śmierci. Nikt nie chce, żebyś wyciągał dawne brudy i sprawiał, że każdy czuje się podejrzany.

A więc i ona słyszała co nieco, zapewne podczas piątkowej wizyty u fryzjera.

– Kiedy to naprawdę są podejrzeni – Damon obstawał przy swoim. – Wszyscy mieli na pieńku z ofiarą. My nazywamy to motywem. Nieważne, czy chodzi o to, że wybudowała wielki dom, który innym zasłaniał widok na staw, czy usiłowała wkręcić się do komitetu, zerwała kontakty ze starymi znajomymi, gdy się wzbogaciła, czy dlatego, że zerknęła na cudzych mężów...

Matka się zachnęła.

– Nie mieści mi się w głowie, że mogłeś zarzucać takie rzeczy moim przyjaciółkom. Przecież Norma Nederhoffer to porządna kobieta, a nie posiadała się z oburzenia, ona nie mogłaby...

– Nie możemy wykluczyć kogoś tylko dlatego, że wygląda i zachowuje się normalnie – wyjaśnił Damon, choć nie bardzo sobie wyobrażał starą Nederhoffer w morderczym szale, masakrującą Lilly Decker.

Matka splotła ręce na obwisłym biuście.

– Jeśli już musisz wsadzać nos w nie swoje sprawy, rozejrzyj się wśród Meksykanów. Wiesz, że łatwo chwytają za noże. I piją.

– Uważamy, że znała mordercę. – Ponieważ nie było śladów włamania, Damon sam doszedł do tego wniosku, choć utrudniano mu dostęp do informacji.

– „Przypominasz mi mojego Scotty’ego, zanim poszedł na prawo. – Szeryf Morrell położył wielką łapę na ramieniu Damona. – Pozwól, że udzielę ci rady, Dzieciaku. Tutejsi nie lubią, gdy przesłuchuje ich chłopak, który ledwo odrósł od ziemi. To nasi przyjaciele i sąsiedzi – trzeba postępować z nimi delikatnie, bo inaczej zamkną usta. Najlepiej będzie trzymać cię z daleka od tej sprawy”. I na dodatek zabronił dalszego nękania Marka Jessupa. Powiedział, że jest oczyszczony z podejrzeń.

– Chociaż raz posłuchaj szefa – nalegał ojciec. – Wszystko będzie dobrze. Naucz się wykonywać rozkazy, a daleko zajdziesz.

Blok reklamowy się skończył i Earl Stillwater włączył dźwięk, czym dał do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– A ja i tak uważam, że nie powinien jeździć sam – szepnęła matka. – Wszyscy wiedzą, co za ludzie włączają się o pełni księżyca. Niebezpieczni. Jak ci Meksykanie... i gorsi.

Damon nie zwrócił jej uwagi, że najstraszniejsze, najbardziej krwawe morderstwo w historii hrabstwa wydarzyło się, według koronera, w środku dnia. A dobro i zło nie są niestety tak idealnie rozdzielone jak jej blond włosy pod nylonową siateczką.

Druga czterdzieści dziewięć w nocy. Mieszkańcy Eudeny już śpią, wszyscy, plotkarze i podglądacze... i Beth Ann Decker.

Znad prerii nadciągał zimny wiatr, zasnuwał rozgwieżdżone niebo całunem chmur. Wszechmocny najwyraźniej zsyłał burzę, co jest widowym znakiem jego aprobaty – nikt nie zobaczy ruchów, nikt nie usłyszy kroków. A może to ostrzeżenie, że nie wolno dłużej zwlekać?

Dreszcz ekscytacji, że zaraz wypełni się wola Boża. Wszak z każdą chwilą modlitwy stawało się bardziej jasne, że wszystko zostało zapisane w górze.

Nierządnicą musiała umrzeć – to była kara za jej grzechy. A teraz trzeba odnaleźć dowody, które mogą sprawić cierpienie niewinnym, i to jak najszybciej, póki nie będzie za późno.

Tuż pod tylnymi drzwiami rezydencji powróciły wspomnienia krzyków, krwawe obrazy. Drżące ręce otwierają torbę ze sprzętem niezbędnym do tego, by odłączyć alarm i telefon.

Kombinerki upadły na drewnianą podłogę, zahaczyły o doniczkę. Bezruch, oczekiwanie i wdzięczność za wyjący wiatr. Ku niebu pomknęła modlitwa: „Boże, daj mi siłę, by znaleźć ten list, i odwagę, by zrobić to, co trzeba”. I nagle, jakby Najwyższy przejął kontrolę nad sytuacją.

Wbrew chłodnym powiewom wiatru po ciele rozeszło się przyjemne ciepło, które stopiło resztki wyrzutów sumienia i wszelkie obawy.

Czas wykonać Jego dzieło, teraz, z duszą wolną od poczucia winy, z myślami czystymi i nieskażonymi.

Rozdział 9

Deth Ann ciągle śniła o tym pocałunku, rozkoszowała się wspomnieniem dotyku warg Marka, w marzeniach posuwała się dalej, jego usta zostawiały gorący ślad na jej szyi i piersiach, a jego dłonie wzbudzały żar jeszcze niżej.

– Jess – wymamrotała jego stare przezwisko i w tej samej chwili obudziła się z głośno bijącym sercem.

Z jękiem usiadła i poprawiła poduszki. Obwiniąła Marka Jessupa za szesnaście lat bezsennych nocy, ale nigdy nie było jej tak dobrze jak dzisiaj.

Na dworze hulał wiatr, a jej myśli błędziły po zakazanych drogach. Przed oczyma stawały jej obrazy brata Jordan, chłopaka, który zawsze ją intrygował. Chłopaka, który, jak sobie powtarzała, oznaczał kłopoty, bo instynkt ostrzegał ją, że jeśli się w nim zakocha, może zapomnieć o wielkich planach.

Ale on zdruzgotał je dwiema tonami żelastwa, nie pieszczotami, które ze szczegółami wyobrażała sobie w szkole. Przed oczami stanął jej inny obraz – blask reflektorów, które nie wiadomo skąd pojawiły się naprzeciwko.

Przełknęła gorycz podchodzącą do gardła i ciasniej otuliła się kołdrą, by uchronić się przed dziwnym chłodem... Nagle drgnęła, gdy gdzieś w domu rozległo się głucho stuknięcie.

Co to takiego? Strach pełzył z żołądka w górę kręgosłupa.

A potem przypomniała sobie, że po powrocie od Marka Jessupa była tak zdenerwowana, że przechadzała się po całym domu. Zatrzymywała się na chwilę, by zakręcić globusem czy przestawić *marachi*, i zaraz wędrowała dalej, jakby tylko w ten sposób mogła odzyskać spokój ducha.

Unikała pokoju matki od trzech tygodni, a jednak wtedy stanęła na progu, patrząc na nową wykładzinę, narzutę i czyste, białe ściany. Ekipa sprzątająca z Wichita Falls odwaliała kawał dobrej roboty, ale zapach w pokoju był zbyt sztuczny, szpitalny. W niczym nie przypominał zapachu mamy, która, odkąd wygrała fortunę, pławiła się w najdroższych perfumach.

Beth Ann doszła do wniosku, że wietrzenie nikomu jeszcze nie zaszkodziło i otworzyła wielkie okna. Ponieważ nie przypominała sobie, żeby je zamykała, doszła teraz do wniosku, że zapewne wiatr przewracał figurki.

Nacisnęła kontakt nocnej lampki, która jednak nie zapaliła się. Posłała w myślach wiązkę przekleństw pod adresem lokalnej firmy elektrycznej; stare przewody zrywały się przy byle wietrze.

Po omacku zaczęła szukać latarki, którą miała w szufladzie, i laski, którą zawsze trzymała pod rękę. Nagle się zawahała; wyobraźnia podesunęła obraz matki na łóżku, w pokoju zalanym krwią.

Beth Ann nie była pewna, czy mama zginęła w łóżku. Dzięki Bogu szeryf nie pozwolił jej tam wejść. Wystarczyła jednak koszmarne lektura raportu koronera.

Ale mamy tu nie ma, dobrze o tym wiedziała. Nie leżała tam, pocięta na strzępy, z

otwartymi ustami, z gardłem zapchanym...

Beth Ann zła była na siebie, że koniecznie chciała poznać szczegóły. Przez trzy pierwsze noce po śmierci matki mieszkała u Sheryl i Pete'a, który co wieczór wymykał się do swojego warsztatu, zamiast pomóc żonie przy trójce dzieci. W końcu małżeńskie kłótnie zmusiły ją do powrotu do domu. Mogła oczywiście zamknąć Wielki Fart na cztery spusty, włączyć alarm i, póki nie znajdzie niczego mniejszego dla siebie, zamieszkać w pensjonacie Sandi Sawyer. Nie chciała jednak, żeby znów wszyscy zaczęli się nad nią litować.

Nie, lepiej przetrwać najgorsze, a to oznacza, że nie może pozwolić, by pokój mamy zalał deszcz, który na dzisiaj zapowiadano. Beth Ann zacisnęła zęby, zapaliła latarkę, wstała i wyszła na korytarz.

Dziesięć metrów dalej widziała zamknięte drzwi do sypialni matki, choć dałaby sobie rękę uciąć, że zablokowała je kawałkiem różowego kwarcu, ostatnim eksponatem z kolekcji minerałów ojca. Czyżby wiatr był aż tak silny, że odepchnął kamień i zamknął drzwi?

Przypomniała sobie głuchy odgłos i uznała, że to całkiem możliwe wytłumaczenie. Jednak zawahała się z ręką na klamce, bo wyobraźnia podsuwała krwawe obrazy.

Odetchnęła głęboko i powiedziała sobie:

– Do cholery, Beth Ann, weź się w garść i zrób to. W tym pokoju nie ma mamy.

Przekręciła gałkę i pchnęła drzwi... i zaraz potem poleciała do przodu.

Rozdział 10

Atak był szybki, bolesny i nieoczekiwany, jak grom z jasnego nieba.

Beth Ann zatoczyła się, uderzyła głową w kant toaletki, a potem poczuła na szyi dłonie, które wciągnęły ją do pokoju. Latarka upadła na ziemię i zgasła. Sypialnię Lilly spowiała nieprzenikniona ciemność.

Leżała na ziemi, obolała, z dłońmi przyciśniętymi do rany na głowie. Przed oczami stanęły jej słowa z raportu koronera: wykrwawienie, uduszenie, liczne rany cięte.

O nie, nie umrze jak mama.

Zamachnęła się laską jak kijem baseballowym, trafiła w cel i usłyszała głośny jęk. Ogarnięta panika, waliła raz za razem, aż usłyszała trzask toaletki pękającej pod ciężarem ciała napastnika. Drobiazgi posypały się na ziemię, jeden z nich uderzył ją w ramię.

Nawet tego nie poczuła, zamachnęła się kolejny raz, ale trafiła tylko w toaletkę i framugę drzwi. A potem usłyszała ciężki oddech oddalającego się człowieka.

Mokrymi od potu dłońmi błędziła po podłodze, wycacując różne rzeczy jedwabna chusteczka, książka mamy, jej bransoletki... Pełzła do drzwi, żeby je zamknąć. Usłyszała odgłosy kroków na schodach. Chwilę później trzasnęły frontowe drzwi.

Czy napastnik jeszcze wróci? Może z nożem, którym zamordował matkę?

Beth Ann zrobiło się niedobrze, ciemny pokój wirował jej przed oczami. Spod włosów wpływało coś ciepłego, głowa bolała ją jak rozrąbana na pół. Wstrząs mózgu.

Nie wolno jej zemdleć. Wyciągnęła rękę i zamknęła drzwi na klucz. Nadal na czworakach – nie miała siły wstać – dowlokła się do nocnego stolika przy łóżku matki. Zrzuciła na podłogę nocną lampkę, ale znalazła telefon.

Milczał, choć wciskała wszystkie możliwe guziki. I dopiero wtedy zrozumiała, że brak prądu to dzieło ludzkich rąk, a nie sił przyrody.

Miała ochotę ukryć się w szafie mamy i tam wszystko przeczekać. Potrzebowała pomocy, ale umierała ze strachu na myśl o otwarciu drzwi i wędrowce do swego pokoju, do telefonu komórkowego.

Przez kilka minut leżała bez ruchu, nasłuchując najmniejszego odgłosu, walcząc z bólem. Najpierw słyszała tylko szum wiatru, ale potem. .. Co to? Jak trzaskający popcorn...

To deszcz, to tylko deszcz. Zapłakana, zacisnęła zęby. Wspierając się na łóżku, dźwignęła się na nogi. Stała z najwyższym trudem, bo znów wszystko zawyroowało dokoła niej.

Czy odważy się otworzyć drzwi? Może tylko one chronią ją przed bezwzględny mordercą?

Na dole rozległo się walenie do drzwi, jakieś słowa, których nie rozumiała. Jej serce waliło jak oszalałe.

– Boże, nie – szepnęła.

I wtedy usłyszała kroki na schodach.

Zapamiętała jeszcze, że osuwa się na ziemię, ale kiedy upadła na dywan, była już nieprzytomna.

Rozdział 11

Damon Stillwater stał przy drzwiach wejściowych i drżał jak osika, gdy szeryf zaparkował koło karetki pogotowia. Wielki Jim Morrell wygramolił się z samochodu i wbiegł na ganek Szczęśliwego Trafu.

– Co z nią? – zapytał zdyszany.

Damon potrzęsnał głową. Nadal bolało go ramię, którym wyważył drzwi do sypialni. Nadal kręciło mu się w głowie na wspomnienie kałuży krwi, którą zobaczył w świetle latarki. Od razu powróciło wspomnienie przerażenia w martwych oczach Lilly Decker, jej rozwartych ust, w które, jak się później okazało, morderca wepchnął jej wycięty uprzednio implant piersi.

Zrobiło mu się niedobrze i już po chwili wymiotował w krzaki przy ganku. Znowu – tylko że tym razem na oczach szeryfa.

Może jednak wcale się nie nadaje do tej roboty. Jim Morrell poklepał go po ramieniu.

– Nie przejmuj się, Dzieciaku. Ja też przy pierwszym ciężkim przypadku porzygałem się. Ale co z Beth Ann?

Damon splunął, zanim odpowiedział:

– Cała we krwi. Ma ranę na głowie, ale jest przytomna i może rozmawiać, tak przynajmniej było, kiedy Pete Riker kazał mi tu na pana czekać. Jest w domu, razem z sanitariuszami. Odcięto elektryczność i telefon.

– Jak wygląda miejsce zbrodni? Powiedz mi wszystko od początku. Damon głęboko zaczerpnął tchu, co pozwoliło mu trochę dojść do siebie.

– Zadzwoił jeden z chłopaków Winfieldów, chyba Marthias. Zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte. Przejeżdżał obok, wracał z imprezy. Zaniepokoił się o bezpieczeństwo Beth Ann, ale bał się wejść do środka.

– Mądry chłopak. Napastnik mógł ciągle być w środku.

– Przyjechałem. Nie włączyłem koguta ani syreny. Drzwi nadal były otwarte. Wołałem, że jestem z policji, ale nikt nie odpowiadał. Więc wszedłem, żeby się rozejrzeć.

– Trzeba było poczekać na wsparcie – zauważył surowo Morrell. – Oberwiesz, jeśli będziesz się bawił w bohatera.

– Wiem. Ja po prostu... Cały czas myślałem o tym, w jakim stanie znaleźliśmy panią Decker...

– Wiem, co sobie myślałeś, i wiem, że tym razem wszystko się dobrze skończyło. Ale jeśli jeszcze raz wejdiesz na miejsce zbrodni sam, odbiorę ci odznakę, rozumiemy się?

– Tak jest. Przepraszam. – Damon się zastanawiał, czyż powrotem przyjmą go w restauracji do smażenia frytek.

– Pomyśl, jak byłoby mi przykro, gdybym musiał powiedzieć Earlowi i Ginny, że pozwoliłem, by ich syn dał się zabić. A teraz opowiadaj.

– Rozejrzałem się, bo miałem latarkę, i zobaczyłem, że gabinet jest zdemolowany. Wyrwano szufladę z biurka. Wszędzie poniewierały się papiery, włamywacz przewrócił globus, porzucił akta. A potem usłyszałem głuchy odgłos na górze, więc poszedłem sprawdzić, co to.

– I co zobaczyłeś?

– Właściwie wszystko było w porządku. Jedna sypialnia, chyba Beth Ann, była pusta, ale rozścielone łóżko świadczyło, że ktoś w nim jeszcze niedawno leżał. I wtedy zobaczyłem, że drzwi do pokoju pani Decker są zamknięte. Na klucz. Usłyszałem jęk ze środka, kiedy zapukałem. Wyważyłem drzwi.

Odruchowo dotknął obolałego barku. W telewizji wyłamywanie drzwi wygląda na dużo łatwiejsze.

– I wtedy znalazłeś Beth Ann?

Skinał głową.

– Tak jest, ale zemdląła przy progu i trochę czasu minęło, zanim zdołałem odsunąć ją na bok.

– A kiedy wszedłeś, co przede wszystkim rzuciło ci się oczy? – Morrell zatoczył łuk wielką dłonią. – Chcę wiedzieć, jak to wyglądało, zanim pojawił się tam Pete z sanitariuszami. Potem pójdę i sam się rozejrzę.

– Przede wszystkim zobaczyłem krew. Spływała jej po twarzy, skleiała włosy. Na dywanie i na narzucie łóżka były krwawe odciski dłoni.

– Dobra, na razie zapomnijmy o krwi. Co jeszcze?

Damon przypomniał sobie, jak promień latarki błędził po ciemnym pokoju. W drugiej dłoni trzymał broń, przerażony i zarazem podekscytowany myślą, że napastnik nadal znajduje się w pokoju i będzie zmuszony go zastrzelić. Wtedy szeryf Morrell dałby mu medal i przestał nazywać Dzieciakiem.

Ale zamiast psychopatycznego mordercy zobaczył bałagan. Pokój był zdemolowany. Na podłodze poniewierały się puste szuflady i ich zawartość, na półkach nie została ani jedna książka. Zawartość szkatułki na biżuterię wylądowała na łóżku.

– Czyli możliwe, że mamy do czynienia z włamywaczem, a nie zabójcą Lilly Decker. Chociaż przecięte kable świadczą o czymś innym... – myślał na głos szeryf. – A Beth Ann? Powiedziała coś?

Damon nie słuchał, jego uwagę przyciągnął hałas na schodach. Zajrzał do środka i zobaczył sanitariuszy z noszami. Pete Riker oświetlał im drogę latarką wielkości reflektora.

– No? – niecierpliwził się szeryf.

– Zaniepokoił ją hałas w sypialni matki. Poszła sprawdzić, co się dzieje, gdy napastnik złapał ją za kark i pchnął na szafkę. Szarpała się z nim i dlatego uderzyła się w głowę, chyba o toaletkę, a potem włamywacz uciekł.

– Rozpoznała go? Słyszała jego głos?

– Było zbyt ciemno. Zapomniałem zapytać, czy napastnik coś mówił. Zresztą wtedy już przyjechał Pete, a ja udzielałem jej pierwszej pomocy.

Beth Ann mówiła, co ma robić, zgodnie z jej wskazówkami zdjął poszewkę z poduszki i przycisnął do rany na głowie. Syknęła z bólu i wyrwała się.

– Biedna Beth Ann – mruknął Morrell, gdy sanitariusze dochodzili do drzwi.

– Proszę tak nie mówić! – Beth Ann groźnie spojrzała na niego z noszy. – Zabiję każdego, kto będzie się nade mną litował.

– Słyszałam, że groziłaś całej policji. – Sheryl Riker weszła do jednoosobowego pokoju w szpitalu. Aimee Gustavsen, jej młodsza siostra, wbiegła za nią i od razu usiadła na wolnym łóżku. Było wolne od wczoraj, gdy poprzednia pacjentka uznała, że kamienie żółciowe są mniej niebezpieczne niż towarzystwo Beth Ann, po którą może przyjść tajemniczy napastnik i dokończyć to, co zaczął.

– Zaraz mi odpadną nogi. – Aimee założyła za ucho kosmyk platynowych włosów i zdjęła upiorne buty z czubem na makabrycznie wysokim obcasie. Były granatowe, w identycznym odcieniu jak jej żakiet, dobrany do modnej, krótkiej spódniczki. – Sama nie wiem, czemu się tak męczę.

Ponieważ Beth Ann nie współczuła żadnej kobiecie, która z własnej woli poddawała się cierpieniom w imię mody, zignorowała słowa Aimee, wpatrując się w torbę przyniesioną przez Sheryl.

– Błagam, powiedz, że to ubranie, zwyczajne ubranie.

Beth Ann, w przeciwieństwie do byłej królowej piękności, nie interesowała się modą, ale nawet ona nie znosiła szpitalnych koszul, obnażających pupę.

– Najpierw musisz mi powiedzieć, czy naprawdę zagroziłaś Wielkiemu Jimowi Morrellowi? Prosto w oczy? I dlaczego nie przyznałaś się do tego wczoraj, kiedy do ciebie przyszedłem?

Beth Ann się obruszyła.

– Wiesz, miałam na głowie, która zresztą pękała mi z bólu, milion innych spraw. No i przyznaję się, że tamtej nocy nie byłam w najlepszym humorze.

Sheryl się roześmiała.

– Żałuję, że nie widziałam miny Wielkiego Jima. Mój kochany Pete powiedział, że straciłam wielką szansę.

Beth Ann nigdy nie mieściło się w głowie, że kobieta, która tak czule zwraca się do męża, marnuje tyle czasu na kłótnie z nim. Jedną z niepojętych tajemnic życia małżeńskiego.

– Przeprosiłam go – zapewniła przyjaciółkę. Choć wcale nie żałowała swoich słów, była wdzięczna policjantom za to, co robili. Nawet jeśli ich wysiłki nie przyniosły na razie konkretnych rezultatów. O ile dobrze zrozumiała, Morrell i jego ludzie zakładali, że zaskoczyła złodzieja, do którego dotarły plotki o fortunie Lilly Decker jakoby trzymała pieniądze w domu, bo nie ufała bankom.

– Daj mi to ubranie, żebym wreszcie się zmyła z tej zapadłej dziury! – poprosiła.

– Moja droga, czy mi się zdawało, że określiłaś nasze miasto mianem zapadłej dziury? – Do pokoju wszedł Henry Crabtree, który sprowadził na świat wszystkie trzy kobiety i znaczną część mieszkańców Eudeny. Pod wianuszkami siwych włosów gwizdał aparat słuchowy, tak głośno, że Beth Ann zdziwiła się, że usłyszał jej słowa.

– Przepraszam...

– Wczoraj, kiedy trzeba było cię zszywać, nie miałaś nic przeciwko...

– Tak... – Beth Ann miała nadzieję, że spod bandaża nie widać jej wygolonych włosów.

– Nie miałaś też nic przeciwko temu, żeby się urodzić w tym szpitalu...

– To szpital na światowym poziomie – zapewniła, choć wszyscy poważnie chorzy jeździli

do Wichita Falls albo nawet Forth Worth.

Doktor Crabtree zmrużył niebieskie oczy, nadal zadziwiająco bystre jak na ja mężczyznę w jego wieku.

– Nie przesadzaj, Beth Ann. Zawsze mogę uznać, że powinnaś tu zostać na jeszcze jeden dzień. Taki uraz głowy to poważna sprawa.

– Minęło już ponad trzydzieści sześć godzin. Muszę wrócić do domu. – Po pierwsze, uciec ze szpitala, najlepiej w cywilnych ciuchach. Po drugie, kupić najlepszy dostępny na rynku system alarmowy, koniecznie z awaryjnym źródłem zasilania. Po trzecie, sprawić sobie najgroźniejszego, najbardziej bojowego psa, jakiego uda jej się znaleźć. Jeszcze nie wiadomo, czy zaatakował ją włamywacz, czy zabójca matki, ale nie miała zamiaru ryzykować. Ilekroć sobie przypominała, co ją spotkało i jak ta przygoda mogła się skończyć, jej ręce wilgotniały od potu, a w ustach zasychało.

– Przysięgam, panie doktorze, zaopiekuję się nią. – Sheryl podniosła rękę. – Pete i ja nie spuścimy jej z oczu.

Beth Ann skrzywiła się. Sheryl i Pete nadawali się jedynie na krótkie towarzyskie spotkania: grillowanie, urodziny dzieci... Dłuższe przebywanie w ich towarzystwie było bardzo męczące, ponieważ ciągle się kłócili. Doktor Crabtree zbadał ją pobieżnie i podpisał odpowiednie dokumenty.

– Słuchaj przyjaciółki – polecił wychodząc.

Beth Ann wysypała zawartość torby na łóżko. Uśmiechnęła się radośnie na widok ulubionej pary dżinsów, miękkiego niebieskiego sweterka, skarpetek, bielizny i adidasów.

– Dzięki, Sheryl. We własnych ciuchach czuję się o wiele lepiej... I we własnym domu.

Musiała dać do zrozumienia, że wybiera się do siebie, kiedy tylko Wielki Fart nada się do zamieszkania.

– Chyba nie chcesz dalej tam mieszkać – zdziwiła się Aimee. Tak samo zareagowała po śmierci Lilly. – Nie po tym, co się tam wydarzyło. Mogłabym sprzedać ten dom. Mam kilku bogatych klientów, którzy chcieliby udowodnić starym znajomym, jak dobrze im się teraz powodzi.

Choć coraz mniej młodych zapuszczało korzenie w Eudenie, wielu wracało tu w wieku emerytalnym. Ten napływ nowych mieszkańców przysparzał dodatkowej pracy hospicjum i zakładowi pogrzebowemu. Dawniej na prerii toczyło się życie; teraz w hrabstwie Hatcher królowała śmierć.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji co do domu – odparła Beth Ann, głównie z przekory. Choć wciąż nie była gotowa i nie zdecydowała się na konkretną agencję handlu nieruchomościami, wiedziała już, że w wielkim domu będzie się czuła bardzo samotna. I nie zdoła zapomnieć tu o matce, ojej makabrycznej śmierci.

– Wątpię, by ktokolwiek chciał teraz tam zamieszkać. Przecież w kółko pokazują ten dom w telewizji. – Wolą nie włączać telewizora i nie czytać gazet z obawy, co może tam zobaczyć. Sheryl powiedziała jej, że z braku konkretnego podejrzanego dziennikarze najwięcej uwagi poświęcają reputacji Lilly i brutalności zabójcy. Kilka dni temu dowiedzieli się o implantach, o tym, że zabójca wepchnął jeden z nich...

Beth Ann zacisnęła oczy, a Aimee paplała dalej, jak to niektórym kupującym zła sława domu wcale nie przeszkadza, że Beth Ann na pewno sprzeda go z zyskiem. Zauważyła, całkiem słusznie, że jest jedyną agentką nieruchomości z prawdziwego zdarzenia w tej okolicy. Aimee zaznaczyła także, z nieskrywaną pretensją, że gdyby Lilly posłuchała jej rad, posiadłość byłaby jeszcze więcej warta.

– Powtarzałam, że główna sypialnia i łazienka powinny być na parterze. I że nie pojmuję, skąd pomysł na basen w kształcie serca. Ale nie, twoja mama wołała tę zarozumiałą dziewczuchę z Dallas.

– Jeśli chodzi o basen, był to pomysł mamy.

– Oczywiście miejscowi nie byli wystarczająco dobrzy, ani projektanci, ani wykonawcy, którzy przecież nie narzekają na nadmiar pracy i...

– Aimee Lynn Baker Johnson Gustavsen! – Sposób, w jaki Sheryl wypowiedziała pełne nazwisko młodszej siostry, dawał jasno do zrozumienia, co się stanie, jeśli ta się nie zamknie. – Daj dziewczynie spokój!

Beth Ann podniosła wzrok w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak Aimee unosi rękę do gardła, a w oczach, niebieskich dzięki szkłom kontaktowym, pojawia się oburzenie, równie sztuczne jak ich kolor.

– Przecież ja tylko chciałam pomóc – zachnęła się, głęboko dotknięta. – Beth Ann, powiedz szczerze, denerwuję cię?

– Tak. – Beth Ann już dawno temu przekonała się, że o takcie Aimee nie ma zielonego pojęcia. – A czy teraz mogłabym zostać na chwilę sama? Chciałabym się ubrać i uciec stąd, gdzie pieprz rośnie.

Aimee się nadaśała.

– Jasne, rozumiem.

Wsunęła stopy w niewygodne buty, wstała, podeszła do drzwi. Beth Ann obserwowała ją z założonymi rękami i czekała, kiedy egoizm weźmie górę nad urażoną dumą. Aimee odwróciła się ze sztucznym uśmiechem.

– Beth Ann, mam nadzieję, że mi wybaczysz gruboskórność. Zdaję sobie sprawę, że przechodzisz teraz ciężkie chwile i liczę, że w odpowiednim momencie nie zapomnisz, że twoja stara przyjaciółka, która darzy cię szczerym uczuciem, to jedyny w okolicy agent nieruchomości.

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła za drzwiami. Beth Ann zrobiła wielkie oczy, a Sheryl mruknęła:

– Niepojęte, że mamy te same geny. Beth Ann roześmiała się.

– Nie przejmuj się, nie mam ci jej za złe.

– Dzięki Bogu – westchnęła Sheryl. – Zdaję sobie sprawę, że zależy jej na dużej prowizji, ale mimo to...

– Aimee i Ted mają kłopoty finansowe?

– Wyprawy na zakupy do Dallas to drogie hobby, a Aimee zawsze lubiła korzystać z kart kredytowych. Poza tym, w naszym okręgu mało ludzi jest zainteresowanych kupnem nowych, drogich domów, a na stare rudery nie ma popytu.

Beth Ann skinęła głową. Widziała wiele tabliczek „na sprzedaż” smaganych bezlitosnym wiatrem prerii.

– Poczekam przed drzwiami – powiedziała Sheryl. – Zawołaj, gdybyś potrzebowała pomocy.

Uchyliła drzwi i zastęła z ręką na klamce.

– Co? – zainteresowała się Beth Ann.

Sheryl bezgłośnie wypowiedziała dwa słowa. Beth Ann odszyfrowała je od razu. Mark Jessup.

– Co on... – zaczęła, ale Sheryl podniosła palec do ust i uchyliła drzwi odrobinę szerzej.

Beth Ann wytężyła słuch. Doszedł ją kobiecy szczebiot. Niski głos Marka było słychać o wiele lepiej, niósł się echem po korytarzu.

– Niestety, Aimee. Miło mi, że do mnie dzwonicz i mnie odwiedzasz, ale kwiaty są dla Beth Ann. Słyszałem, co się stało. Bardzo troskliwie opiekuje się moim ojcem, więc pomyślałem, że tu wpadnę. U taty jest teraz wolontariuszka.

– Przyszedłeś do Beth Ann? – Tym razem głos Aimee słychać było wyraźnie. – Chyba żartujesz. Żebyś akurat ty...

– Do zobaczenia, Aimee.

Dobitniej nie mógł tego powiedzieć. Beth Ann uśmiechnęła się, gdy sobie wyobraziła minę Aimee. Nielatwo godzi się z odmową. Zwłaszcza od tak przystojnego mężczyzny.

Sheryl odskoczyła od drzwi w ostatniej chwili, bo Mark zaraz do nich zapukał. Zerknęła na Beth Ann – czekała, aż przyjaciółka skinie głową, zanim powiedziała:

– Proszę wejść. Jestem Sheryl Riker z programu hospicyjnego. Rozmawialiśmy przez telefon.

Serce Beth Ann zabiło szybciej, gdy tylko Mark stanął w drzwiach. Wysoki i szczupły, wypełniał sobą cały pokój. Skarciła się w myślach, że zachowuje się jak idiotka. Owszem, to bardzo przystojny facet, ale nie jest przecież zauroczoną nastolatką, która wykleja ściany pokoju plakatami gwiazd. Jak mogła chociaż na chwilę zapomnieć, że to człowiek, który zabił jej przyjaciółki i złamał jej życie?

Przyniósł bukiet żółtych róż – zapewne sporo za niego zapłacił. Za chwilę będzie plotkowało o tym całe miasteczko – poczynając od kwiaciarki, poprzez pielęgniarzy, po królową niesprawdzonych informacji – Aimee Gustavsen we własnej osobie. Beth Ann skrzywiła się lekko – już niemal słyszała, jak Aimee zaprawia swoją wersję złośliwością. Na pewno to zrobi, zważywszy, że sama najwyraźniej miała ochotę na kolejny romans z lokalnym synem marnotrawnym. Mark i Sheryl uściśniły sobie dłonie.

– W imieniu ojca chciałbym za wszystko podziękować, zwłaszcza Beth Ann.

Spojrzał na nią.

– Kiedy usłyszałem, że jakiś sukinsyn cię...

– Piękne kwiaty. – Nagle zaschło jej w ustach. – Ale doprawdy, nie musiałeś...

– Boskie – mruknęła Sheryl i wzięła je od niego. – Wstawię do wody.

– Eli powiedział, że ci się spodobają. – Oznajmił Mark, gdy Sheryl zniknęła w łazience. –

To on wybierał.

– Powiedz mu, że ma dobry gust. A gdzie jest?

– Zawiozłem go do pani Minton. Musi mieć towarzystwo innych dzieciaków, może się z kimś zaprzyjaźni. – W głosie Marka pojawiły się wątpliwości, jakby nie wierzył w to ostatnie.

– Dokonałeś dobrego wyboru. Sheryl mówi, że pani Minton to wspaniała opiekunka – zapewniła Beth Ann. Margaret Minton, emerytowanej nauczycielce, znudziło się czekanie, aż jedyny syn w końcu uczyni ją babcią, i kilka lat temu otworzyła prywatne przedszkole. Cieszyło się takim powodzeniem, że lista oczekujących miała kilometr długości. W jaki sposób Markowi udało się od razu umieścić tam Eliego? Za sprawą pieniędzy czy uroku osobistego? I jak bardzo miejscowi będą mieli mu to za złe?

Zapadła krępująca cisza, a potem Mark zapytał:

– Jak się trzymasz?

Wzruszyła ramionami. Nie miała ani siły, ani ochoty, by opowiadać, że ostatnie tygodnie były jak mozolna wędrówka przez lodowato zimną wodę, jak czasami wpadała w niewidoczną dziurę, aż znikła pod powierzchnią. Że na myśl o obcym człowieku w jej ciemnym domu robi jej się niedobrze.

– Jeśli za dużo nie myślę, czuję się dobrze – powiedziała w końcu. – W kółko planuję, co muszę zrobić. Krok po kroku.

Cokolwiek robiła, jedno pytanie nie dawało jej spokoju: a jeśli szeryf się mylił co do napastnika? Jeśli to naprawdę był morderca jej matki, a nie zwykły złodziejasek?

Mark skinął głową. W jego piwnych oczach pojawił się ciepły blask. Patrzył na nią ze zrozumieniem – on także wiele wiedział o cierpieniu i utracie bliskich osób.

– Niepotrzebnie przyszedłeś – powiedziała szybko, nerwowo. – Doceniam twój gest, ale ludzie i tak już plotkują.

– Przejmujesz się tym?

– Tak. Boja, w przeciwieństwie do ciebie, muszę tu zostać.

– Musisz? – zapytał.

Sheryl wniosła bukiet róż w szpitalnym dzbanku. Z jednego kwiatu, bardziej rozwiniętego niż pozostałe, opadło kilka płatków.

– Mam tu pracę – zauważyła sucho Beth Ann. Unikała jego wzroku, wołała patrzeć na bliznę pod okiem. – Pracę, do której zaraz muszę wrócić.

– Nie ma pośpiechu – zauważyła Sheryl. – Vickie już wróciła z urlopu i zatrzymamy Lou Ann na trochę dłużej. Nie musi od razu wracać na położniczy, w tym hrabstwie rodzi się niewiele dzieci.

– Mogłabyś robić, co zechcesz, gdziekolwiek zechcesz. – Mark patrzył Beth Ann prosto w oczy.

Nie on pierwszy to mówił. Mogłaby zamieszkać w górach albo nad morzem, kupić kilka domów, ubierać się w drogie ciuchy i podróżować po świecie za pieniądze matki. Mogłaby nawet zrealizować stare marzenia i studiować medycynę. Pieniądze nie stanowią już problemu, nie miała też rodziny, którą musiałaby brać pod uwagę.

Nagle stanęła na progu wyboru, kim będzie. Przypomniała sobie, jak bardzo pieniądze zmieniły jej matkę, zniszczyły stare przyjaźnie, wzbudziły nowe urazy, jak zwabiły stado

wampirów, spragnionych jej majątku. Mimo licznych słabości Lilly Decker okazała się nader rozsądna w sprawach finansowych. Słuchała doradców, specjalnie do tego celu zatrudnionych. Choć niewykluczone, że to właśnie pieniądze stały się przyczyną jej śmierci. Beth Ann zrobiło się słabo, serce zabiło jej szybciej. Zbyt wiele możliwości, by przeanalizować wszystkie.

– Beth Ann? – odezwał się Mark.

– Wszystko w porządku, skarbie? – W głosie Sheryl był niepokój. – Mam zawołać lekarza?

Beth Ann pokręciła przecząco głową.

– Nie, chcę już stąd wyjść. Mark, dziękuję ci, że wpadłeś. I dziękuję za kwiaty. Przepiękne.

Chciała mówić zdecydowanym głosem, tak jak on, gdy odprawił, Aimee. W tym celu zmusiła się, by przypomnieć sobie blask jego reflektorów na sekundę przed zderzeniem.

Jednak wizja ta zbladła po tym, jak widziała ostatnio Marka z ojcem i synkiem. Po tym, co czuła w czasie pocałunku...

„Jess”, pomyślała, nazywając go tak, jak niegdyś.

Skinął głową. Z jego wzroku wyczytała, że on także nie zapomniał tamtego pocałunku. Przeszył ją dreszcz. Podciągnęła kołdrę, by osłonić piersi, nagle zbyt widoczne pod cienką koszulą.

Uśmiech Marka mówił, że wie, o czym ona myśli. Nie zdążyła niczego powiedzieć, gdy mruknął:

– Do zobaczenia, Beth Ann. Dbaj o siebie.

Odwrócił się i już go nie było. Starannie zamknął za sobą drzwi. Sheryl odprowadziła go wzrokiem.

– O kurczę! Coś takiego! Ty i on?

Beth Ann skrzywiła się.

– Daj spokój. Jeszcze tylko tego mi trzeba. Sheryl puściła do niej oko.

– No właśnie, skarbie. Właśnie tego ci trzeba.

Rozdział 12

Mark cały czas czuł na sobie czujne spojrzenia ludzi. Obserwował go sprzątac, który mył podłogę przy wejściu, pielęgniarka, która zastygła w pół kroku na jego widok i wybałuszyła oczy zza szkieł okularów, by po chwili zmrużyć je jak kotka. Błękitno-włosa wolontariuszka ze źle dobraną sztuczną szczęką zaplotła ręce na piersi i odprowadzała go wzrokiem.

Rozpoznawali go, wiedzieli, że wrócił. Ta wieść przetoczyła się przez hrabstwo Hatcher niczym niedawny zimny front. O ile niektórzy, tacy jak Sheryl Riker i pani Minton, darowali mu niechlebną przeszłość, o tyle pozostali nawet nie udawali przyjaznych uczuć. Ich lodowate spojrzenia towarzyszyły mu w aptece i sklepie z artykułami żelaznymi, gdy tam wstąpił.

Powtarzał sobie, że to nieważne, że, jak zauważyła Beth Ann, wkrótce stąd wyjedzie, z tego miasteczka, hrabstwa, stanu, i nigdy tu nie wróci.

Więc co robi w szpitalu z bukietem wartym miesiąc pracy? Choć był bardzo wdzięczny Beth Ann za jej dobroć, choć bardzo go pociągała fizycznie, przyznawał przed sobą niechętnie, że przyszedł z tego samego powodu, dla którego posłuchał wezwania Aimee Gustavsen i przyjechał. Pragnął coś udowodnić, zarówno mieszkańcom Eudeny, jak i sobie.

Ale co? Chciał im pokazać, że też jest człowiekiem, czy że ma w nosie, co o nim myślą?

Zapiął spraną dżinsową kurtkę i wyszedł na zalany słońcem parking, gdzie obok starego buicka dostrzegł holowniczą ciężarówkę upapraną błotem. Jej kierowca, o karku i barkach tak potężnych, że zdawały się rozsadzać niebieski kombinezon, przyczepiał linkę holowniczą do zderzaka.

Mark zeszywniał; od razu rozpoznał fryzurę najeża, potężny kark i dłonie jak bochny: Gene Calvert, dawny rozgrywający Czerwonych Sokołów.

Mark po raz pierwszy od wyjścia z więzienia wpadł we wściekłość. Zacisnął pięści i zbliżył się do ciężarówki.

Zawahał się, gdy za jego plecami rozległ się kobiecy jęk.

– O, nie, błagam, nie!

Minęła go szybko, z niemowlęciami na rękę. Jasny kucyk spływał jej na plecy. Miała na sobie niegdyś purpurowy, obecnie wyblakły sweter.

– Nie, błagam, nie! – zaklinała.

– Niestety, Lori. Chyba że zapłacisz mi za rozrusznik gotówką. Odwróciła się. Mark zobaczył przerażenie w niebieskich oczach i rumieniec rozpaczy na okrągłych policzkach. Była młodziutka, miała może dwadzieścia dwa lata, a jej uroda już gasła. Dziecko tuliło się do niej z kciukiem w buzi. Patrzyło na świat wielkimi niebieskimi oczami w chudej twarzyczce.

– Przecież zapłaciłam, wypisałam czek.

– Jak na koncie nie ma pieniędzy, czek jest do niczego – burknął. Chłopczyk zapłakał i poruszył się w objęciach matki. Calvert nawet nie podniósł głowy.

– Naprawdę? Czyli Jake znowu spóźnia się z alimentami. Błagam, panie Calvert. Muszę mieć samochód, inaczej nie dostanę się do pracy i nie zapłacę panu. A Jimmy jest chory. Przyjechałam po receptę.

Calvert w końcu na nią spojrział.

– Nie bawię się w dobroczynność. Cztery stowy i wóz jest twój. Plus sześćdziesiątka za holowanie.

Cholerny drań nie zmienił się ani trochę. Mark podszedł bliżej. Calvert albo go nie widział, albo celowo nie zwracał na niego uwagi.

– Czteryśta? – Kobieta kołysała malucha, żeby przestać płakać. Poprawiła go na rękę i odsłoniła wydatny brzuch – kolejna ciąża, mniej więcej szósty miesiąc. – Przecież na rachunku było trzysta pięćdziesiąt dolarów.

– Ale teraz narobiłaś mi kłopotów z czekiem bez pokrycia. No i dochodzi koszt holowania, kiedy tu skończę. W sumie czteryśta sześćdziesiąt.

– O Boże. Ale ja nie mogę... Niech mi pan to rozłoży na raty. W przyszłym miesiącu dostanę podwyżkę i...

– Gdybyś zapłaciła w terminie, nie byłoby problemu. – Calvert sprawdził, czy linka jest dobrze umocowana, i ruszył do swego wozu. – Tylko nie proponuj, że zapłacisz mi w naturze. Nie kręcisz mnie.

– Co?! – zawołała, aż chłopczyk się rozplakał i wypuścił palec z buzi.

– Czteryśta? – włączył się Mark.

Z trudem powstrzymał uśmiech, gdy Calvert odwrócił się gwałtownie. A zatem do tej chwili ten dupek go nie widział. I dobrze. Patrzył z satysfakcją, jak nalana twarz ciemnieje, a potężne ramiona napinają się.

– Jessup! – Gene w końcu doszedł do siebie. – Słyszałem, że znowu się tu kręcisz.

– Pytałem, czy rachunek tej pani wynosi czteryśta dolarów?

– A co cię to do cholery obchodzi?

Mark sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, w której ukrył gotówkę, podjętą w drodze po kwiaty. Czteryśta dolarów to prawie wszystko, co miał przy sobie, ale co z tego? Zawsze może podjąć więcej, a grymas na twarzy Calverta był wart każdej ceny.

Prze moment wydawało się, że Calvert nie przyjmie pieniędzy, ale zaraz wyciągnął wielką łapę po plik dwudziestodolarówek. Mark jednak cofnął dłoń.

– Najpierw odczep wóz.

W potężnej szczęce zadrgał mięsień, na skroni pojawiła się nabrzmiąca żyłka. Mark czekał. Niewykluczone, że Calvert zaraz dostanie apopleksji. Choć duży i silny, był tchórzem i nigdy nie atakował, nie mając za plecami wsparcia kolegów.

Calvert podszedł do buicka.

– Pieprzony frajer. Dupek. Mam nadzieję, że w więzieniu nieźle cię przecwelowali.

Z szerokim uśmiechem, którego nie zdołał dłużej powstrzymać, Mark zbywał podziękowania Lori.

– Zwrócę to panu, obiecuję – zaklinała się ze łzami w oczach. – Nazywam się Lori Fuller i oddam panu wszystko, co do centa.

– Proszę się nie przejmować – mruknął. – Za ten widok chętnie zapłaciłbym dużo więcej. Ja i Gene znamy się od lat. Starzy z nas kumple, można by powiedzieć.

Uciszyła dziecko, ciągle rozpromieniona.

– Nie jestem pewna, czy pan Calvert darzy pana sympatią, ale ja owszem. I wie pan co, panie Jessup? Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają.

– Tylko proszę nikomu o tym nie mówić, dobrze? – Nie uśmiechała mu się myśl, że jego uczynek zostanie uznany za próbę wkupienia się w łaski miasteczka.

Wzruszyła ramionami.

– Jak pan chce. Proszę wpaść do baru pod Błękitnym Kojotem, jestem tam kelnerką. Zapraszam pana na kawę. Mamy pyszne ciasto.

– Bardzo chętnie – odparł.

Calvert wracał. Wyciągnął wielką dłoń.

– Dajesz kasę czy tylko tak gadałeś?

Mark podał mu banknoty. Gene przeliczał je ostentacyjnie.

– Zgadza się – przyznał i łypnął okiem na Lori. – Za taką forszę mogłeś sobie kupić lepszą dupę.

Odwracał się już, gdy Mark złapał go za kołnierz i szarpnął, aż pękł materiał.

– Codo...

– Musisz przeprosić panią – wycedził Mark przez zęby. Liczył na to, że Calvert odmówi. Miał dziką ochotę odplacić mu za Jordan, za siebie.

Gene zacisnął usta, cofnął się, odetchnął głęboko... a potem powiedział:

– Bardzo mi przykro, Lori. Nie powinienem wyładowywać złości na kobiecie. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. – Odchrząknął, bo mówił coraz bardziej ochryłym głosem. – I wrócisz do mojego warsztatu.

– Mało prawdopodobne – mruknęła.

– Dostaniesz zniżkę w wysokości dziesięciu... niech będzie piętnastu procent na wszystkie usługi. – Wyglądał potulnie, ale Marka nie nabrał. – Chciałbym ci pokazać...

– Pomyślę – odparła lodowatym głosem.

Mark długo jeszcze rozkoszował się widokiem upokorzonego Calverta.

Aż do chwili, gdy wyszedł ze sklepu Barty'ego, pchając wyładowany wózek w stronę swego pikapa.

Przynajmniej sądził, że to jego pikap. Trudno być tego pewnym, skoro z maski i szyby spływały litry czerwonej farby, a na drzwiach widniało wgniecenie w kształcie buta.

Starszy mężczyzna zatrzymał się, by popatrzeć. Odchrząknął, splunął na chodnik i poradził:

– Zadzwon pan do Czerwonego Sokoła. Calvert zna się na malowaniu.

– Jasne. – Mark nie odrywał wzroku od samochodu. – Też tak uważam.

Rozdział 13

Dziewięć dni później...

Nad złocistozieloną jesienną prerią kotłowały się ciężkie szare chmury, tak nisko, że tylko szyby wiertnicze i wieże kościelne ratowały hrabstwo Hatcher przed zmiążdżeniem. W przeciwieństwie do nocy, podczas której napadnięto Beth Ann, najmniejszy powiew wiatru nie zakłócał spokoju traw. Ani jedna kropla deszczu nie spadła na wysuszoną ziemię.

Poranna cisza czekała wśród mgły ze wstrzymanym oddechem.

Zdenerwowana Beth Ann wjechała na podjazd Jessupów. Od kilku dni jeździła nowiutkim błękitnym suvem; kupiła go, gdy oddała swojego staruszka na cele dobroczynne, a mercedesa Lilly wstawiła do komisju w Wichita Falls. Przy okazji spotkała się też z hodowcą psów, którego poleciła Emmaline Stutz. Postanowiła sprawić sobie psa obronnego.

Odruchowo spojrzała do tyłu, gdzie leżał płowy, wielki labrador.

– Cześć, kochanie – odezwała się do niego, głównie po to, żeby zagłuszyć swoje własne obawy na myśl o zadaniu Markowi Jessupowi niewygodnych pytań. Wbrew radom tresera, który tłumaczył, że można zepsuć psa, robiąc z niego domowego pieszczocha, Beth Ann uważała, iż najlepiej będzie zaprzyjaźnić się z nim.

Złocista labradorka Maia waliła ogonem w szybę tak energicznie, że Beth Ann zaczęła się zastanawiać, czy gwarancja obejmuje uszkodzenia powstałe wskutek machania ogonem. Lilly zawsze twierdziła, że jest uczulona na sierść, więc Beth Ann nigdy nie miała żadnego zwierzaka.

Wysiadła z samochodu, wzięła smycz i pogłaskała wielki złocisty łeb.

Maia radośnie polizała japo twarzy.

– Maia, nie wolno – skarciła ją Beth Ann, zgodnie z zaleceniami tresera. Ale w głębi serca ten dowód sympatii sprawił jej przyjemność.

Suka wyskoczyła z wozu i posłusznie szła u boku swojej pani do domu Jessupów. Nie niecierpliwiła się, gdy Beth Ann powoli wchodziła na ganek, i usiadła grzecznie, gdy jej pani podnosiła rękę, by zapukać do drzwi...

Beth Ann zawahała się. Nagle spokój opuścił ją całkowicie.

Przełożyła laskę do drugiej ręki, wyjęła białą kopertę z kieszeni i po raz kolejny spojrzała na wypisany ręcznie adres. Adresatką była Lilly Decker, a nadawcą Mark Jessup z Pittsburga. Stempel pocztowy nosił datę piętnastego września.

Technik, który instalował nowy alarm, znalazł kopertę na podłodze w saloniku, za sekretarzykiem matki. Nigdzie jednak nie było samego listu, ani żadnych innych dowodów na kontakty matki z Markiem Jessupem. Od dwóch dni zastanawiała się, dlaczego Mark napisał do jej matki miesiąc przed powrotem do hrabstwa Hatcher. Jednak po dwóch bezsennych nocach nadal nic nie przychodziło jej do głowy. Rano postanowiła zanieść kopertę do szeryfa. Już dojeżdżała do posterunku, gdzie z pewnością potraktowano by ją jak chore dziecko, gdy nagle zawróciła i ruszyła w przeciwną stronę. Szeryf Morrell nie zdoła albo nie zechce

udzielić jej odpowiedzi, ale Mark Jessup może to zrobić.

Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem, tym bardziej, że ciągle pamiętała o tamtym pocałunku. Teraz jednak, na progu jego domu, zastanawiała się, czy nie popełniła strasznego błędu. Czy przyjście tutaj nie jest zdradą pamięci matki?

– Och, weź się w garść – mruknęła pod nosem i energicznie zapukała do drzwi.

Minęła dłuższa chwila, zanim Mark stanął w progu.

Była dopiero ósma, ale chyba nie spał od dawna – może w ogóle.

– Ale jesteś szybka. W biurze powiedzieli, że przyślą kogoś nie wcześniej niż za godzinę, ale dzięki Bogu zjawiłaś się. – Cofnął się i wpuścił ją do środka, zerknąwszy na Maię. – Musisz coś zrobić.

– Co się stało? – zapytała. – Właściwie nie przyszedłam tu służbowo.

– Z trudem oddycha – wyjaśnił Mark. – Cały czas gra mu w płucach. Marznie, chociaż owijam go kocami. Nie może usiedzieć bez ruchu, ale od wczoraj nie reaguje na słowa.

Beth Ann wsunęła kopertę do torebki. Pytania mogą poczekać, dopóki Mark się nie uspokoi.

Weszli do saloniku. Hiram rzucał się niespokojnie pod kocem. Nawet bez stetoskopu Beth Ann słyszała, że ma zajęte płuca. Zawołała go, ale nie uniósł powiek. Jego skóra była blada jak chude mleko.

Rzuciła torebkę na fotel i kazała suce siedzieć.

– Panie Jessup, przyszedłam do pana. To ja, Beth Ann Decker. – Dotknęła czoła Hiram, pogładziła zmarszczki. – Zaraz coś panu podam i poczuje się pan lepiej. Pana syn jest tu ze mną.

Zerknęła na Marka.

– A gdzie Eli? – zapytała.

– Jest u siebie, ubiera się. Matka kolegi z przedszkola zabierze go za jakieś pięć minut. A może... a może dzisiaj powinien zostać w domu?

– Poczekaj, sprawdzę, jak wygląda sytuacja i co możemy zrobić dla twego ojca.

Przeszli do drugiego pokoju. Beth Ann przejrzała zapiski w dzienniku choroby i wyjęła lekarstwa z lodówki.

– Zadzwoni do biura i powiedz, żeby nikogo już nie przysyłali, bo ja tu jestem. Mam wszystko w samochodzie. – Na całe szczęście przepakowała wszystko ze starego subaru.

– Dobrze, ale najpierw muszę wiedzieć. Czy to już? Czy Eli ma zostać w domu? Musisz mi powiedzieć, Beth Ann. Musisz mi pomóc.

Spojrzała na niego.

– Takie jest życie. Dobrze o tym wiesz.

– Wbiłem sobie do głowy, że ojciec dotrzyma do święta Dziękczynienia. To jeszcze tylko tydzień. Tydzień i kilka dni.

– Mark, ze śmiercią nie ma targów. Twój ojciec umiera. To może trwać kilka godzin albo kilka dni.

Mark skinął głową i głęboko wciągnął powietrze. Czerwona blizna odcinała się wyraźnie od jego bladej skóry. Wydawał się tak bezradny, że Beth Ann miała ochotę wziąć go w

ramiona i utulić.

Zaskoczyło ją to pragnienie. Miała do czynienia z wieloma zgonami, wielu rodzinom towarzyszyła w ostatnich chwilach. Co Mark Jessup ma w sobie takiego, że przekracza linię dzielącą profesjonalną troskę od prywatnego współczucia?

– Ja... ja sprawdzę, czy Eli umył zęby – powiedział. – Podoba mu się w przedszkolu pani Minton. Chyba nawet ma przyjaciółkę. Codziennie dla niej rysuje.

Beth Ann musiała się upominać, by nie ulec jego czarowi. Nawet podejrzenia związane z kopertą nie pomogły; sięgnęła więc do wspomnień sprzed lat, do bolesnej rehabilitacji.

Przypomniała swoje martwe przyjaciółki i siebie samą sprzed lat, sprzed wypadku.

Mark już dzwonił do biura z telefonu w kuchni. Beth Ann wzięła się w garść, zabrała medyczną torbę z samochodu i zajęła się ojcem – sprawdziła jego stan i podała leki, które ułatwią mu oddychanie i złagodzą, jak to mówili lekarze, finalny niepokój. Zabrała także koce, bo mimo chłodnego ciała, Hiram miał wysoką temperaturę.

Uspokoił się. Słuchała, jak oddycha, nierówno, z przerwami. A jednak cały czas była świadoma obecności Marka – przeszedł z kuchni do korytarza, gdzie mieściły się sypialnie. Słyszała cichy skrzyp zawiasów i jego niski głos, gdy rozmawiał z Elim.

– Wszystko w porządku, panie Jessup – powiedziała cicho do Hirama. – Tam już czeka na pana żona. I Jordan. Bardzo się ucieszą na pana widok.

Zaczął oddychać spokojniej. Wszedł Mark, prowadząc synka za rękę. Schludnie ubrany i uczesany chłopczyk rozpromienił się na jej widok.

– Dzień dobry, panno Beth Ann. Ma pani jeszcze ciasteczka? Wtedy zobaczył psa. Wyrwał się Markowi i podbiegł do Mai.

– Uważaj! – zawołała Beth Ann. – To pies obronny!

Maia skakała z radości. Gruby ogon smagał powietrze. Eli objął ją za szyję i uściaskał serdecznie.

Kiedy Maia lizała go po twarzy, chichotał głośno.

– Jest taka fajna jak Beau – orzekł i otarł sobie buzię rękawem. Na czerwonej koszulce w kratkę widniała odznaka z napisem: „Młodszy posterunkowy”.

– Beau to nasz pies – wyjaśnił Mark. – Też mamy labradora, wielkie bydlę. Teraz opiekuje się nim nasz przyjaciel. A ten, kto ci wmówił, że labrador to pies obronny, nabił cię w butelkę.

Beth Ann zmarszczyła brwi.

– Przecież zaklinał się...

Urwała. Rzeczywiście, ten facet od psów wydawał się podejrzany... Mark podrapał Maię za uszami i odprężył się odrobinę.

– Nic nie szkodzi. Labratory mają wiele zalet.

– Mogę przed wyjściem odwiedzić Stromy? – zapytał Eli. – Może dzisiaj pozwoli mi się pogłaskać.

– Wątpię, czy kiedykolwiek ci na to pozwoli – mruknął Mark.

Eli nie zdążył odpowiedzieć, bo na dworze rozległ się klakson. Biegł już do drzwi, ale Mark go zatrzymał.

– Chwileczkę, kolego. Pożegnaj się z dziadkiem. Coś w głosie ojca sprawiło, że mały zeszywniał.

– Nie bój się, Eli. Już jest spokojny – zapewnił Mark. – Ale chyba cię słyszy.

Eli niechętnie podszedł bliżej.

– Do widzenia, Hiram. Mam nadzieję, że kiedy wrócę, będziesz się czuł lepiej. Pooglądamy twoje ulubione programy, nawet ten o zakupach, jeśli chcesz. I narysuję ci coś.

Podniósł wzrok na ojca i Beth Ann.

– Cześć, tato. Do widzenia, panno Beth Ann.

Mark poszedł za nim. Uświadomiła sobie, że Mark kazał chłopcu pożegnać się z dziadkiem, ale Eli nadal mówił o starcu po imieniu. Tyle niedokończonych spraw między ojcem i synem, dziadkiem i wnukiem. .. Przytłaczały ten dom, jak chmury prerie, jak smutek jej serce.

Czasami Bóg posługuje się siłami Natury, by wypełniła się Jego wola. Dzisiaj na przykład chmury spowiły cały świat gęstą mgłą i można bez trudu śledzić Beth Ann, tak żeby nikt tego nie zauważył.

Po niepowodzeniu sprzed dziewięciu dni kusila myśl, by spróbować jeszcze raz, włamać się ponownie i poszukać listu, który Lilly Decker, jak sama twierdziła, dostała szesnaście lat temu i zachowała do dziś. Ale ludzie szeryfa obserwowali Wielki Fart i trudno przewidzieć, kto się tam zjawi w najmniej odpowiednim momencie. A więc pozostało tylko jedno – obserwować Beth Ann i starać się odgadnąć, czy znalazła już to, co koniecznie trzeba zniszczyć.

Siedzenie jej to nie lada wyzwanie. Trudno się tak w kółko wymykać, nie budząc podejrzeń. I chyba bez sensu, zważywszy na to, co robiła przez ostatnie dni.

Może nierządnicą tylko żartowała, kpiła, jak to miała w zwyczaju. Ale tym razem miarka się przebrała. Znowu powróciło wspomnienie tryskającej krwi, cieplej, jasnej i mokrej. Pojawiło się pragnienie, by pozbyć się przeszkody, raz na zawsze.

Rano sytuacja stała się niebezpieczna – Beth Ann pojechała swoim nowym wozem prosto na róg Main i Travis, po czym, trzydzieści metrów od budynku, w którym mieściła się straż pożarna i posterunek policji, zawróciła i pojechała na prerie.

Do domu Jessupów.

Czyżby miała zamiar pracować mimo odziedziczonej fortuny? Podobno tak, choć ludziom, którzy pracowali jedynie dla pieniędzy, trudno było w to uwierzyć.

Jednak krążyły też inne plotki, o bukietach żółtych róż, które Mark Jessup zaniósł jej do szpitala. Podobno mimo fatalnego wypadku sprzed lat Jessup ma na nią ochotę. Czy kuszą go miliony Lilly, czy naprawdę widzi w Beth Ann coś więcej niż kalekę z laską? Nieważne. Źle, że pojechała do niego z tym, co odkryła. Przecież ten list może wzbudzić jej podejrzenia wobec Morrella. I zorientuje się, że istnieje tu konflikt interesów.

Lornetka potwierdzała podejrzenia. Obraz był nieostry, ale to, co Beth Ann wyjęła z kieszeni, wyglądało na białą kopertę. Albo list.

„Oczywiście Bóg kazał mi to zobaczyć. Bo niby po co miałby zsyłać dzisiaj mgłę? Chciał mi ułatwić zadanie. Wiem, że moim zadaniem jest pozbawić życia jeszcze dwie osoby”.

Rozdział 14

Jak myślisz, obudzi się jeszcze? – zapytał Mark z niepokojem. Tak mało sobie powiedzieli.

Beth Ann przycupnęła na skraju kanapy, z dala od niego. Siedział skulony, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Być może.

Zresztą, co to zmieni, jeśli ojciec na kilka minut odzyska świadomość? Mieli tyle dni, tyle tygodni... Tyle lat, szesnaście, dokładnie mówiąc, a obaj to zmarnowali.

– Zabrakło nam czasu. – Wziął kubek ze stolika i wypił łyk zimnej kawy. Nie spał od trzeciej nad ranem i zamykały mu się oczy. Odwrócił głowę. – Boże, tak mi przykro. Przepraszam cię, tato. Za wszystko.

– Nigdy nie ma dość czasu – odparła Beth Ann. – To jedna z wielu rzeczy, których się nauczyłam w tej pracy.

– Przestrzegałaś mnie. Ale ja nie... nie mogłem rozmawiać z nim o Jordan. Ani o mamie, ani o zmarnowanych latach.

– Bardzo ci współczuję.

Te proste słowa sprawiły, że zaczął się zastanawiać, ile razy już to mówiła rodzinom innych pacjentów. Jest dobra w swoim fachu.

– Czy... musisz zaraz iść? Wiem, że masz innych pacjentów. – Sheryl Riker wytłumaczyła mu przez telefon, jak ciężko pracują pielęgniarki z hospicjum. Dała mu telefon do pastora Timmonsa, z kościoła, do którego kiedyś chodziła jego rodzina, i telefon do kilku wolontariuszy. Pomocnica przychodziła kilka razy w tygodniu, pomagała mu myć ojca i zmieniać pościel. Ale to wszystko byli obcy. Nie to, co Beth Ann.

– Nie mam nikogo do jutra – odparła. – Zostanę jeszcze trochę, aż się uspokoi.

Wiedział, co naprawdę miała na myśli: obawiała się nie tyle o ojca, co o niego. Był jej za to bardzo wdzięczny.

– Po co przysłaś? – zapytał. – Powiedziałaś, że nie jesteś tu służbowo.

Spochmurniała.

– Później o tym porozmawiamy.

– O czym? – Nie dawał za wygraną.

– Ja... słyszałam, że zdemolowano ci samochód. Wszystko już w porządku?

Nie sądził, by naprawdę akurat o to chciała zapytać, ale nie naciskał dalej.

– Poradzę sobie – mruknął.

– Na razie nie chcesz o tym rozmawiać, tak?

Skinął głową.

– Powinnaś była zostać lekarzem. Wiem, że tego chciałaś. Wszyscy uważali, że dostaniesz stypendium. Zanim...

Beth Ann wzruszyła ramionami.

– Bardzo długo byłam zła na siebie, że nie poszłam na medycynę. Jeszcze dzisiaj czasami o tym myślę.

– Wiem, że mnie nienawidzisz. Łatwo to zrozumieć.

– Nienawidziłam cię. Moje przyjaciółki nie żyły, a ja przez kilka lat męczyłam się na fizjoterapii. Przez wiele lat nie mogłam się poruszać.

– Nadal cię boli? Przecząco pokręciła głową.

– Nie chcę współczucia. Cieszę się z tego, co mam. Byłam najlepsza na roku na Midwestern, w ciągu czterech lat odstawiłam wózek inwalidzki.

– Jesteś dzielna.

– Błagam cię. Nie jestem dzielna i nie jestem aniołem. Dużo płakałam, jeszcze więcej klęłam. Wkurzałam się, że studiowałam w Wichita Falls, a nie w Austin, że zostałam tylko pielęgniarką, a nie lekarzem. A to wszystko z braku pieniędzy. Potem byłam wściekła, że z moją niesprawnością mogę pracować tylko w hospicjum – a za skarby świata nie zamierzałam do końca życia zajmować się umierającymi. Szybko się przekonałam, że nie wszyscy pacjenci są starzy. A niektórzy cierpią od tak dawna... To nie było łatwe.

– Ciągłe się słyszy o braku pielęgniarek w dużych miastach, Dlaczego nie próbowałaś...

– Nie mogłam też uciec w małżeństwo – ciągnęła, jakby go nie słysząc. – Tutejsi mężczyźni na mój widok myślą o tragedii, nie o romansie. No i plotka głosi, że za bardzo mnie pokierosowało, żebym mogła mieć dzieci.

Nie zdobył się na to, by zapytać, czy to prawda, czyżby i to jej odebrał? Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się.

– Może dlatego nie chciałam, by użalano się nad biedną Beth Ann, bo sama się nad sobą użalałam?

Nie znał innej kobiety, która traktowałaby na siebie z takim dystansem. Ani żadnego takiego mężczyzny.

– Sam coś wiem na ten temat.

Przechyliła lekko głowę. Lśniący rudy kosmyk wymknął się spod klamry. Miał ochotę wsunąć go jej za ucho.

Spojrzała na Hiram. Pewnie pomyślała o tym, jak Hiram odwrócił się od ocalałego syna. Beth Ann była wtedy w Dallas, na oddziale intensywnej terapii, ale Mark nie wątpił, że później usłyszała o wszystkim ze szczegółami.

– Więc co sprawiło, że stanęłaś na nogi? Że zapomniałaś o gniewie i przestałaś użalać się nad sobą? Bo jesteś tutaj, ze mną, i jak na razie nie wydrapałaś mi oczu.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie wiem, czy uwierzysz, ale zawdzięczam to pracy. Początkowo myślałam, że wytrzymam rok czy dwa, żeby zdobyć doświadczenie, a później poszukam innego zajęcia. Fizycznie byłam coraz silniejsza. Ale kiedy pracujemy z umierającymi, kiedy co dzień stajemy twarzą w twarz ze śmiercią, zaczynamy dostrzegać rzeczy, które innym umykają.

– Na przykład? – Serce mu się krajało, gdy patrzył na konającego ojca, choć oddalili się od siebie przed szesnastu laty. Nie wyobrażał sobie, jak można w kółko przez to przechodzić. Czyjaś żona, czyjaś matka... smutek i rozpacz w niekończącym się pochodzie.

– Uznasz, że to głupie. – Podniosła głowę znad kubka kawy, który jej przyniósł.

– Nie obiecał.

Upiła łyk kawy i skrzywiła się.

– Mocna.

– Musiałem się obudzić. W kuchni jest mleko i cukier.

Pokręciła przecząco głową i odstawiła kubek.

– Kiedyś robiło mi się niedobrze, ilekroć słyszałam, zwłaszcza w kościele, że ktoś ma do czegoś powołanie. Ale po kilku miesiącach pracy zrozumiałam, o co chodzi. Moja praca – ułatwianie przejścia na drugą stronę, pomoc rodzinie w uporaniu się ze smutkiem – wydaje mi się bardzo ważna.

– Oczywiście.

– Zrozumiałam, jak okrutnie niesprawiedliwa jest śmierć, a to, czy jesteś dobry czy zły, młody czy stary, przed niczym cię nie uchroni. Pomyślałam, że pomimo wszelkich przeciwności losu trzeba cieszyć się każdą chwilą. Zbyt wielu ludzi nie chce tego zrozumieć, tacy jak ta znudzona młodzież, która ze mną studiowała.

Mark się roześmiał.

– Wiem, o co ci chodzi, miałem kolegę, który zawsze ubierał się na czarno i ćwiczył w lustrze znudzoną minę. Ja też studiowałem później, z młodszymi do siebie. Trudno się dostosować, prawda?

– Tak, ale co z tobą? Co sprawiło, że przestałeś się wściekać na cały świat?

Zawahał się.

– Wiele czynników. A na początku byli Bill i Carol Grafif. Kiedy wyszedłem na zwolnienie warunkowe, Bill dał mi szansę, zatrudnił mnie w swoim warsztacie samochodowym niedaleko Dallas. W przeszłości mieli kłopoty ze swymi synami, ale zmusili ich do nauki i ustabilizowania się. Z jakichś niepojętych dla mnie powodów zajęli się mną.

– Dostrzegli twoje możliwości. Mark wzruszył ramionami.

– Bill uważał, że mam smykałkę do mechaniki. No i jeden z ich synów jest dyslektykiem, jak ja.

Niewielu osobom się do tego przyznawał, ale Beth Ann, w przeciwieństwie do większości, nigdy się z niego nie śmiała. Skinęła głową.

– Przystawiasz litery podczas czytania?

– Tak, ale nauczyłem się z tym żyć. Carol mi pomogła. Wypełniała ze mną podania i szukała stypendiów przez różne programy naukowe. Dzięki niej i Billowi zacząłem nowe życie.

– Wspaniali ludzie.

– Tak. – Mark nadal często do nich dzwonił, posyłał prezenty na święta i odwiedzał z Elim kilka razy do roku. A Billi i Carol pękali z dumy, gdy jego firma wypłynęła na szerokie wody, a inwestorzy zaczęli walić do niego drzwiami i oknami.

Hiram oddychał coraz głośniejsze. Mark poderwał się i podszedł do niego. Ujął chłodną dłoń. Paznokcie były sine.

– On się dusi – powiedział z rozpaczą. – Nie możesz mu jakoś pomóc?

Beth Ann podeszła, wzięła chusteczkę ze stolika, ostrożnie odwróciła głowę Hiram na bok.

- Przykleiłam mu plaster, który rozrzedza wydzielinę. Ale uwierz, nic go nie boli.
- Nie mogę siedzieć tak beczynnie.
- Powiedz ojcu, że go bardzo kochasz. Daj mu błogosławieństwo na drogę.
- Aleja nie chcę, żeby...
- Takiego życia mu życzysz? Czy on sam chciałby tak żyć?

Mark odwrócił się i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

Nienawidził paniki, która dławiała mu serce, nienawidził bezradności. Miał ochotę zerwać zasłony, rozwalić telewizor. Najchętniej cofnąłby wskazówki zegara albo, jeszcze lepiej, przewróciłby wstecz kartki kalendarza.

Beth Ann wyszła, zostawiając go samego. Mark wrócił do ojca, pocałował go w czoło, na co starzec nie pozwoliłby, gdyby był w lepszej formie.

- Już dobrze, tato. – Mark miał łzy w oczach. – Możesz... możesz odejść. Kocham cię.

Chciał powiedzieć ojcu, że mu wybacz, ale słowa utkwily mu w gardle. Nie mógł zapomnieć metalicznego szczęku kajdanków, chłodu więziennej podłogi, przerażającego wspomnienia więziennego świata, tak strasznego, że co noc modlił się o śmierć. Odwrócił się i poczuł na sobie smutne spojrzenie labradora.

- Wabi się Maia – zawołała Beth Ann od progu. – Treser mówił, że to szwedzkie imię.

Mark ukląkł koło suki i zanurzył dłonie w gęstej sierści. Podobnie jak jego Beau, patrzyła ze zrozumieniem.

– I to ma być pies obronny – mruknęła Beth Ann. W tym momencie rozdzwonił się jej telefon.

– Przepraszam. – Podeszła do kanapy i wyjęła z torebki komórkę. Zerknęła na wyświetlacz i wyłączyła telefon.

- Mogłaś odebrać – zauważył Mark. Wzruszyła ramionami, zajęta badaniem jego ojca.

- To adwokat matki. Pewnie coś ze spadkiem. Później do ciebie oddzwonię.

Zapisała temperaturę Hirama na karcie pacjenta.

– Co jeszcze cię odmieniło? Mówiłeś, że było wiele czynników. Mark wiedział, że stara się go czymś zająć, bo najgorsze było czekanie w napięciu.

- Zakochałem się – odparł.

- W... w Rachel?

Zdziwił się, że zapamiętała, jak ma na imię matka Eliego.

Skinał głową na wspomnienie tamtego związku.

– Była błyskotliwa, seksowna i miała fantastyczne poczucie humoru. Z jakiegoś powodu zwróciła na mnie uwagę.

- Byłeś szczęśliwy?

– O, tak. Najszczęśliwszy od... Od czasów sprzed wypadku. Po pierwsze, związek z Rachel oznaczał, że nie byłem... nie byłem tym, kim musiałem się stać w więzieniu.

Beth Ann pokręciła głową, aż ze spinki wysunął się kolejny rudy kosmyk.

- Nie rozumiem.

– Miałem osiemnaście lat i znalazłem się w więzieniu dla dorosłych. Byłem całkiem zielonym chłopakiem z małego miasteczka, gdzie właściwie nic się nie dzieje...

– Musiałeś stać się bardziej twardy?

– Twardość to nie wszystko. Trzeba szybko nawiązać odpowiednie kontakty. A w więzieniach stanowych podstawowym wyznacznikiem jest rasa.

Zrozumiała, widział to w jej oczach.

– Czyli gangi, tatuaże...

– Wydałem majątek, żeby się ich pozbyć, ale związek z Rachel... Jej ojciec to Afroamerykanin, weteran, poznał jej matkę, Wietnamkę, podczas wojny.

– Co się stało? – Beth Ann zebrała niesforne kosmyki i wcisnęła je, pod klamrę. – Bo już nie jesteście razem, prawda?

– Okazało się, że w ten sposób sprzeciwiała się oczekiwaniom ojca. Chodziło o moją przeszłość; byłem karany i od niej starszy. Zanim zorientowaliśmy się, że sami sobie chcemy coś udowodnić, Rachel zaszła w ciążę. Chciałem się z nią ożenić, proponowałem to wielokrotnie, ale uparcie odmawiała. A jej ojciec nie posiadał się z wściekłości. Mało brakowało, a zmusiłby ją do aborcji.

Widząc zaskoczoną minę Beth Ann – w tych okolicach o aborcji w ogóle się nie mówiło – Mark pospieszył z wyjaśnieniami:

– Nie zgodziła się, dzięki Bogu. Gdyby było inaczej... Nie wyobrażam sobie życia bez Eliego. To dzięki niemu nauczyłem się żyć z przeszłością...

– Eli to istny skarb – zgodziła się Beth Ann. – Twój ojciec go zaakceptował?

– Nie. Nie mogłem się zdobyć, by porozmawiać z nim o Jordan, o wypadku i o tym, co było potem, ale ze wszystkich sił starałem się, by poznał wnuka. On jednak nie chciał tego słuchać, nie przyjmował do wiadomości istnienia dziecka, nawet nie zwracał się do niego po imieniu. Tolerował go i tyle.

Zauważył, że ojciec oddycha spokojniej.

Beth Ann wytarła Hiramowi usta i spojrzała na Marka.

– Tak samo, jak ledwie tolerował twoją obecność tutaj.

– Bo nie miał dość siły, by nas wykopać na zбитy pysk – wykrztusił Mark. – Chociaż ja i tak zostałbym.

– A twoja firma... Możesz tak sobie wyjeżdżać? No tak, jeśli jest się prezesem...

– Nigdy nie chciałem zarabiać na tym. Kiedy zaczynałem eksperymentować z moim wynalazkiem, chodziło mi tylko o wykorzystanie nowych technologii do ratowania ludzkiego życia.

– Nazywa się EZ Driver, tak? Czytałam o tym w Internecie. – Wróciła na kanapę. Jej mina świadczyła, że nie jest zachwycona jego pomysłem. – O ile zrozumiałam, z twojego wynalazku korzystają głównie dyrektorzy firm zatrudniających wielu kierowców, sprawdzają, czy ich podwładni jeżdżą zgodnie z przepisami. GPS pomaga im śledzić kierowców, którzy wyskoczyli po zakupy.

Mark skrzywił się i potrząsnął głową.

– Wiele osób uważa, że to inwigilacja ludzi, ale przysięgam ci, że nie o to nam chodzi. Tak, EZ informuje, że samochód zbczył z ustalonej trasy, ale najpierw dwukrotnie ostrzega sygnałem dźwiękowym. Chcemy w ten sposób szkolić niedoświadczonych kierowców, by nie

popelniali błędów. Problem w tym, że na razie nie udało nam się na tyle obniżyć kosztów, by produkt trafił do tych, którzy go najbardziej potrzebują, więc owszem, na razie sprzedajemy go korporacjom i samorządom miejskim.

– I przy okazji doskonale zarabiasz.

– Zapewniłem moim pracownikom godziwe wynagrodzenie i założyłem fundację, która rozdaje EZ najbardziej potrzebującym za darmo.

– Naprawdę?

Maia przewróciła się na grzbiet i trącała go łapą tak długo, aż pogłaskała ją po brzuchu.

– Na razie rozdaliśmy pięć tysięcy egzemplarzy na północnym wschodzie. Mam nadzieję, że do końca roku rozdamy dwa razy więcej, a w przyszłym roku program obejmie zasięgiem cały kraj. Ale o tym chyba nie słyszano w hrabstwie Hatcher.

Beth Ann uśmiechnęła się.

– Nic straconego. Wystarczy, że szepnę o tym słówko twojej przyjaciółce Aimee.

– Akurat ona nie ma chyba powodu, żeby mnie wychwalać.

– Jest mężatką.

Czy w jej głosie usłyszał zazdrość, a może tylko dezaprobatę?

– Wiem. Musiałem jasno dać jej do zrozumienia, że nie interesuje mnie wyprawa śladem dawnych wspomnień. Najchętniej zapomniałbym o wszystkim.

W przedłużającej się ciszy zegar tykał nienaturalnie głośno.

– A ja nie – stwierdziła w końcu Beth Ann. – Chcę pamiętać wszystko, również tamtą noc.

– Boże, Beth Ann, czemu? – Wzdrygnął się, choć w domu, ze względu na Hirama, było gorąco. Pogłaskał psa, wstał i znowu zaczął przechadzać się nerwowo.

– Pamiętam, jak przyjechałam do was po Jordan, a potem już nic – wyznała. – Powiedziano mi, że to często spotykany efekt urazów głowy. Ale odkąd wróciłeś, coś mi się przypomina. Widzę światła reflektorów w ciemności. Ciała na...

– Daj spokój.

– Wiem, że trudno ci o tym rozmawiać. Tak, jak szeryfowi Morrellowi trudno rozmawiać o tobie, choć tego nie rozumiem.

– Beth Ann! – Drżał cały. – Mój ojciec nie oddycha!

Rozdział 15

Kiedy Damon Stillwater dowlókł się do domu po nocnej zmianie, zastał ojca przy tylnych drzwiach. Znieruchomiał, zaskoczony, że jest on w domu, a nie w sklepie. Miał na sobie, jak zwykle, niebieskie poliestrowe spodnie, koszulę z krótkimi rękawami i mokasyny. Damon nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział go w domu o tej porze. Przestraszył się.

– Coś się stało? Czy pogorszyło się mamie?

Gościec matki stanowił codzienny element ich życia od tak dawna, że Damon właściwie nie zwracał na niego uwagi, ale wiedział, jak wszyscy, że pewnego dnia skończy się to tragicznie.

Ojciec przecząco pokręcił głową.

– Trochę jest dzisiaj obolała, ale poza tym wszystko w porządku. Pojechała do sklepu.

– Więc co się dzieje? Dlaczego jesteś w domu? Źle się czujesz? – Ojciec nie pozwalał, by cokolwiek odrywało go od ukochanego zajęcia, czyli zaopatrywania okręgu Hatcher w drewno, farby i zawiasy do drzwi.

– Martwię się o ciebie, synu. Miałeś zaraz rano wrócić do domu. Przecież szeryf Morrell powiedział, żebyś przestał zwracać ludziom głowę pytaniami o Lilly Decker. Zostaw to fachowcom.

– Ależ ja nie...

– Nie kłam, Earlu Damonie.

Ilekoć ojciec używał jego pełnego imienia, Damon wiedział, że sprawa jest poważna.

– Może od razu mi powiesz, co ci naopowiadali w sklepie? – zapytał Damon.

– Przyszła do mnie matka, bardzo zdenerwowana. Dzwoniła do niej Agnes Miller. Nie posiadała się z oburzenia, że wypytywałaś jej mężulka o romans z tą Decker.

Agnes Miller równie dobrze mogła poinformować szeryfa. A wtedy będzie mógł się uważać za szczęściarza, jeśli się skończy na upomnieniu.

– Słuchaj, tato – zaczął ostrożnie – to normalne, że rozmawiam z każdym, kto miałby motyw, żeby ją zabić. A to oznacza wszystkich, którzy mogli mieć z nią romans.

Ojciec poczerwieniał.

– Co ci mówił szef? Nie rozumiesz, co to znaczy polecenie przełożonego? Masz pojęcie, jak cholernie trudno będzie ci tu znaleźć inną pracę, jeśli cię wyrzucą?

Damon zacisnął usta, żeby nie wymknęło mu się coś, czego później będzie żałował. Choć zdawał sobie sprawę z tego, że może się pożegnać z marzeniami o wielkiej karierze w służbie sprawiedliwości, dobrze wiedział, jak powinno wyglądać dochodzenie w sprawie morderstwa Lilly Decker. W niczym nie przypominało to półśrodków stosowanych przez durni wyznaczonych przez szeryfa. Ale przecież nie ma sensu tłumaczyć takich rzeczy ojcu, który ciągle traktuje go jak smarkacza.

– Twoja matka przyjaźni się z Agnes od czwartej klasy podstawówki – ciągnął Earl. – A Douglasa Millera znamy jeszcze dłużej. To solidny człowiek, porządny ojciec rodziny. Chrześcijanin, który nigdy nie uniół ręki w gniewie...

– Zdaję sobie sprawę, iż uważacie z mamą, że wszyscy nasi znajomi w Eudenie są idealni. W każdym razie wszyscy z naszej kongregacji. Ale to nieprawda.

– Nawet grzeszny chrześcijanin uzyskuje wybaczenie. – Ojciec zacytował pastora Timmona.

– Może w niebie. Ale tu, w Teksasie, za morderstwo trafia się na salę sądową.

Ojciec westchnął głośno. Opadły mu ręce.

– Nie nadymaj się tak. Wszyscy mają już dosyć, że gadasz jak ostatni sprawiedliwy w hrabstwie Hatcher. Doug Miller nie jest mordercą. To zwykły facet, któremu nie są obce męskie słabości, tak jak i twemu ojcu.

Damon czuł, jak serce wali mu w piersi. Czy dobrze usłyszał? Jego ojciec? Earl Stillwater? Nie, to niemożliwe.

– To się wydarzyło wiele lat temu. – Ojciec wbił wzrok we framugę, której, co nieraz powtarzał, nie zaszkodziłoby malowanie. Jak na fachowca, udzielającego rad swoim klientom, zbyt często zwał całą domową robotę na syna. – Kiedy byliście jeszcze z siostrą w szkole, ja i mama... mieliśmy pewne problemy.

– Zanim lekarze postawili właściwą diagnozę. – Damon pamiętał, jak matka godzinami gapiła się w jeden punkt. Skarżyła się na różne bóle i zmęczenie, ale tutejsi lekarze twierdzili, że wszystko to tylko sobie wmawia.

– Twoja mama była wiecznie chora, a mężczyzna nie może wytrzymać tyle czasu bez...

Earl poczerwieniał. Nic dziwnego, zważywszy, że nigdy nie rozmawiał z synem o tym, skąd się biorą dzieci. Matka na trzynaste urodziny chłopca zostawiła mu w pokoju ulotkę zatytułowaną „Abstynencja młodego chrześcijanina”. Damon nie przebrnął przez tajemnicze opisy i wypytał kolegów o szczegóły – które mu zdradzili, mniej lub bardziej trafnie.

– Lilly wyczuwała, że jest mi źle – ciągnął Earl. – I wiesz co? Schlebiało mi, że taka ładna kobitka przejmuje się kimś takim jak ja. Zaglądała do sklepu w tych króciutkich spódniczkach i wydekoltowanych bluzkach. Żartowała sobie, dotykała mnie...

– Boże, tato, przestań.

Ojciec gwałtownie podniósł głowę, ale zanim skarcił syna za wzywanie imienia Bożego nadaremno, ugryzł się w język.

– Wstydzę się tego, synu – powiedział. – Rozmawiałem o tym z pastorem Timmonsem i już od lat pogodziłem się z Bogiem. Ale obawiam się, że ta wiadomość zabiłaby twoją mamę. Dosłownie.

Damon powoli wypuścił powietrze z ust.

– Więc o niczym nie wie?

Ojciec pokręcił głową, sztywno, jakby bolał go kark.

– I nie dowie się, ani ona, ani twoja siostra, o ile przestaniesz wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Damon skrzywił się, słysząc te słowa. Nie swoje sprawy, dobre sobie. Ale co to, w oczach ojca zalśniły łzy, po raz pierwszy, odkąd pamiętał. Pewnie dużo go kosztowało wyznanie, jak nisko upadł.

Według krążących plotek Lilly Decker wyrządziła o wiele więcej zła w innych rodzinach,

uwodząc mężów, gdy jej własny leżał w łóżku chory na serce. Ogarnęła go wściekłość na tę martwą kobietę, którą obwiniano o spowodowanie co najmniej dwóch rozwodów i kilku separacji. Nagle zatęsknił za monotonią pracy przy smażeniu frytek.

– Przykro mi, synu – podjął ojciec. – Przepraszam, że cię zawiodłem.

Earl Stillwater wyciągał pulchną dłoń i czekał. Wzrokiem zaklinał syna, by ją przyjął.

Damon zawahał się, a potem podszedł i uściskał ojca serdecznie, po raz pierwszy od lat.

Trzy dni później

Beth Ann rzadko bywała na pogrzebach pacjentów. Chcąc skutecznie wykonywać swoją pracę, musiała zachować dystans. Wystarczy jeden precedens, a będzie musiała bywać na innych pogrzebach, na co nie miała czasu. Jednak spacerując z psem dokoła stawu, jak co rano, postanowiła, że zrobi wyjątek i pójdzie na dzisiejszy pogrzeb Hirama Jessupa. Oczywiście chodziło jej bardziej o jego syna, który został tutaj sam, bez żadnych przyjaciół. Zapyta go o kopertę dopiero wtedy, gdy jego ojciec spocznie w ziemi. Do tego czasu muszą zachować dobre stosunki. Ciągle myślała o tym, jak to Mark, zagubiony nastolatek, wyrósł na godnego pożądaną mężczyznę.

Zmęczona po kolejnej niespokojnej nocy, odwróciła twarz do słońca i oddychała głęboko świeżym powietrzem.

Nie tylko ona wyszła z domu wczesnym rankiem. Synowie sąsiadów grali w piłkę na trawiastym zboczu nad samą wodą.

Za blisko, jak się okazało, gdyż w pewnym momencie piłka wpadła do stawu.

– Maia, nie! – zawołała Beth Ann, gdy potężne psisko szarpnęło, aż straciła równowagę na trawie śliskiej od rosy. Puściła smycz, ale i tak upadła, boleśnie uderzając się w chore kolano.

Chłopcy Winfieldów zaraz pospieszyli z pomocą, podczas gdy Maia ochoczo wskoczyła do wody i popłynęła w stronę piłki. Przerażone kaczki wzbiły się w powietrze.

– Bardzo przepraszamy, panno Beth Ann, nie chcieliśmy, naprawdę – tłumaczył starszy z chłopców, rozgrywający Czerwonych Sokołów.

Jego ojciec, doktor Winfield, bardzo był z niego dumny, a całe miasteczko plotkowało, że zainteresowali się nim uniwersyteccy łowcy talentów sportowych.

Beth Ann nie знаła się na tym. Choć dawniej uwielbiała zawody sportowe, od wypadku nawet nie oglądała transmisji telewizyjnych.

– Wiem, wiem – zapewniła. Nie była w stanie zapamiętać, jak który ma na imię – z niepojętej przyczyny rodzice ochrzcili ich Matthew i Matthias – ale przyjęła dłoń, którą podał jej Duży Matt i wstała. Skrzywiła się, opierając się na lewej nodze.

– Boli panią? – Młodszy z braci wyraźnie się zaniepokoił. Był silny jak czołg. Matt też grał w futbol, jak niemal każdy chłopak w Eudenie. Spojrzał na brata. – Możemy zrobić krzeselko z rąk i zanieść panią do domu.

Na myśl, co powiedzieliby na to sąsiedzi, szpiegujący ją zza zasłonek, pokręciła przecząco głową.

– Nic mi nie będzie – zapewniła. – Ale złapcie psa.

Nie dość, że musi iść na pogrzeb i odwiedzić kilku pacjentów, jeszcze czeka ją wizyta Staną Lipscomba, którą odkładała od kilku dni.

Maia otrzepała się z wody. Krople załśniły w słońcu.

Biegła do nich, tryumfalnie niosąc piłkę w pysku. Wyglądała na tak szczęśliwą, że Beth Ann się roześmiała. Chwilę potem poczuła jednak zapach stęchłej wody.

– Już wiem, co zrobimy – zaproponował starszy chłopiec. – Ponieważ to przez nas Maia wskoczyła do wody, wykapiemy ją.

– Cudownie – uśmiechnęła się Beth Ann. – Ale czy nie musicie iść do szkoły?

– Dzisiaj nie – wyjaśnił młodszy z braci. – Nauczyciele mają szkolenie...

– A my możemy trenować przed meczem. Może pani przyjdzie? Załatwimy bilety!

– Nie, dzięki, ale będę trzymała za was kciuki. I pamiętajcie, że macie wykapać Maię. Dziękuję.

Musi powiedzieć ich rodzicom, że to naprawdę porządni chłopcy, nie tacy, jakich pokazują w telewizji.

– Mama obedrze was ze skóry, jeśli wpuścicie ją do domu. Może umyjecie ją u mnie? W szopie jest wanna i ręczniki, a szlauch sami znajdziecie.

Podawała im kod do furtki, pokuśtykała do domu, przyniosła im klucz i wyłączyła alarm, żeby później mogli wpuścić psa. Wróciła do środka, przebrała się, umyła i pojechała do pacjentów.

Godzinę później, gdy wychodziła od pierwszego podopiecznego, rozdzwoniła się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz. A jeśli to Mark? Może dzwoni, żeby powiedzieć, że są już z Elim w drodze do Pittsburga?

Wyświetlacz informował, że dzwoni A. J. Winfield – ojciec Matthew i Matthiasa, ale była przekonana, że to jeden z chłopców. Odebrała telefon.

– Wszystko w porządku z Maią?

– Właściwie tak – odparł jeden z Mattów, chyba ten starszy. – Wykąpaliśmy ją i wytarliśmy. Kiedy wpuściliśmy ją do domu, zaczęła biegać i tarzać się po salonie i przewróciła globus. Bardzo nam przykro, ale złamała się jedna noga stojaka.

Beth Ann skrzywiła się. Nie zależało jej specjalnie na tym globusie, ale przypomniała sobie, jak jej matka cieszyła się, gdy go dostarczono.

„Popatrz tylko – powiedziała. – Zupełnie jak te cacka angielskich lordów”.

– Zanieśliśmy go do nas, do garażu, żeby naprawić. – Głos Matthew albo Matthiasa się załamał; biedak był bliski łez. – Ale tata powiedział, że powinniśmy do pani zadzwonić. Że chętnie zapłaci za...

– Nic się nie stało, Matt. – Uznała, że zdrobienie będzie najbezpieczniejsze. – Nie gniewam się. Przecież chcieliście mi pomóc. To nie wasza wina, że dzisiaj Maia tak się rozbrykała. A globus już raz się przewrócił. Na pewno wtedy ta noga pękła, tylko tego nie zauważyłam.

Słyszała, jak odetchnął z ulgą.

– Dzięki, panno Beth Ann. Chce pani, żebyśmy to skleili?

– Nie zwracajcie sobie tym głowy – odparła. – Mąż mojej przyjaciółki uwielbia reperować takie rzeczy. Obrazi się, jeśli nie pozwolę mu tego zrobić.

Beth Ann nie chodziło wcale o Pete'a Rikera, po prostu obawiała się, że chłopcy znowu coś zbroją.

– Odnieść go pani?

– Nie trzeba. Na razie może być u was. Poproszę pana Rikera, żeby po niego przyjechał.

Rozłączyła się, zadzwoniła do Rikerów. Wkrótce zapomniała o całej sprawie. Martwił ją Mark i czuła ból w nodze. Ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że tego dnia zostawiła wielką lukę w systemie zabezpieczającym Wielki Fart.

Spóźniła się na pogrzeb. Skinęła głową Pete'owi, który stał w mundurze przy tylnych drzwiach kaplicy w domu pogrzebowym. Owszem, drażniły ją jego ciągłe kłótnie z Sheryl, ale musiała przyznać, że w trudnej sytuacji zawsze może na niego liczyć.

– Dzięki, że zgodziłeś się zreperować globus – szepnęła, wchodząc do środka. Pete jednak złapał ją za ramię i dał głową znak, że ma z nim wyjść na dwór.

– Dziwię się, że cię tu widzę – powiedział z dezaprobatą.

– Mogłabym powiedzieć to samo – odparła. – Nie miałam pojęcia, że przyjaźniłeś się z Jessupami.

– Och, o przyjaźni nie ma mowy. – Sądząc po jego minie, sprawy miały się wręcz odwrócić. – I ty też uważaj, co robisz.

– Dlaczego? – zdziwiła się. Odkąd go znała, chętnie naprawiał ludziom samochody. Beth Ann jednak rzadko korzystała z jego pomocy, bo Pete zachowywał się tak, jakby dawało mu to prawo do decydowania, jak dana osoba ma myśleć i na kogo głosować. A teraz najwyraźniej chce jej wybierać przyjaciół. Co za prostak!

– Przecież nie możesz się zadawać z byłym więźniem, który lada dzień wyjedzie z miasta.

– A kto mówi, że się z nim zadaje?

– Na przykład moja żona.

Pete, o dziesięć lat starszy od żony, zaczynał mieć pewne problemy łóżkowe i nie pozostawało im nic innego do roboty przed snem, jak tylko gadanie o takich rzeczach.

– Twoja żona się myli – odparła. – Hiram Jessup był wyjątkowym pacjentem, i tyle. Jestem tu ze względu na niego.

Posłał jej jedno z tych lekceważących spojrzeń, których nienawidziła, więc odwróciła się na pięcie i weszła do kaplicy.

Stojąc z tyłu dostrzegła Marka i Eliego. Obaj mieli na sobie takie same marynarki. Choć, jeśli wierzyć plotkom, Hiram był do tego stopnia rozżalony na Boga, że nie chciał kościelnego pogrzebu, garstka ludzi i tak tu przyjechała. Dostrzegła Jima Morrella. Miał na sobie niedopasowany szary garnitur, zamiast, jak zwykle, brązowego mundurku. Zobaczyła także kilku miejscowych przedsiębiorców: Barta i Kay Lynn Shepherdów, tych od delikatesów Barta, Earla Stillwatera ze sklepu z artykułami żelaznymi z żoną Ginna, która dzisiaj wyglądała wyjątkowo dobrze, i wdowca Ty Quitmana, który prowadził aukcje bydła. I to wszystko. Hiram nigdy nie był zbyt towarzyski, zaś po śmierci najpierw córki, a potem

żony, stał się niemal pustelnikiem.

To, że przegrał ziemię na rzecz jej matki, też mu nie pomogło. Beth Ann było z tego powodu przykro, ale wiedziała, że matka zrobiła to, co musiała, choć mieszkańcy Eudeny uznawali wszystkie działania Lilly za szokujące i nieprzyzwoite.

Usiadła w tylnym rzędzie. Podczas gdy dyrektor zakładu pogrzebowego, Arlen Hill, opowiadał o Hiramie, używając wytartych frazesów, ona przeniosła się myślami na inny pogrzeb, sprzed miesiąca. Wówczas ciekawscy ludzie wypełniali całą kaplicę. Przyszli także jej przyjaciele... Ale niewiele było osób, które uważano za bliskie Lilly.

Mieszkańcy Eudeny twierdzili, że dobrze znali Lilly Doyle Decker. Atrakcyjna, rozrywkowa dziewczyna z ubogiej części miasteczka, wpadła w oko ojcu Beth Ann, który także nie cieszył się najlepszą opinią, bo wdawał się w bójki i zbyt łatwo obrzucał ludzi obelgami. Kiedy jednak stał się ojcem i zaczął chorować na serce, ustatkował się. Lilly tymczasem szalała, coraz bardziej spragniona tego, co jej zdaniem umknęło jej sprzed nosa.

W dzieciństwie Beth Ann wstydziła się za matkę i odganiała chłopców, przekonanych, że jest taka sama jak Lilly. Po studiach wróciła jednak do domu, przekonana, że jej obowiązkiem jest uchronić matkę przed całkowitym upadkiem. Teraz Beth Ann brakowało Lilly, jej entuzjazmu, energii. To matka kazała jej wstać z wózka inwalidzkiego, wziąć się z życiem za bary, korzystać z niego, jak się tylko da.

Matka, po której została zagadka tajemniczej śmierci.

– Wiedziałaś, że Lilly ma skrytkę w banku w Fort Worth? – zapytał Stan Lipscomb, gdy dzień później wpadła do niego do biura.

Nie, nie wiedziała. Lilly miała konto w lokalnym banku, resztą jej majątku zarządzali fachowcy w Dallas. A tymczasem adwokat przekazał Beth Ann roczny rachunek za skrytkę w banku Global w Fort Worth.

– Co ona tam przechowywała? – zdziwiła się Beth Ann.

– Myślałem, że wiesz... albo masz kluczyk.

– Kluczyk... – powtórzyła. Przypomniała sobie, że w salonie samochodowym oddano jej kluczyk, gdy zostawiała wóz matki. Był na tym samym breloczku, co kluczyki samochodowe, więc sądziła, że otwiera skrytkę w desce rozdzielczej, gdzie elegancka dama mogła ukryć pieniądze i kosztowności przed nieuczciwymi parkingowymi. – Może go mam.

Lipscomb zaproponował, że zawiezie ją do Fort Worth. Beth Ann chciała już skorzystać z jego propozycji, ale potem przyszło jej do głowy, że mama ukryła coś przed wzrokiem wszystkich, a więc także przed wzrokiem prawnika. Może to jakieś stare listy miłosne lub kompromitujące zdjęcia? Wzdrygnęła się na myśl, że Lipscomb miałby poznać sekrety Lilly.

– Sama się tym zajmę – zapewniła, choć nie uśmiechała jej się myśl o sześciogodzinnej jeździe.

A teraz, gdy tak siedziała w kaplicy na pogrzebie Hiram Jessupa, przyszła jej na myśl nazwa banku – Global – i słowa z dziwaczного przesłania matki, które Lipscomb miał jej przekazać: „Prawda jest taka, że świat należy do ciebie, jeśli masz dość odwagi, by po niego sięgnąć”.

Jak w logo banku.

Rozległy się szepty. Rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że ceremonia dobiegła końca. Ludzie przyglądali się jej ciekawie w drodze do drzwi. Pewnie sądzili, że popadła w rozpacz wspominając pogrzeb matki.

Znowu się będą nad nią litować.

Ale tym razem dostrzegła w ich spojrzeniach coś więcej niż litość. Może jej obecność na pogrzebie Hirma, w połączeniu z żółtymi różami od Marka, spowoduje plotki o ich romansie?

Niech się tym udławiają.

Uśmiechnęła się lekko. Może odziedziczyła po Lilly coś więcej, nie tylko rude włosy. Nie zwracając uwagi na rzucane jej ukradkiem spojrzenia, przeszła na bok i udawała, że podziwia kwiatowy wieniec.

Czekała, obserwując, jak nieliczni ludzie rozmawiają z Markiem i Elim. Jim Morrell uściśnął obu ręce i zapytał Eliego, jak się ma jego mały pomocnik. Beth Ann rozpoznała także grubą, siwowłosą Margaret Minton. Starsza pani wzięła Eliego za rączkę i wyprowadziła, pewnie zabrała go z powrotem do swego przedszkola. Mark zdecydował, że, mały nie musi być na pogrzebie, lepiej niech ten czas spędzi z rówieśnikami.

Mark podszedł do trumny ojca. Położył dłoń na zamkniętym wieku i stał bez ruchu, że spuszczoną głową.

Beth Ann miała ochotę objąć go i utulić, ale zamiast tego stanęła tuż za nim. Czekając, aż ją zauważy, patrzyła na zdjęcia wiszące nad trumną. Wszystkie pochodziły z czasów sprzed wypadku, który zniszczył rodzinę Jessupów.

– Równie dobrze mogłem pochować rodziców razem z Jordan – mruknął Mark. – Po jej śmierci nie zrobili ani jednego zdjęcia, nie kupili niczego, nie...

Podeszła bliżej.

– Mark, nie możesz...

– Ojciec prawie nie wychodził z domu. Nie rozmawiał ze mną, odsyłał listy, nie reagował, kiedy za pośrednictwem prawnika proponowałem, że zwrócę mu to, co stracił wskutek procesu.

– Nie chciałeś skrzywdzić rodziny. Nikogo nie chciałeś skrzywdzić. Musisz wreszcie przestać o tym myśleć.

– Sądziłem, że mi się to udało. Ale powrót tutaj... Kiedy go zobaczyłem... Ja nie skrzywdziłem mojej rodziny, Beth Ann. Ja ich zabiłem, wszystkich.

Wzięła go za rękę i spojrzała w oczy, te piękne czekoladowe oczy, które rozbudzały w niej płomień, o którego istnieniu już dawno zapomniała.

– Mark, masz syna, który cię potrzebuje. Widzę, że jesteś wspaniałym ojcem. Jednym z najbardziej troskliwych, jakich widziałam. – Ugryzła się w język, poruszona emocją w swoim głosie. Podczas studiów spotykała się z kilkoma mężczyznami, z jednym nawet łączył ją krótkotrwały romans, ale nigdy wobec nikogo nie czuła tego, co teraz do Marka.

Przypomniała sobie o kopercie. Ani kroku dalej, póki nie pozna wszystkich odpowiedzi.

Zacisnęła dłonie, jedną na lasce, drugą na czarnej spódnicy.

– Dzięki, Beth Ann. Nawet nie wiedziałem, jak bardzo potrzebne mi były te słowa.

– Wszyscy pójdą na cmentarz?

Pokręcił głową.

– Tylko ja. Ojciec nie chciał dużej ceremonii. Zawahała się.

– Chyba mogę ci towarzyszyć?

Zerknął na dyrektora zakładu pogrzebowego, który dyskretnie stał z boku i czekał na znak.

– Dobrze. Panie Hill, za dziesięć minut będę gotowy. – Spojrzał na Beth Ann i pokręcił głową. – Dzięki, ale nie musisz tego robić. Sam chciałbym stąd uciec.

Uśmiechnęła się.

– Nie udawaj męczennika, twardzielu. Spotkamy się na cmentarzu. Pół godziny później stała w blasku zimnego jesiennego słońca obok grabarza, dwóch ludzi z kostnicy – i trumny Hirama Jessupa. Ale Mark się nie pojawił.

Rozdział 16

Mark, zgodnie z tym, co powiedział Beth Ann, też wybierał się na cmentarz, ale w drodze do samochodu spotkał starego przyjaciela.

A dokładnie mówiąc, nawet trzech. Ich samochody, upaprany błotem wóz pomocy drogowej i nowa honda accord, stały przed i z boku jego sedana, który wypożyczył, czekając, aż pikap wróci z warsztatu. Poza tym parking przed domem pogrzebowym był równie pusty jak preria dokoła i niebo nad nimi.

Mark zobaczył, że karawan z trumną ojca, a w ślad za nim nowy samochód Beth Ann, znikają za zakrętem. Chciał jak najszybciej spakować zdjęcia, pojechać na cmentarz i dokończyć ceremonii. Potem odbierze Eliego z przedszkola i wróci do domu.

Nie miał ochoty na żadną konfrontację, ale Gene Calvert, oparty o swój wóz holowniczy, nonszalancko postawił stopę na zderzaku wynajętego forda taurusa i bawił się wielkim lewarkiem. Po bokach stało dwóch jego przyjaciół. Jak echo wydarzeń sprzed lat.

Dwóch z tej samej grupki, na którą Mark natknął się tamtej feralnej nocy, gdy Czerwone Sokoły zakończyły złą passę.

Sądząc po niebieskim kombinezonie, Donny Ray Saunders tak polubił wysługiwanie się Gene'owi, że nawet w ten sposób zarabiał na życie. Donny Ray nigdy nie należał do najprzystojniejszych, a teraz czerwony nos i nalana twarz pijaka tym bardziej nie dodawały mu urody. Miał dopiero trzydzieści parę lat, a wyglądał na zniszczonego życiem pięćdziesięciolatka.

Łyknął piwa z butelki, oparł się o ciężarówkę i jak zawsze czekał, co przyniesie los.

Trzeci, Ex – skrót od Xavier – Halling, stał trochę z boku. Wydawał się nie na miejscu ze starannie przystrzyżonymi włosami, w szarych spodniach, eleganckiej koszuli i krawacie. Zawsze był z nich najinteligentniejszy i, jeśli sądzić po jego stroju, zajął się bankowością albo ubezpieczeniami. Ciemne oczy zerkały niespokojnie zza okularów w drucianych ramkach.

Nic dziwnego, jeśli nadal się z nimi zadaje...

– Przeszkadzam w towarzyskim spotkaniu? – Mark kliknął przycisk pilota, wyłączając alarm w wynajętym fordzie.

Calvert splunął w bok, prawie na Donnego Raya, który nawet się nie skrzywił. Sądząc po tym, jak cuchnął, pił już nie pierwsze piwo tego dnia.

– Był u mnie gliniarz w tym tygodniu – zaczął Gene. – Mówił, że miałeś kłopoty z samochodem.

Donny Ray przypoehlebnie uśmiechnął się do szefa i zarechotał. Rzucił pustą butelkę na ziemię, aż rozprysła się z hukiem.

– Owszem. – Mark wstawił tablicę ze zdjęciami do wozu. Zatrzasnął drzwiczki i dodał: – Wybacz mi, że nie zwróciłem się po pomoc do twojego warsztatu, ale wołałem zakład w Wichita Falls. O czym chyba wiesz, bo posłałem ci rachunek. Zapłacisz z góry, czy poczekaasz, aż odbiorę auto?

Calvert przełożył lewarek do drugiej ręki.

– Szkoda, że nie znalazł się żaden świadek. Chyba każdy mógł to zrobić. Mnóstwo ludzi tutaj cię nienawidzi.

Mark spojrzał na robocze buty tego idioty. Pokryte były farbą w identycznym odcieniu jak ta na jego samochodzie. Riker pomiął ten szczegół, gdy stwierdził, że nie mogą nic zrobić. A potem dodał ze wzruszeniem ramion, że Mark nie miał co liczyć na powitanie z otwartymi ramionami.

– Gene, chętnie podyskutowałbym z tobą dłużej, ale muszę jechać na cmentarz – mruknął.

Ex odchrząknął.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego taty, Jess. – Stare przezwisko przypomniało, że dawniej się przyjaźnili, zanim Ex wstąpił do drużyny i zaczął zadawać się z Calvertem i resztą. A tamci od lat dręczyli Marka.

Mark spojrzał mu prosto w oczy. Widział jego wahanie. I strach, wręcz przerażenie. Czy Calvert zmusił go, żeby mu tu towarzyszył? A może obawiał się, że dawne tajemnice zniszczą mu życie?

– Teraz, kiedy w końcu umarł twój ojciec, już nic cię tu nie trzyma – wtrącił Calvert.

Tak, to ten dupek ma rację, a nie Lilly Decker, gdy do niego pisała. Eudena, pełna plotek, z policją ślepą na przewinienia tubylców, nie jest warta tego, by się dla niej poświęcać.

Ale tu mieszka Beth Ann. Beth Ann i tylu innych, którzy dobrze odnosili się do niego.

– Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia – odparł. – Po pierwsze, majątek ojca.

Calvert zachnął się.

– Majątek? Tak to nazywasz? Według mnie to tylko śmieci Jessupów. A ty zawsze byłeś z nich najgorszy – nic nie warty śmieć. Każda z tych martwych dziewczyn była od ciebie dziesięć razy lepsza. Zwłaszcza twoja siostra.

Na wspomnienie Jordan Mark poczuł, że ogarnia go dziwny spokój, jak niegdyś w więzieniu. Przestał myśleć logicznie. Zrobił krok do przodu i czekał na jeszcze jedno słowo o siostrze.

Calvert uderzał lewarkiem w otwartą dłoń i kpił dalej.

– Ależ z niej była dupa, myślę jednak, że jako Jessup sam o tym wiesz.

Ex pokręcił głową i powiedział do Gene'a:

– Po co zaczynasz? Mark był coraz bliżej.

Calvert oparł się o drzwiczki. Nerwowy tik w lewej powiece zdradzał, że wie, iż posunął się za daleko. Gdyby byli sami, z pewnością wycofałby się, ale teraz, żeby nie skompromitować się w oczach przyjaciół, był zdolny do wszystkiego.

– Jeśli naprawdę chcesz pogadać o przeszłości, skontaktuj się z moim prawnikiem – mruknął Mark. – Tego chcesz, Gene? A ty, Xavier? Jeśli chcecie kłopotów, mogę je wam zafundować.

– Nie boję się twoich pieniędzy. Ani prawników – syknął Gene, ale w jego oczach błysnęła niepokoju. Opuścił ramiona. – Wyjedź stąd szybko, Jessup.

Zanim się cofnął, szturchnął Marka, chcąc jakoś ratować twarz w oczach przyjaciół.

I na tym powinno się skończyć, jeśli Donny Ray miałby dość oleju w głowie, by

zrozumieć, że wszyscy się rozchodzą, że ich honor został uratowany i nie doszło do katastrofy. Ale Donny, który nigdy nie grzeszył inteligencją, a tego dnia wypił o jedno piwo za dużo, burknął:

– Tylko pamiętaj, zabierz ze sobą tę twoją małpkę.

Mark odepchnął Calverta i wymierzył Donny'emu cios w żołądek, a potem w szczękę. Donny Ray nie zdążył upaść, gdy Calvert ruszył mu na pomoc. Zamierzył się lewarkiem, ale Mark odwrócił się, złapał go za rękę i kopnął w udo. A potem uderzył pięścią w nos. Chrupnęła kość i Calvert zalał się krwią. Wrzasnął, gdy Mark zamierzył się do kolejnego ciosu, ale Xavier złapał go za ramię i odciągnął.

– Dosyć tego, człowieku, koniec walki! – zawołał. – Wszyscy trafimy za kratki, jeśli nie przestaniecie.

Mark się zawahał, słysząc niepokój w jego głosie. Calvert skorzystał z okazji i uderzył go lewarkiem w głowę z taką siłą, że Mark nawet nie wiedział, kiedy osunął się na ziemię.

Rozdział 17

Beth Ann dociskała gaz do dechy, licząc, że chociaż o kilka minut przyspieszy podróż z cmentarza do domu pogrzebowego. Coś było nie tak. Coś się stało.

Po głowie chodziły jej różne możliwości. Niebezpieczne skrzyżowanie Travis i Trzeciej Alei – mieszkańcy miasta wielokrotnie składali petycję o założenie tam świateł sygnalizacyjnych. A jeśli coś się stało Eliemu i pani Minton wezwała Marka do szpitala? Może pękł mu pasek klinowy? Albo siadł akumulator?

Wpadła w panikę, gdy sobie przypomniała, dlaczego w ogóle wynajął samochód. Mark nic jej o tym nie wspominał, ale kelnerka z baru pod Błękitnym Kojotem opowiedziała dokoła, jak Mark Jessup ją uratował i jak Gene Calvert się piekli, że Mark wystawił go do wiatru. Większość klientów sklepu z artykułami żelaznymi Stillwata, do którego wpadła po miski dla Mai, uważała, że to Gene uszkodził samochód Marka. Nieliczni wskazywali na Billy'ego Hyatta, ojca Larindy, który jakoby rzucał pod adresem Marka wiele gróźb, odkąd wrócił on do Eudeny. Jeśli ktokolwiek chciał znaleźć Marka, wystarczyło poczekać przed domem pogrzebowym. Znajdował się na pustkowiu, na zachodnim skraju miasteczka. Tam można załatwić wszystko bez świadków.

Beth Ann jechała coraz szybciej, aż w końcu z piskiem opon skręciła w boczną uliczkę. Droga była pusta. Odetchnęła z ulgą, widząc taurusa Marka.

– Dzięki, ci Boże – westchnęła. Pewnie to tylko drobna usterka, nic poważnego.

Zwolniła i wjechała na opustoszały parking. Jej spokój prysł, ledwie zobaczyła zakrwawioną postać koło samochodu.

Krzyk dławił ją w gardle, gdy z komórką w rękę wyskoczyła z wozu. Zapomniała o lasce, pokuśtykała dokoła wozu, patrząc na tego obcego człowieka, który nie wiadomo dlaczego miał na sobie ubranie Marka, teraz brudne i podarte.

To nie może być on. To nie Mark z tymi włosami zalanyymi krwią, z guzem na czole. We wspomnieniach powróciła do tamtej nocy, gdy młody Damon Stillwater znalazł ją zakrwawioną w sypialni matki. Na myśl o bólu ugięły się pod nią nogi. Odgłos jej własnych kroków na betonie parkingu sprawił, że oprzytomniała na tyle, by zadzwonić na pogotowie.

– Potrzebna mi karetka, natychmiast. – Z trudem rozpoznawała własny drżący głos. – Jestem w domu pogrzebowym Hilla. I niech przyjedzie też ktoś z policji. Pospiesz się, Dorothy. Ranny ma rozbitą głowę.

Przerwała połączenie, na czworakach dopęzła do Marka i zaczęła go badać.

Szybki puls, płytki oddech... ale dopiero jego jęk sprawił, że jej oczy zaszczyły łzami.

– Do cholery, Beth Ann, weź się w garść – mruknęła pod nosem, ale i tak po jej policzku spływała łza.

Brązowe oczy się otworzyły i Mark spojrział na nią i cicho wyszeptał jej imię.

Przełknęła kolejne łzy. Teraz musi być pielęgniarzką, a nie przerażoną idiotką.

– Poznajesz mnie? – Starła się uśmiechnąć, by dodać mu otuchy. – Zaraz przyjedzie pomoc. Wiesz, jaki dziś dzień?

– Dzień pogrzebu ojca. – Odepchnął jej rękę, usiłując wstać. – Muszę iść...

Ból go pokonał. Mark z jękiem opadł z powrotem na ziemię.

– A zatem dzisiaj się przekonałem na własnej skórze, że lewarek Calverta jest w stanie... zmienić moje plany.

– Lewarek? Co za drań. Kiedy zapakuję cię do karetki, pojedę do szeryfa Morrella, niech coś z tym zrobi.

– Nie.

– Dlaczego? Przecież mógł cię zabić. A kiedy posadzą go za napad, nie zrobi już nikomu...

– Nie o to chodzi. Po prostu... to ja pierwszy rozwaliłem mu nos i uderzyłem Donnego Raya.

Skrzywiła się.

– Dlaczego zacząłeś...

– Co z tatą? Spóźnię się... muszę tam być.

– Wszystko załatwione. Nie przejmuj się. Odmówiłam modlitwę podczas pogrzebu. A potem zламаłam wszystkie przepisy drogowe, jadąc tutaj.

– Która... która jest godzina? Obiecałem, że przyjadę po Eliego...

– Uspokój się. Zaraz będzie tu karetka. Zadzwoń do pani Minton i powiem, że się spóźnisz.

Usiłował pokręcić głową, ale tylko się skrzywił.

– Nie zostawię Eliego. Niepotrzebna mi karetka. Nic mi... – Zamknął oczy. – Chyba wymiotuję. Kręci mi się w głowie.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam? Masz gigantycznego guza, krwawisz i pojedziesz do szpitala, choćbym musiała ci znowu dołożyć. Nie zawaham się i użyję laski.

Uniósł jedną powiekę i wysapał.

– Mój syn myli się co do ciebie. Uważa, że jesteś miła.

– Za pomocą ciasteczek i rzekomo obronnych psów zwodzę małe dzieci.

Spróbował się uśmiechnąć.

– Dzięki, że po mnie przyjechałaś. I że...

– Spokojnie, Mark. – Podniosła głowę, słysząc warkot silnika i trzask zamykanych drzwiczek. O dziwo, odgłos pochodził nie z parkingu, lecz z nieskoszonego pola, znajdującego się nieco dalej. Czyżby uzupełniano zawartość karmnika dla jeleni, który widziała jadąc tutaj? Dokoła nie było żywej duszy. Wstała i wyjrzała zza swego samochodu, stojącego obok taurusa.

W tym momencie boczna szyba jej auta rozpekła się na kawałki, a ciszę przerwał głośny huk. Zatrzepotała rękami, zbyt zaskoczona, by inaczej zareagować – i po chwili cios w kolana powalił ją na ziemię.

Upadła na Marka, stoczyła się z niego, uderzyła łokciem w asfalt.

– Dlaczego? – Nie pojmowała, czemu ją przewrócił.

– Nie ruszaj się z ziemi. – Mimo odniesionych ran, mówił stanowczo, rozkazująco, a dla pewności złapał ją za rękę.

Nie dyskutowała z nim, bo zrozumiała wreszcie, co się stało. Ktoś do niej strzelał – z pola.

– Idioto, mogłeś mnie zabić! – wrzasnęła, zbyt wściekła, by zachować ostrożność. – Ej, Calvert, wyłaż stamtąd! Szeryf Morrell już tu jedzie!

– Boże, Beth Ann, zamknij się! Jesteś pewna, że to Gene? Widziałas go?

Pokręciła głową.

– Nie, ale ktośby inny? Donny Ray nie miałby tyle odwagi, żeby...

Kolejny strzał przerwał jej w połowie zdania. Kilka metrów od nich kula wbiła się w asfalt. Czyżby strzelec się przemieszczał?

– Mark, musimy wsiąść do tego wozu. Dasz radę? Inaczej rozwalą nas. – No, chodź – ponagliła, kiedy się nie ruszał. – Szybko!

Ale osunął się na ziemię z zamkniętymi oczami.

– Mark! – szarpnęła go za ramię. – Mark, proszę!

Żadnej odpowiedzi – nawet nie jęknął, choć oddychał głęboko i wyczuwała równy puls. Modliła się, by nie doszło do krwotoku do mózgu, bo jeśli tak, nigdy go nie dobudzi, a sama nie da rady wciągnąć go do samochodu.

Podskoczyła przy trzecim strzale – miała wrażenie, że spada w przepaść, w bezdenną czarną otchłań. Ta kula nie trafiła, ale czuła, że zabójca się czai i czeka na okazję, by oddać celny strzał.

Powstrzymała łzy, zagryzła usta, usiadła i otworzyła drzwiczki taurusa.

– Mark, musimy wsiąść – błagała nadaremnie.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Krzyknęła na całe gardło:

– Zabiłeś go, draniu! Sukinsynu, zabiłeś Marka Jessupa!

Rozdział 18

Przestała krzyczeć dopiero wtedy, gdy w oddali rozległo się wycie syreny. Na polu trzasnęły drzwi i usłyszała warkot silnika.

Odjeżdża, Bogu dzięki. Nie wiadomo, czy spowodował to jej podstęp, czy morderca chciał uciec przed policją, w każdym razie byli bezpieczni i Mark zaraz otrzyma niezbędną pomoc.

Ciągle drżąc, wstała, ale nie zdążyła zobaczyć, kto strzelał. Pole było puste, a po tamtym samochodzie pozostał tylko pas zdeptanej trawy.

Pomachała ręką do nadjeżdżającej karetki. Wskoczyła z niej kobieta w wieku trzydziestu pięciu lat i młody rudzielec. Beth Ann powiedziała o strzelaninie, o tym, co sądzi o ranach Marka. Co chwila rozglądała się na boki, by się upewnić, że prześladowca nie wraca.

Ponieważ miejscowi sanitariusze przechodzili tylko podstawowe szkolenie medyczne, Beth Ann asystowała przy ocenie stanu Marka i pomogła im przygotować go do transportu.

– Do zobaczenia w szpitalu – powiedziała. Tam stan chorego ocenią lekarze, a jeśli będzie potrzebna operacja, zorganizują transport do innej placówki, dysponującej lepszym sprzętem.

Żeby tylko nie były to jakieś sprawy neurologiczne. Nawet nie zauważyła, kiedy przyjechał szeryf. Dostrzegła go dopiero, gdy stanął tuż koło niej.

– Jak się domyślam, ty nas wezwałaś. – Z ponurą miną patrzył na karetkę. – Musimy porozmawiać o...

– Gdzie pan był? Pański cholerny siostrzeniec chciał nas zabić! – Wybuchła, zbyt przejęta, by ugryźć się w język. – Mark Jessup powiedział, że Gene Calvert uderzył go kluczem francuskim. Pewnie się bili, ale Mark nigdy...

Morrell pokręcił głową.

– Gene od dziecka był w gorącej wodzie kąpany. Ale Jessup to też nie świętoszek.

– Słucham? Oboje wiemy, że Mark bardzo się zmienił od czasów, gdy był postrachem Eudeny, ale o Genie chyba nie da się tego powiedzieć. – Beth Ann nie zapomniała, że trener ciągle trzymał Gene'a na ławce rezerwowych, za bójki. I że tej wiosny sama widziała jego nazwisko w kronice kryminalnej – zdaje się, że pobił konkubinę.

Morrell przyglądał się jej surowo. Czoło pod krótką czupryną, przyprószoną siwizną, zmarszczyło się, grymas sprawił, że kąciki ust opadły.

Ale Beth Ann nie interesowało, czy się przejął jej zarzutami. Odprowadzała karetkę wzrokiem, jakby liczyła, że w ten sposób dowie się czegoś więcej o stanie Marka.

– Rozciąliśmy mu koszulę, żeby obejrzeć rany. – Jej głos drżał od nadmiaru emocji. – Ma ślady uderzeń na ramionach i plecach. Calvert uderzył od tyłu.

Oparła się ciężko o łaskę, którą przyniósł usłużny sanitariusz i zamknęła oczy.

– Może usiądziesz – zaproponował Morrell.

– Muszę jechać do szpitala. – Ruszyła do swego wozu.

– Chwileczkę, Beth Ann... Co stało się z tą szybą?

– Właśnie to chciałam panu powiedzieć. Gene wrócił z bronią.

– Gene? – Morrell uniósł brwi.

– Nie widziałam go, ale ktoś by inny? Kiedy wróciłam z cmentarza i znalazłam Marka, usłyszałam warkot silnika, tam, na polu – wskazała ręką. – Wstałam, myślałam, że to pomoc, i wtedy ktoś strzelił, prosto w szybę.

– Widziałaś coś? Przecząco pokręciła głową.

– Mark pociągnął mnie na ziemię, bo bał się, że następnym razem oberwę kulkę. I całe szczęście, bo padły dwa kolejne strzały. Ale jestem pewna, że to Calvert, bo kiedy krzyknęłam, że zabił Marka, uciekł.

Morrell wzruszył ramionami.

– Każdy mógł to zrobić. Może jakiś myśliwy, który strzelał do czegoś całkiem innego? Albo dzieciaki z wiatrówką?

Spojrzała na niego.

– Pan chyba żartuje. Naprawdę pan sądzi, że pobicie Marka to przypadek? Wiem, że Gene to pana siostrzeniec, ale chyba nie zechce pan tego zatuszować?

Morrell uniósł dłonie na znak, że się poddaje.

– Wiem, że jest do tego zdolny i obiecuję, że z nim pogadam, a może nawet zamknę do paki. Ale muszę brać pod uwagę wszystkie ewentualności – zwłaszcza gdy mowa o strzelaniu bez świadków. Nie możemy też wykluczyć, że napastnikowi wcale nie chodziło o Jessupa.

– Co?

– O ile sobie przypominam, niecałe dwa tygodnie temu mało brakowało, a ktoś rozwaliby ci głowę. A to ty byłaś na widoku, gdy padł pierwszy strzał.

Na parking wjechał karawan i wysiadł z niego Arlen Hill.

– Jakieś kłopoty, szeryfie? – zapytał Hill, wysoki, przedwcześnie osiwiwały lokalny przedsiębiorca pogrzebowy. W świetle słońca wydawał się chorobliwie błądy.

Jim Morrell skinął głową.

– Tak. Zaraz z tobą porozmawiam.

Hill zacisnął usta, urażony, że się go splawia. Była to rzadka u niego oznaka żywszych emocji. Zaraz jednak z powrotem wsiadł do karawanu i kazał kierowcy odstawić go na zwykłe miejsce.

Beth Ann prawie nie zwróciła uwagi na ten incydent.

– Nikt nie chciał mnie zabić. Ten, kto włamał się do domu, liczył na pieniądze mamy. Sam pan to mówił.

Szeryf tak energicznie pokręcił głową, aż zatrzęsły się obwisłe policzki.

– O nie, moja droga. Mówiłem, że to jedna z teorii, a musimy brać pod uwagę wszystkie. Także i tę, że celowano do ciebie.

– Przecież to bez sensu. Niby dlaczego...

– Bóg wiedział, co robi, umieszczając w dekalogu dwa ostatnie przykazania. Chciwość zmienia ludzi. A teraz ty jesteś najbogatszą kobietą w hrabstwie. Jak przedtem twoja mama.

Na tę myśl Beth Ann poczuła gorycz w ustach. Musiała też kiepsko wyglądać, bo Morrell

uparł się, że ją zaprowadzi do domu pogrzebowego, żeby usiadła.

– Arlen nie będzie się sprzeciwiał – zapewnił i podtrzymał ją silną ręką. – Dzięki temu dowie się, co w trawie piszczy.

Beth Ann skrzywiła się z niesmakiem. Czy to miasto nigdy nie ma dosyć plotek? Musiała jednak przyznać, że gdyby była na miejscu Hilla, także byłaby ciekawa... W kaplicy starała się nie patrzeć na wieńce. Chciała zapomnieć o smutnym pogrzebie Hirma.

Na prośbę Morrella opowiedziała mu ze szczegółami, w jakim stanie zastała Marka. Ponieważ już wcześniej mówiła o Genie Calvercie, posunęła się jeszcze dalej i zauważyła, że był tam także Donny Ray. Miała nadzieję, że Mark jej wybaczy gadulstwo, choć prosił o dyskrecję – i że Morrellowi można zaufać i zrobić, co do niego należy.

– Dwóch na jednego. Pięknie. – Szeryf się skrzywił. – Zawsze tak jest z Genem. Nigdy nie pojmowałem, co Scotty w nim widział.

Beth Ann przypomniała sobie dawne czasy, gdy chodziła z synem Morrella, obecnie kandydatem na senatora. Rzeczywiście, Scotty zawsze trzymał się z kuzynem, ale w szkole wszyscy członkowie drużyny futbolowej tworzyli zgraną paczkę. Przypomniała sobie, że Donny Ray do dzisiaj pracuje u Gene'a i zrozumiała, jak silne bywają takie więzy.

Czy myliła się sądząc, że Jim Morrell, były gwiazdor futbolu w miasteczku, które z fanatycznym oddaniem kibicuje szkolnej drużynie, wybierze sprawiedliwość, ignorując nie tylko więzy krwi, ale i braterstwo sportowców? Pomyślała o jego ludziach; poza Petem chyba wszyscy kiedyś grali w Sokołach.

– Stan Marka jest ciężki, może nawet krytyczny, oboje mogliśmy zginąć od strzałów. – Wzięła szeryfa za rękę i zaklinała go błagalnym wzrokiem; było to spojrzenie biednej bezbronnej kobiety, której w Teksasie nikt nie zdołałby się oprzeć. Zważywszy na nierozwiązane morderstwo w sprawie matki i oficjalny status lokalnej biedulki, miała dodatkowe asy w rękawie. – Proszę, szeryfie, musi pan nam pomóc... I synkowi Marka, który nie rozstaje się z odznaką młodszego posterunkowego.

Morrell poczerwieniał.

– Na Boga, Beth Ann, masz w sobie więcej z matki, niż sądziłem. Stłumiła uśmiech, choć rozbawiło ją porównanie.

– Oczywiście, że się wszystkim zajmę jak należy – burknął Morrell. – Igrasz z ogniem, sugerując, że mógłbym postąpić inaczej. Zapędzę do roboty wszystkich moich ludzi. Poszukamy łusek od nabojów, sfotografujemy miejsce zbrodni, porozmawiamy z Jessupem, kiedy tylko dojdzie do siebie. I gwarantuję ci, że osobiście pogadam z Eugenem P. Calvertem, jeśli nawet później oberwie mi się od siostry; Najpierw jednak zawiozę cię do szpitala, żebyś sama zobaczyła, jak się miewa twój chłopak.

– Mój chłopak? – zdziwiła się.

– Och, daj spokój. Nie trzeba być takim mądrym, żeby się zorientować, że coś was łączy. Całe miasteczko gada o żółtych różach, poza tym byłaś na pogrzebie...

– Czy kobiety po trzydziestce mają chłopaków? – zapytała.

– Może i nie, ale jeśli myślisz, że nazwę go twoim kochankiem, to się mylisz – odparł Morrell ponuro.

Ludzkie głosy; słyszał je wyraźnie. Jednak słowa były zbyt nieuchwytne, by zdołał je zrozumieć.

– Znowu się ocknął. – Znajomy, kobiecy głos.

– Jesteś pewna? – Dźwięk tego głosu sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

– Tak, poruszył oczami.

Krew popłynęła mu szybciej w żyłach, gdy ją zidentyfikował. Beth Ann. Pragnął jej dotknąć, upewnić się, że nic się jej nie stało. Ale każdy ruch sprawiał koszmarny ból.

– To dobrze – burknął mężczyzna. – Nie mam czasu. Sheryl się wścieknie, jeśli nie wrócę na kolację. Chociaż znowu ugotowała pierogi.

– Wiesz, Pete, skoro nie odpowiada ci jej kuchnia, mógłbyś czasem sam coś ugotować. Coś, co najbardziej lubisz. Przecież oboje pracujecie na etacie...

– Nie obraż się, Beth Ann, ale gdybym chciał rad małżeńskich od starej panny, obejrzałbym sobie talk show Oprah.

Pete Riker, skojarzył wreszcie Mark. Paskudny jak zawsze. Beth Ann puściła jego słowa mimo uszu.

– Mark, chcesz wody? – zapytała.

W tym momencie w ustach zrobiło mu się sucho jak na jałowych grządkach w warzywniku ojca. Jego język był wyschnięty jak skóra grzechotnika, którą znalazł za stodołą. Zamrugał oczami i zobaczył rude włosy, choć twarz nadal była za mgłą.

Nie był w stanie mówić. Skinął lekko głową – na więcej nie pozwalał ból.

Jęknął, czując napływającą falę żółci. Beth Ann delikatnie przechyliła mu głowę na bok i zwymiotował tak gwałtownie, że rozbolewały go wszystkie zębra.

– O cholera! – zaklął mężczyzna. – Obrzygał mnie! Celowo! Mark nie wiedział, czy Riker złości się na niego, czy na Beth Ann, ale gniew policjanta pulsował tym samym rytmem, co jego czaszka.

– Wiesz co? Idź do domu, przebierz się, zjedz kolację, i poczytaj dziewczynkom na dobranoc, zamiast tu sterczeć – zaproponowała Beth Ann. – Dam ci znać, kiedy Mark będzie w stanie mówić. Nie sądzę, by do rana sytuacja się zmieniła.

– Masz rację. Nie płacą mi tyle, żebyśmy musiał to znosić. Jezu, ale to cuchnie.

Kroki. Szczęk zamykanych drzwi... I chichot Beth Ann. Poczul się odrobinę lepiej.

– Masz dobre oko – pochwaliła. – Teraz tu posprzątam, a potem dam ci lodu do ust. To nie zaszkodzi na żołądek.

Widział ją teraz wyraźnie. Jej uśmiech orzeźwiał, jak wiosenne słońce.

– Nic ci się nie stało – szepnął. Ulżyło mu, gdy ją zobaczył. Tak jak na pogrzebie ojca miała na sobie czarną spódnicę i szarą bluzkę. Teraz ubranie było bardzo pogniecione. Kasztanowe włosy spływały niesfornie na ramiona. Pomyślał, że tak będzie wyglądała, gdy będzie się z nią kochał.

Pragnął tego – i to jak najszybciej. Pójście z nią do łóżka znajdowało się bardzo wysoko na liście jego priorytetów – zaraz za życiem bez bólu i zrozumieniem, jakim cudem trafił do szpitalnego łóżka. Sądząc po świetle w oknie, było już po zachodzie słońca.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Strzelec uciekł, kiedy przyjechała karetka.

– Widziałaś go?

– Nie, ale powiedziałam Morrelowi, że to pewnie Gene. Przepraszam, wiem, że nie chciałeś, bym to zrobiła, ale nikt dotąd do mnie nie strzelał.

– Nic nie szkodzi. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Gdyby cię trafił... – Nie mógł dokończyć tej myśli, była równie straszna jak to, że coś mogłoby się stać z...

– Eli! – sapnął. – Dzwoniłaś do pani Minton?

Otarła mu usta i skinęła głową.

– Zostanie na razie u niej, a później zabiorę go do siebie. Teraz oglądają film Disneya. Nic mu nie jest.

– Zabierzesz go? Muszę jechać. Przerazi się, jeśli mnie nie będzie.

– Dzisiaj nigdzie nie pojedziesz – stwierdziła. – Przecież nie jesteś w stanie poruszyć się, nie wymiotując na wszystkich dokoła. Nie martw się o syna. Mam dość miejsca. Będzie się bawił z Maią.

– Ale twój dom... Czy tam...

– Mój dom jest bezpieczny jak fort Knox, jeśli o to ci chodzi. Zainstalowałam nowy system alarmowy, a mojego psa obronnego już znasz.

Podawała mu kawałki lodu – na wysuszonym języku smakowały jak ambrozja.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, że Eli u mnie przenocuje? Pani Minton nie ma pokoju gościnnego.

– Nie. Bardzo ci dziękuję.

– Musisz tu poleżeć jeszcze kilka dni. Lekarz mówi, że masz wstrząs mózgu, ale dzięki Bogu na tym się skończyło. Oczywiście mnóstwo siniaków, ale żadnych złamań ani pęknięć. Mam do kogoś zadzwonić? Może do matki Eliego?

– Rachel... – Zastanawiał się, jak to powiedzieć, by nie zabrzmiało zbyt surowo. – Lepiej, żeby nie pojawiła się zniecałeczenie w życiu Eliego. Poza tym jest teraz bardzo zajęta.

Rachel nie interesowała się wychowaniem synka. Miała kogoś w Ohio, do czego przyznała się ostatnio, zamierzała wziąć ślub i założyć rodzinę.

– A państwo Graff?

– Nie ma sensu zawracać im głowy. – Kochał Billa i Carol, ale nie zniósłby myśli, że tu przyjadą i będą się nad nim rozczulać. I bronić go w miasteczku, które go nienawidzi.

– Napijesz się wody? – zapytała.

– Najpierw mi odpowiedz – uśmiechnął się z trudem – czy celowo skierowałaś moją głowę na Rikera?

– Pielęgniarka ma różne metody do dyspozycji – zwłaszcza wobec męskich szowinistów.

Chciał się roześmiać, ale tylko jęknął, bo poczuł nową falę bólu.

– Przepraszam – szepnęła. – Aż za dobrze wiem, jakie to uczucie. Kiedy poczuł się troszeczkę lepiej, podała mu wodę i tabletki przeciwbólowe, które, jak zapewniała, złagodzą cierpienie.

– Nic mocniejszego ci nie dam – powiedziała. – Ze względu na wstrząs mózgu.

Jego żołądek poruszył się niespokojnie, więc zaczął mówić, żeby nie myśleć o tym.

– A Morrell? Jak zareagował na wieść o Calvercie?

- Obiecał, że go przesłucha. Bada także sprawę strzelaniny i jeśli się okaże...
- Nic się nie okaże. Calvert to jego krewny.
- Owszem, siostrzeniec. Ale szeryf mi przyrzekł...
- Moje słowo przeciwko słowom Calverta – zauważył Mark z goryczą. – Nie mam szans,

Beth Ann.

Usiadła na krześle obok łóżka, splotła ręce na piersi.

- Nie wyjdę, póki nie powiesz, o co tu chodzi.
- O bezsensowną bójkę i tyle.
- Nie jesteśmy w szkole, Mark. Mogli cię zabić... mogli zabić nas oboje.
- Przykro mi. Nie chciałem cię w to wciągać.
- Wiem. Co się stało? Słyszałam, że Calvert był wściekły, bo uratowałeś tę kelnerkę.
- Gdzie to słyszałaś?
- Mark, jesteś w Eudenie. Jeszcze pytasz?

Westchnął. Powszechnie plotkarstwo to kolejny powód, dla którego nie tęsknił za tym miasteczkiem.

– To tłumaczy, czemu Calvert był na ciebie wściekły... Ale dlaczego zaatakowałeś pierwszy? Sam to powiedziałaś, pamiętasz?

– Zaatakowałem nie Calverta. Donny'ego Raya.

– Żartujesz. Donny Ray jest zazwyczaj zbyt pijany, by cokolwiek... Momencik. Coś powiedział? – Na jej twarzy wykwitł rumieniec. – Nie powiesz mi chyba, że źle mówili o twoim ojcu?

– O ojcu? Nie.

– Więc o kim?

Chciał potrząsnąć głową, ale zaraz z tego zrezygnował.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Jestem zmęczony i obolały. Chcę zostać sami...

– Przykro mi, ale muszę znać prawdę, zanim pojedę po... – Nagle zrozumiała. – Chodziło o Eliego, tak? – Zerwała się z krzesła z roziskrzonymi oczami. – Jeden tych durniów powiedział coś...

– Beth Ann – przerwał jej Mark. To jego problem, jego sprawa. Prędzej go szlag trafi niż pozwoli, by toczyła za niego jego walkę.

– O rany, mam nadzieję, że dobrze im dołożyłeś, zanim ten tchórz Gene zaatakował cię od tyłu.

– Powinienem był zachować zimną krew. Ci idioci nie są tego warci.

– Z tym się akurat zgadzam, ale moim zdaniem to nie wszystko. Nie wierzę, że Calvert aż tak się przejął, że zapłacił czyjś rachunek. Tutaj nikt nie narzeka na nadmiar pieniędzy. Pewnie zauważyłeś, że pozamykano większość sklepów.

Mark zacisnął usta. Bolało go całe ciało. Czy Beth Ann nie może dać mu spokoju?

– Chodzi o coś jeszcze, prawda? – Nie dawała za wygraną. – Tamtej nocy, po meczu, obaj tam byli. Gene i Donny Ray... tylko że Gene nie grał. – Zmarszczyła czoło w skupieniu.

– Za karę, prawda? Bo kilka dni wcześniej pobił się z kimś w szkole?

– To dawne czasy. Nie ma sensu...

– Ale tamtej nocy Sokoły przełamały złą passę i po raz pierwszy od dziesięciu lat pokonały Tygrysy z Electry – ciągnęła, jakby go nie słyszała. – Wszyscy świętowali, tylko Gene był wściekły, że wygraliśmy bez niego.

Mark zamknął oczy. Może Beth Ann pójdzie sobie, kiedy uda, że śpi. Ale ona została, może dlatego, że porwał ją strumień wspomnień.

– Wychodziłam już... Miałam coś zabrać z domu, a potem z Sarindą, Heidi i twoją siostrą pojechać na imprezę do Steve'a Kellera. Przyjaciele Gene'a zostali, pocieszali go piwem. Donny Ray, Xavier i Scotty Morrell... Ty też, teraz sobie przypominam... Ale dlaczego? Twoja siostra wyszła wcześniej z rodzicami, więc nie czekałeś na nią...

Dłużej nie mógł jej ignorować.

– Wydawało mi się, że niczego nie pamiętasz.

– Przypominam sobie coraz więcej. Odkąd wróciłeś, przypominają mi się kolejne fragmenty... Układają się jak kawałki rozbitego lustra.

– A jak myślisz, co zobaczysz, gdy już ułożysz je całe? Martwe przyjaciółki? Moją siostrę? Siebie sprzed wypadku? To boli, Beth Ann.

– Ale dzięki temu ty się z tym uporałeś. A ja nie.

Pomyślał o niej: została w Eudenie, mieszkała z matką, gdy ich rówieśnicy zakładali rodziny albo własne firmy w innych miastach, mając przed sobą przyszłość. Może właśnie niewiedza nie pozwalała jej żyć inaczej.

Ale robiło mu się niedobrze na wspomnienie tamtej nocy, z żalu i poczucia winy. Nie chciał rozdrapywać starych ran, wracać do historii, o której nie rozmawiał od szesnastu lat.

– Nie – szepnął. – Nie mogę teraz o tym mówić.

Dostrzegł jej rozczarowanie, choć zaraz je ukryła. Pochyliła się i musnęła ustami jego czoło.

– Miałeś ciężki dzień. Pojadę po Eliego.

– Dziękuję, za wszystko. – Spojrzał na nią mimo bólu pod powiekami.

– Pielęgniarka niedługo do ciebie zajrzy, a jakbyś czegoś potrzebował, naciśnij ten guzik. Rano poczujesz się lepiej. Wtedy porozmawiamy.

Niepokój dusił mu gardło. Beth Ann powinna poznać prawdziwą wersję wydarzeń. Nawet jeśli, jak się obawiał, tylko nadzieja na poznanie prawdy trzymała ją u jego boku.

Rozdział 19

Chwała Ci, Panie, za to, że władze przesłuchują innego podejrzanego. To prawdziwe szczęście, istny cud.

I dowód, że Najwyższy pobłogosławił moje dzieło, a list pozostał w ukryciu.

Chyba że... Czy to możliwe, by córka nierządnicy okazała się bardziej bystra, niż się początkowo wydawało? Czyżby grała na zwłokę, czekała na odpowiednią chwilę, by się zemścić?

Po tych myślach pojawiła się wizja, nagle jak tornado, które mknąc przez prerię, niszczy wszystko na swej drodze. Beth Ann Decker, naga, w ramionach tego powracającego syna marnotrawnego, Marka Jessupa. Wizja tak porażająca, że trzeba aż było zjechać na pobocze, by uważnie wszystko przeanalizować. To oczywiście nie jest grzech, żadne podglądanie. Gdy dłonie Jessupa dotykały białej piersi córki nierządnicy, wyszeptał: „Władzom nie można wierzyć. Ja jestem tego najlepszym dowodem”.

Beth Ann pokręciła przecząco głową, aż rude fale włosów rozsypały się na jej ramionach, i odepchnęła dłoń, która zabłądziła między jej uda. A potem odezwała się głosem Lilly Decker: „Skąd ci przyszło do głowy, że do zemsty potrzebna mi władza?” – A z każdym słowem twarz córki zmieniała się, aż stała się twarzą matki. – „Zniszczę zabójcę, a także wszystko i wszystkich, których kochał”.

Ponieważ wywóz śmieci należał do tych usług komunalnych, z których miasteczko, znajdujące się na skraju bankructwa, dawno już zrezygnowało, Damon raz w tygodniu wrzucał worki ze śmieciami do swego pikapa i jechał na wysypisko. Nie przeszkadzałoby mu to tak bardzo, gdyby rodzice nie uznali, że jego chrześcijańskim obowiązkiem jest też zabierać śmieci sąsiadów, chorych i starych. Cholerne psy znowu dostały się do śmieci pana Carneya, które jak zwykle cuchnęły starymi kotletami schabowymi i kiszoną kapustą.

Zaklął pod nosem. Na dworze zrobiło się już ciemno, a on niedługo musiał jechać do pracy. Damon wziął grabie, gumowe rękawice, worek foliowy i zabrał się do roboty w świetle reflektorów swego pikapa. Już kończył, gdy niedaleko zatrzymał się inny samochód. Nie wyłączył świateł, które raziły w oczy.

Otworzyły się drzwiczki, jedno, a potem drugie. Damon zobaczył sylwetki dwóch mężczyzn. Serce na moment zamarło mu w piersi. Zaciśnął dłonie na grabiach.

– Ej, Stillwater, szykujesz się do nowej pracy?

Drugi mężczyzna roześmiał się i Damon odetchnął z ulgą. Wszędzie rozpoznałby głośny, bez troski śmiech Neda Gustavsena. A to oznaczało, że jego towarzyszem jest Pete Riker.

Wysoki, jasnowłosy, wesoły Gustavsen zawsze wydawał mu się w porządku, ale Rikera nie znosił; Riker od dawna był policjantem i zawsze się go czepiał w czasach szkolnych. Najwyraźniej lubił dokuczać uczniom.

– A jakże – odparł Damon o sekundę za późno. – Śmieciarzom chyba płacą lepiej niż gliniarzom.

Tamci roześmieli się. Damon przypomniał osobom, że nie tylko się przyjaźnią, właściwie są rodziną, bo ożenili się z siostrami. Niestety zbyt szybko spowaźniali.

– Pomyśleliśmy, że lepiej będzie najpierw z tobą pogadać – odezwał się Pete. W jego głosie pobrzmiwały ostrzegawcze nuty. Wsunął palec za szlufki spodni, tam, gdzie podczas służby nosił kaburę z bronią.

– To, co robiłeś – włączył się Gustavsen – na swój sposób jest nawet zabawne...

A więc koledzy z posterunku nabijają się z niego za plecami, uważają go za smarkacza, który bawi się w detektywa. Ale szeryf na pewno jest innego zdania. Ta myśl dodała mu otuchy.

– Chodzi o to, że kiedy chcemy kogoś przesłuchać... – zaczął Gustavsen.

– W ramach oficjalnego dochodzenia... – uzupełnił Pete.

– ... ludzie się wkurzają. Mówią, że wszystko już powiedzieli, I są wściekli, że przysłaliśmy do nich tego niewychowanego chłopaka Stillwaterów.

Damon skrzywił się. A więc Morrell miał rację, że trzeba inaczej przeprowadzać przesłuchania.

– To musi się skończyć – podsumował Pete. – Wtrącasz się w nie swoje sprawy.

Damon skinął głową, choć miał na końcu języka pytanie, dlaczego inni nic nie robią. Przecież nie od razu zaczął węszyć na własną rękę. Nie robiłby tego, gdyby widział efekty działania policji.

Milczał jednak, czując, że znalazł się zbyt blisko niebezpiecznej prawdy. Nie zapomniał też łez w oczach ojca.

– Mam nadzieję, że się z nami zgadzasz, Damon – mrugnął do niego Ned.

– Bo inaczej pójdziemy z tym do Morrella – zagroził Pete.

– Rozumiem – odparł Damon. – Będę się trzymał z daleka od tej sprawy.

– Bardzo dobrze – powiedział Pete z wyraźną kpina w głosie. – Bo w przeciwnym razie sprzątanie cudzych sieci będzie dla ciebie jedynym wyjściem z sytuacji.

Beth Ann jakby obserwowała samą siebie z wysoka, spod sufitu. Widziała, jak dłonie Marka błędzą po jej uśpionym ciele, jak jego ruchy rozpalają jej pożądanie, tworzące wokół ciała fosforyzującą aureolę. Jego usta pieściły jej szyję, wrywały stłumiony jęk pożądania z gardła. Kolejny sen, kolejny cholerny sen. Zostaje po nim pragnienie, które nigdy się nie spełni...

Beth Ann obudziła się, mając łzy w oczach. Patrzyła na jasny kształt przy drzwiach. Maia. W jasnym świetle księżycy suka stała czujna, nieruchoma, cicho powarkując.

Beth Ann przeniosła wzrok na czerwoną, pulsującą diodę alarmu – wszystko działało bez zarzutu. Ale coś przecież obudziło ją i Maię.

Nagle z przerażeniem przypomniała sobie, że włączyła alarm dopiero po powrocie do domu. Wpuszczając chłopaków Winfieldów do domu, bardzo się spieszyła i zapomniała o podstawowych zasadach bezpieczeństwa.

A oni nie dość, że nie włączyli alarmu, to w dodatku zostawili otwarte tylne drzwi. Jednak wszystko wydawało się w porządku.

A może ktoś się ukrył za zasłoną w gabinecie? Albo pod biurkiem?

I wtedy usłyszała wysoki, przenikliwy... krzyk dziecka.

Eli!

Zerwała się błyskawicznie z łóżka, odruchowo sięgnęła po laskę. Jej serce kołatało z przerażenia. Czyżby przez jej nieuwagę miało ucierpieć dziecko powierzone jej opiece?

– Tatusiu! – Głosik Eliego drżał, jak pajęczyna na wietrze.

– Już idę, skarbie. – Beth Ann otworzyła drzwi do sypialni. Maia wyminęła ją i pognąła do pokoju na końcu korytarza, gdzie nocna lampka zapraszała do pokoju gościnnego.

Eli stał w progu z otwartymi szeroko oczami i włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Chcę do taty!

Beth Ann zapomniała o swoich snach, kucnęła i objęła chłopczyka. Maia, z każdym dniem coraz większa pieszczocha, wśliznęła się między nich, podekscytowana perspektywą nocnej zabawy.

– Jutro go zobaczysz, skarbie – mruknęła Beth Ann. – Jutro się obudzi i będzie w lepszej formie.

– Zły człowiek chciał mu zrobić krzywdę – wyznał Eli.

– Jaki zły człowiek?

Wieczorem, gdy odbierała malca od pani Minton, posłuchała jej sugestii i powiedziała chłopcu, że ojciec miał niegroźny wypadek. Wolą go okłamać, niż przerazić straszną prawdą.

– Ten zły człowiek koło szopy. Zaglądał do naszego pikapa. Widziałem go, kiedy poszedłem pobawić się ze Stormy.

Już przedtem opowiadał jej, że chce zaprzyjaźnić się ze zdziczałym kotem z szopy. Najwyraźniej nadanie mu imienia było kolejnym etapem zawierania znajomości.

Jednak to, co teraz usłyszała, sprawiło, że Beth Ann włosy stanęły dęba.

– Tatuś o nim wie?

Eli energicznie pokręcił główką.

– Nie. Zły człowiek powiedział, że mam mu nic nie mówić, bo inaczej odbierze mi gwiazdę.

– Gwiazdę?

– Gwiazdę szeryfa.

Serce waliło jej jak oszałałe.

– Czy on... czy on ci coś zrobił, Eli? Dotykał cię?

– Nie. Trzymałem się z daleka. Za bardzo się bałem.

Dzięki Bogu. Odprężyła się na moment, by po chwili znowu poczuć powracając napięcie, wraz z nową myślą.

– Powiedział, że odbierze ci odznakę? Czy to znaczy, że on ci ją dał, Eli? Czy to był szeryf Morrell?

Eli znowu przecząco pokręcił główką. W jego wielkich ciemnych oczach malował się smutek.

– To nie on. To był zły człowiek. On mnie nie lubi.

– Kto to jest, Eli? Znasz go?

Chłopczyk skinął głową, ale zaraz pokręcił przecząco.

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Ale już go widziałeś, tak?

Eli się zawahał. Nawet w słabym świetle dostrzegła łzy na jego policzkach.

– Chcę do taty!

Beth Ann miała ochotę wziąć go na ręce, ale nie dałaby rady, więc ograniczyła się do uścisku dłoni.

– Chodź ze mną do mojego pokoju. Położymy się i o wszystkim pogadamy.

Patrzył na nią czujnie.

– Nic ci się nie stanie, Eli.

– A... a Maia pójdzie z nami?

Beth Ann uśmiechnęła się.

– Za żadne skarby nie zrezygnowałaby z takiej atrakcji.

Choć starała się nauczyć sukę, żeby nie wchodziła na łóżko, tym razem nie będzie się przy tym upierała. Eli zasnął po kilku minutach, otulony kołdrą, z ręką na psim futrze.

Beth Ann zastanawiała się, jak wypytać Eliego o tajemniczego mężczyznę, który przeraził małego tak bardzo, że bał się o tym mówić. Postanowiła poczekać z pytaniami do rana.

Wstała cichutko, wzięła latarkę i obeszła powoli cały dom, zajrzała w każdą dziurę. Zajęło jej to czterdzieści minut, ale i tak po powrocie do łóżka nie mogła zasnąć. Leżała wpatrzona w czerwone światełka alarmu.

Dwa dni później

– Mój Pete mówi, żeś się na niego wydarła na pogrzebie Jessupa. Słowa Sheryl zaskoczyły Beth Ann. Prowadziła wypożyczony wóz, znużona monotonią niekończącej się prerii i prostej jak strzała drogi z Fort Worth do Eudeny.

– A ja myślałam, że śpisz.

– Nigdy nie śpię w samochodzie – oburzyła się Sheryl. – A tym bardziej wtedy, kiedy z własnej woli, z dobroci serca zaproponowałam, że będę ci towarzyszyć.

Beth Ann uśmiechnęła się.

– W takim razie chrapałaś na jawie. Zresztą znam cię. Pojechałaś ze mną, bo umierałaś z ciekawości, co takiego mama przechowywała w bankowej skrytce.

– Wszystkiemu zaprzeczam. I nie myśl sobie, że nie wiem, czemu zmieniasz temat.

Beth Ann dostrzegła wielbłąda, który leniwie podniósł głowę znad skąpej trawy. Kilku właścicieli ziemskich sprowadziło je, by oczyścić pola z zarosli. Wielbłądy miały się całkiem dobrze, ale Beth Ann nie mogła przywyknąć do ich widoku. Nie pasowały do krainy kojotów i królików. Wzruszyła ramionami.

– Oskarżona przyznaje się do winy. Wkurza mnie, kiedy mi mówi, co mam robić.

– Bo zawsze podchodzisz do niego od niewłaściwej strony. Nie ma na myśli nic złego,

chyba że kłóćcie się o to, jak głosowałaś w ostatnich wyborach.

– Tym razem nie chodziło o politykę. Pete czepiał się mnie z powodu Marka Jessupa. Wygląda na to, że ktoś, ciekawe kto, powiedział mu o różach.

Beth Ann dostrzegła rumieniec na twarzy przyjaciółki.

– Przepraszam. Ale sama doskonale wiesz, że i tak dowiedziałby się o tym prędzej czy później. Wiadomość rozeszła się po całym mieście. Ludziom się to nie podoba; ty jesteś naszym aniołem, a on wyrządził już tyle zła. Tymczasem ta śliczna kelnereczka z baru pod Błękitnym Kojotem rozpowiada na prawo i lewo, że złowiłaś dobrą partię.

– Mark to nie ryba; zresztą my się tylko... przyjaźnimy. Sheryl tak się zaśmiała, że się zatrzęsł samochód.

– Akurat! Nawet jeśli jeszcze nie poszliście do łóżka, zrobicie tę na pewno, kiedy tylko Mark stanie na nogi. Sprytnie pomyślałaś, żeby zająć się teraz jego dzieciakiem.

Beth Ann odruchowo zerknęła na zegarek, żeby się upewnić, czy zdążą odebrać od pani Minton Eliego i najmłodszą pociechę Sheryl. Mają jeszcze czas, żeby tylko policja nie zatrzymała jej za zbyt szybką jazdę.

Zwolniła, choć pusta droga wręcz się prosiła, żeby dodać gazu.

Sheryl zamyśliła się.

– Aimee pewnie pluje sobie w brodę, że sama nie wpadła na pomysł z opieką nad dzieckiem.

– Aimee? Ona ma swego ratlerka, którego ubiera w kaftaniki pasujące kolorem do jej stroju. Ktoś powinien poinformować o tym Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

– Znowu zmieniasz temat. Co z tobą i z Markiem Jessupem? Tylko szczerze.

– Nie ma o czym mówić. Pewnie wyjedzie stąd, gdy tylko będzie w stanie prowadzić samochód. Nic go tu już nie trzyma. A ja będę prowadzić dalej żaloszny żywot starej panny.

Sheryl spoważniała.

– Chcesz tego?

Beth Ann przecząco pokręciła głową.

– Chyba nie. Zastanawiałam się, czy nie pójść w ślady mamy i zacząć imprezować tak jak ona.

– Nie wygłupiaj się.

Beth Ann wzruszyła ramionami.

– Jak powiedziała moja matka, świat należy do mnie, jeśli odważę się po niego sięgnąć. Wygląda na to, że była mądrzejsza niż sądziłam.

– Może i tak, ale nadal nie rozumiem, czemu pojechała aż do Fort Worth, żeby ukryć w skrytce bankowej stare wycinki z gazet i instrukcję obsługi jej mercedesa.

Rzeczywiście, wszystkie wycinki dotyczyły wypadku, poczynając od pierwszego doniesienia po sprawozdania z procesu Marka. Dodano także dwa nekrologi: jej ojca, który zmarł dwa miesiące po tragedii, i matki Marka, z nieco późniejszą datą.

– Pewnie nie chciała, żeby przypadkiem trafiły w moje ręce – odparła Beth Ann. – Może się obawiała, że wykręcę jej numer w stylu Sylvii Plath, jeśli znowu zacznę to czytać.

Najgorsze były zdjęcia. Powstrzymała łzy na wspomnienie wraku camaro, którym wtedy

jechała. Do tej pory nie wiedziała, co z niego zostało. Artykułowi towarzyszyły legitymacyjne fotografie jej martwych przyjaciółek. Było tam także zdjęcie młodego Marka. Miał takie ufne, smutne oczy.

Ale Sheryl zapytała tylko:

– Jakiej Sylvii?

– Poetki, która popełniła samobójstwo, odwiecznej patronki depresyjnych nastolatk.

Sheryl gapiła się na nią.

– Twoja mama, świeć Panie nad jej duszą, miała nierówno pod sufitem. Człowiek, który pracuje w hospicjum, musi być twardy jak stal.

– Amen. Całkowicie zgadzam się co do jej stanu psychicznego. I jeszcze ta instrukcja obsługi. Kiedy sprzedawałam samochód, wszędzie jej szukałam.

– A to znaczy, że odwiedziła ten bank nie tak dawno temu. Samochód był przecież prawie nowy.

– Miał pół roku – uściśliła Beth Ann. – Sprzedała cadillaca mniej więcej wtedy, kiedy się przeprowadziłyśmy. Mercedes był dla niej symbolem bogactwa. Wiesz przecież, w jakich warunkach dorastała.

– Wiem.

Matka rzadko opowiadała o ciężkim życiu z ojcem alkoholikiem, ale w Eudenie niewiele da się ukryć. Zwłaszcza gdy delikwent regularnie się upija i wszczyna bójki, co wpędziło go do grobu po tym, jak żona, czyli babka Beth Ann, zostawiła jego i nastoletnią córkę.

– Nie ma co o tym gadać – mawiała mama znad oszronionej szklanki margarity.

Beth nieraz się zastanawiała, czy to trudne dzieciństwo sprawiło, że Lilly piła i uganiała się za żonatymi mężczyznami. I czy to ją zabiło? Podobnie jak ojca, o którym nie chciała rozmawiać?

Czy przeszłość może być tak groźna jak jadowity wąż? Beth Ann nie chciała stać się jej trzecią ofiarą.

Rozdział 20

Dzień później...

Słyszając trzask drzwiczek samochodu, Mark poderwał się z kuchennego stołka – zdecydowanie za szybko, co przyplącił zawrotem głowy. Choć rano zwolniono go ze szpitala, nadal kręciło mu się w głowie, gdy poruszał się zbyt energicznie. Był to jeden ze skutków wstrząsu mózgu. Dlatego też nie mógł usiąść za kierownicą.

Beth Ann zadzwoniła wcześniej i oznajmiła, że wpadnie do niego, kiedy odwiezie Eliego do przedszkola. Chciała z nim pogadać.

Jednak Mark coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że z grzebania w starych tajemnicach nie wyniknie nic dobrego. Był jej bardzo wdzięczny za to, że przez kilka dni opiekowała się Elim. Calvert trafił za kratki bez prawa zwolnienia za kaucją, bo cały czas mu groził. Miano go oskarżyć o napad i stawianie oporu policji, więc Mark uznał, że jak tylko załatwi wszystkie sprawy związane z majątkiem ojca, może wracać do Pittsburga.

A jednak Pensylwania już go tak nie pociągała, zwłaszcza w tej chwili, gdy Beth Ann weszła tylnymi drzwiami. Wyglądała bardzo ładnie, zbyt ładnie, w dżinsach, które podkreślały długie, smukłe nogi, i w granatowym, obcisłym sweterku. Rozpuszczone włosy spływały zmysłowymi falami na ramiona.

Mógłby tak stać do końca świata i zachwycać się jej widokiem – a także wsłuchiwać w swój rozszalały puls i upajać się świadomością, że po raz pierwszy w życiu znaleźli się sam na sam ze sobą. Ale opanował pożądanie i skupił się na pytaniach, które, jak sądził, Beth Ann zechce mu zadać – o wydarzenia sprzed szesnastu lat, o których nie mówił nikomu.

Beth Ann spojrzała na niego i powiedziała:

– Siadaj, bo zaraz zemdlejesz. Może zaniosę kawę do saloniku? – Wskazała świeżo zaparzony dzbanek na kuchence.

– Dobrze – uśmiechnął się. – Pomogę ci. Pokręciła przecząco głową.

– Idź przodem, bo nie zamierzam pożyczać ci laski, żebyś dotarł do kanapy.

Próbował protestować, ale posłuchał jej. Najpierw zaniosła do pokoju jego kubek, potem wróciła po swój i usiadła na drugim skraju kanapy. Przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła:

– Masz potężnego siniaka na skroni.

– To nic takiego – zapewnił. O ile nie dotykał tego miejsca, ból był do zniesienia.

– A zawroty głowy?

– Po prostu muszę pamiętać, żeby ruszać się wolno. Ale nie przyjechałaś tu po to, żeby zapytać o moje zdrowie.

Podmuchała na kawę i pokiwała głową.

– To prawda – przyznała.

Sięgnęła po leżącą na podłodze torebkę i położyła ją na kanapie między nimi. Czy miała chronić ją przed tym, żeby nie padła w jego ramiona?

– Chciałbym ci jeszcze raz podziękować za opiekę nad Elim – powiedział.

– Świetnie bawiliśmy się razem. Zazdroszczę ci go, Mark. Jeśli kiedyś będę miała dziecko, chciałabym, żeby było choć trochę podobne do niego. – Zarumieniła się. – Pewnie uznasz mnie za idiotkę, ale pokochałam go.

– Jego trudno nie kochać. Zresztą on też za tobą szaleje. Zawołowana aluzja Beth Ann, że może mieć dzieci, sprawiła, iż trochę swobodniej odetchnął.

– Przede wszystkim oszalał na punkcie Mai – powiedziała. – Bardzo się zmartwił, kiedy rano okazało się, że mój świetnie wyszkolony pies obronny dorwał się do śmietnika i ma rozstrój żołądka.

Mark roześmiał się.

– Zupełnie jak nasz Beau. Beth Ann spoważniała.

– Ponieważ nie było Mai, udało mi się wyciągnąć z niego odpowiedzi na kilka pytań.

– Jak to?

– Pierwszej nocy u mnie obudził się z krzykiem, bo przyśnił mu się człowiek, który, jak się obawiał, może wrócić, żeby zrobić ci krzywdę.

Mark pokręcił głową.

– Myślałem, że mu nie powiesz o tym zdarzeniu.

Mark, nie chcąc przestraszyć synka, powiedział mu, że upadł na schodach po pogrzebie.

– Mark, zanim doszło do tej bójkii, Eli kogoś widział. Kogoś, kto zaglądał do twojego pikapa i do domu.

– Jak to? Kiedy?

– Jeszcze za życia twojego ojca, ale Eli nie potrafił dokładnie określić, kiedy.

– Dlaczego mi o tym nie powiedział?

Beth Ann zacisnęła usta w wąską linię. W jej oczach zalśniły łzy.

– Ten drań go skrzywdził? – zdenerwował się Mark. Przecząco pokręciła głową, a on odetchnął z ulgą.

– Nie, to nie to – zapewniła. – Nie dotknął go, ale bardzo przestraszył. Powiedział, że jeśli piśnie choć słówko, odbierze mu odznakę.

– Odznakę policyjną? A więc to...

– Podejrzewam, że to Pete Riker. Pamiętasz, ten ze szpitala?

– Wiem doskonale, kto to jest. Uwziął się na mnie, odkąd po raz pierwszy wlepił mi mandat za zbyt szybką jazdę, gdy miałem piętnaście lat i wzięłem samochód mamy. Ale jeśli grozi mojemu dziecku...

Przechąco pokręciła głową.

– Nie sędę, żeby posunął się aż tak daleko. Pete jest mężem mojej najlepszej przyjaciółki. Owszem, czasami bywa okropny, ale ona twierdzi, że to słodki drań...

– Widziałaś, jak patrzył na Eliego? Riker to taki sam obrzydliwy rasista jak Donny Ray, ale jest od niego o wiele bardziej niebezpieczny. Ma broń.

Pokręciła głową.

– Pete od lat służy w policji i nie wyobrażam sobie, by zrobił coś wbrew prawu, albo coś, co zagroziłoby jego posadzie. Może tylko węszył, szukał dowodów...

– Na to, że zabiłem twoją matkę? Nadal się nad tym zastanawiasz, Beth Ann?

– Boże drogi, nie! – Odgarnęła włosy z czoła, na chwilę zastygła w bezruchu, jakby jego pytanie sprawiło jej ból. – Naprawdę myślisz, że przyszedłbym tutaj, gdyby tak było? Że chciałabym mieć coś wspólnego z tobą? Z Elim? – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej długą białą kopertę. – Myślisz, że czekałabym na odpowiedni chwilę, by zapytać cię o to, zamiast od razu iść do Morrella? Podała mu kopertę.

– O co tu chodzi, Mark? Nie znalazłam listu.

Patrzył jej prosto w oczy, ale nie widział w nich oskarżenia. Chociaż śmierć jej matki jest otoczona tajemnicą. Chociaż jej życie zmieniło się nieodwracalnie z jego winy pewnej letniej nocy przed laty.

– Twoja mama napisała do mnie dwukrotnie. Długo trwało, zanim otworzyłem pierwszy list. Myślałem, że będzie mnie przeklinała za to, że zniszczyłem ci życie. Kiedy jednak w końcu otworzyłem list, okazało się, że ani słowem nie wspomniała o tym. Pisała, że trzeba ratować miasto. Miałem wrażenie, że bardzo jej zależy na Eudenie, choć nie do końca była ze mną szczerą.

– Nie rozumiem. Niby dlaczego akurat wam miałyby zależeć na ocaleniu miasteczka? I co masz na myśli mówiąc, że nie była do końca szczerą? Mojej matce można zarzucić wiele, ale nigdy nie kłamała. Nawet jeśli nie chciało się usłyszeć prawdy.

– Dała mi do zrozumienia, że należy do stowarzyszenia ratowania Eudeny i występuje w imieniu komitetu. Załączyła nawet zaadresowaną kopertę zwrotną.

Beth Ann opuściła wzrok.

– Nie miałam pojęcia, że aż tak jej zależało na członkostwie w tym Komitecie. Nazywała ich bandą snobów.

– A jednak zależało jej na Eudenie – stwierdził Mark. – Te jej listy... jeśli chcesz, prześlę ci je po powrocie do domu.

Beth Ann skinęła głową.

– Ale nadal czegoś tu nie rozumiem. Co jej zdaniem mógłbyś zrobić?

– Czytała o mojej firmie i wymyśliła, że moglibyśmy we dwójkę ocalić miasto przed katastrofą. Może widziała w tym okazję dla dwóch czarnych owieczek do odkupienia starych grzechów.

Beth Ann gwałtownie podniosła głowę.

– Czyli myślała, że zdołasz ocalić Eudene swoimi pieniędzmi? I jej wygraną?

– Mniej więcej. – Sugestia Lilly bardzo go wówczas zaskoczyła. – Muszę przyznać, że miała kilka dobrych pomysłów.

– Nie pojmuję – zachnęła się Beth Ann. – Niby dlaczego chciała, ratować to miasteczko? Po tym, jak ją tu traktowano? I skąd, u licha, pomysł, że to w ogóle możliwe? Bo przecież... nie byłeś tu od lat i nie zachowałeś stąd najlepszych wspomnień.

Uśmiechnął się z trudem.

– Niektóre były całkiem przyjemne. Przyglądała mu się długo. Spochmurniała.

– Nie sądzę.

– Nie miałem na myśli tamtej nocy.

Upiła kolejny łyk kawy, ale nie spuszczała z niego z oczu.

– Mark, powiedz, dlaczego wtedy kręciłeś się koło stadionu? Wszyscy dorośli już poszli... Zawahał się.

– Mark... Jess... proszę. – Nie dawała za wygraną. Przypomniało mu się, jak powiedziała, że nie będzie w stanie zrobić kroku do przodu, póki nie zrozumie, dlaczego jej obecne życie wygląda tak, a nie inaczej. Przypomniał sobie czasy, gdy mówiła do niego Jess. Przełknął z trudem ślinę i odparł:

– Czekałem na kogoś.

– Pewnie na Aimee.

– Nie, to była tylko jednorazowa sprawa, zaraz znalazła sobie następnego chłopaka. – Odetchnął głęboko. – Czekałem na ciebie, Beth Ann.

– Na mnie? Ale dlaczego?

– Nie wiesz? – Pamiętał, jak obserwował ją uważnie, jak czekał na odpowiednią chwilę. – Wszyscy wiedzieli, że zerwałaś ze Scottym i chciałem... Bardzo chciałem z tobą porozmawiać, może zdobyć się na odwagę i zaprosić cię na randkę...

Jej oczy zalśniły i wydawało mu się, że przez chwilę pod zmienioną przez lekarzy twarzą dostrzega dawną Beth Ann. Nadal była piękna, ale przez moment zateśknął za tamtą dziewczyną. Za dziewczyną, która nigdy nie będzie taka sama, nieważne, co jej powie.

– Więc czemu tego nie zrobiłeś? – szepnęła ledwo słyszalnym głosem.

Pokręcił głową i odczekał, aż ból ucichnie, zanim odpowiedział:

– To było tylko marzenie. Beth Ann, byłaś poza moim zasięgiem, przyjaciele otaczali cię zwartą gromadą, byłaś bardzo popularna... Nie miałem nawet okazji porozmawiać z tobą sam na sam, a nie odważyłbym się podejść do ciebie na ich oczach.

– Nie zastanawiałeś się nigdy... – odstawiała kubek na stolik, przysunęła się bliżej i gestem delikatnym jak skrzydło motyla dotknęła jego policzka – jak potoczyłoby się życie, gdybyś to zrobił?

– Zastanawiałem się każdego dnia. – Dotyk Beth Ann palił, jednak przytrzymał jej dłoń. – Ale nie odważyłem się, a potem odjechałaś z przyjaciółkami. Scotty mnie zaczepił, rzucił głupią uwagę, że się za tobą włóczę, że nie mam prawa nawet na ciebie spojrzeć.

– Zawsze mi się podobałaś – wyznała. – Owszem, trochę się ciebie bałam, ciągle zostawałaś w szkole po lekcjach, miałaś nagany i gnałaś przez Eudenę z zawrotną szybkością, ciągle z inną dziewczyną u boku. Czy może raczej bałam się o ciebie. Ale nigdy nie uważałam, że jestem dla ciebie za dobra.

Puścił jej dłoń, oparł łokcie na kolanach.

– Wtedy mnie zaatakowali – Ex, Donny Ray i Gene. Pewnie im się wydawało, że bronią honoru Scotty’ego, jakby coś cię jeszcze łączyło z tym dupkiem. Calvert był oczywiście najgorszy, ale wiedziałem, że mają przewagę liczebną, zresztą sytuacja niewiele się różniła od poprzednich, więc chciałem odjechać. Nie udało mi się.

– Jak to?

– Silnik mego samochodu nie zaskoczył. Byłem wtedy naprawdę wściekły. Wszyscy inni świętują, a ja sterczę na parkingu z głową pod maską, po łokcie w smarze. A potem zjawił się Gene i reszta.

– W końcu przecież uruchomiłeś silnik, bo inaczej...

Widział jej bystre spojrzenie. Czy przypomniła sobie coś więcej? Czy znów słyszała huk zderzenia, widziała krew, martwe ciała? Bo on tak; ten widok zawsze miał tuż pod powiekami.

Nie chciał o tym mówić, coś jednak sprawiło, że słowa, które tak długo dusił w sobie, popłynęły niekontrolowanym strumieniem.

– Siedzieli w samochodzie Gene’a, ciskali w moją stronę pustymi butelkami i rzucali głupkowate rady. – Znowu tam był, słyszał ostre słowa, czuł, jak napięcie zaciska się na żołądku żelazną obręczą, a lata upokorzenia prowokują do wybuchu. We wspomnieniach ich obelgi mieszały się z przepowiedniami na temat jego przyszłości, które słyszał z ust różnych osób: od nauczycieli, dyrektora szkoły, Pete’a Rikera i własnego ojca. Przecież wcale się nie uczy, nie przestrzega zasad, zadaje się z niewłaściwymi ludźmi. Jego młodsza siostra wszystko robi dobrze, on – nic. Jest za głupi, żeby czytać książki, za beznadziejny, by liczyć na coś więcej niż posadę śmieciarza albo celę za kratkami.

Boże... Za nic w świecie nie chciał wracać do tamtej nocy.

– Kiedy w końcu odpaliłem silnik, chłopcy byli nieźle wstawieni, a mnie rozpierała wściekłość.

– Biliście się? Skinął głową.

– Legendarny temperament Jessupów...

– Sam jeden na trzech? Czy nawet na czterech?

Spróbował się uśmiechnąć.

– Nie liczyłem ich. Zmarszczyła brwi.

– Też piłeś? Potrząsnął głową.

– Nie, nie miałem kiedy. Po prostu byłem wściekły. Rzucali we mnie butelkami, w końcu trafili i to przeważało szalę. Rzuciłem się na nich z pięściami. Co prawda krótko to trwało...

– Domyślam się. Przy takiej przewodzie liczebnej...

– Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Ale widzisz, w dzień pogrzebu ojca nie po raz pierwszy rozkwasilem nos Gene’owi Calvertowi.

– Wtedy także?

Sądząc po jej minie, dowiedziała się o tym dopiero teraz. A zatem w Eudenie o niczym nie wiedzą. Ciekawe, jak Gene wytłumaczył złamanie nosa następnego dnia po wypadku. Pewnie nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wszyscy mówili tylko o martwych dziewczętach, ciężko rannej Beth Ann i pijanym chłopaku, który to wszystko spowodował.

– Tak. – Mark pamiętał chrzęst łamanego nosa i strumień krwi. Ten wybuch wściekłości kosztował go jednak zbyt wiele.

Beth Ann przyglądała mu się intensywnie.

– I tak po prostu pozwolili ci odejść? Wiem, że zawsze trzymali się razem, a skoro pili, jak mówisz...

– Owszem, pili. – Dalsze słowa utknęły mu w gardle. Przysunęła się jeszcze bliżej, położyła mu dłoń na kolanie. Czuł jej ciepło nawet przez materiał dżinsów, a jednak te cholerne słowa nie przechodziły mu przez gardło. I nie przejdą, nawet gdyby wyrwała mu je

siłą z obolałego serca.

Rozdział 21

Beth Ann była już w życiu córką, przyjaciółką, studentką, pacjentką... A kiedyś nawet kochanką. Przede wszystkim jednak była kobietą z wyczuciem i empatią, które pozwalały jej dostrzec ból drugiego człowieka.

Jako pielęgniarka wiedziała, że czasami tylko bolesny zabieg daje szansę na ozdrowienie. Ale czy w tym wypadku ma prawo naciskać?

Owszem, ma. Zapłaciła za nie, tracąc przyjaciółki, zdrowie i młodość. Więc zdusiła w sobie współczucie – idiotyczną litość i pociąg do mężczyzny, który był wszystkiemu winien – i pozwoliła, by ich miejsce zajął gniew.

– Więc odjechałeś – dokończyła za niego. – Pojechałeś gdzieś i upiłeś się, pewnie z kumplami. A potem jechałeś w stronę domu Heidi Brown i...

– To nie było tak.

– I zderzyłeś się ze mną, gdy wyjeżdżałam z podjazdu Heidi.

– Nie byłem pijany. Ja...

W jej głosie pogarda mieszała się z niedowierzaniem.

– Odsiedziałeś trzy lata za spowodowanie śmiertelnego wypadku podczas jazdy pod wpływem alkoholu i twierdzisz, że nie piłeś?

– Nie miałem na to czasu. – W jego głosie nie było żadnych emocji, mówił jak człowiek w transie. – Byli tuż za mną...

– Niby kto? – Pustka w jego oczach przyprawiła ją o dreszcze. A potem zrodziło się nowe podejrzenie. – Nie powiesz chyba, że ścigaliście się.

Wiedziała, że dawniej nieraz to robił. Nie na darmo nazywano go Diabłem na Kołach. Nic nie widziała przez lzy, ale poczuła, że na nią patrzy.

– Nie, nie ścigałem się. Przysięgam na życie mojego synka.

– Więc o co chodzi? O co? Musiałeś jechać bardzo szybko. Ledwie wyjechałam z podjazdu Brownów i... – Zamarła, bo przypomniały jej się światła reflektorów. Dwóch samochodów, niejednego.

Podniosła rękę do ust.

– O Boże!

– Kiedy rozwaliłem Calvertowi nos, zaatakowali mnie potłuczonymi butelkami. Dostałem w oko. – Wskazał czerwoną bliznę pod lewym okiem, którą, jak sądziła, zostawiła zbita szyba samochodu. – Byli jak banda kojotów, gdy zwęszy krew. Wskoczyłem do samochodu i odjechałem, bojąc się że mnie zabiją.

– Oni... oni cię ścigali. – Głos jej się załamał, gdy to do niej dotarło. – Chcieli zepchnąć cię z drogi. Ja to widziałam, Mark... Ja to widziałam.

Znowu miała w uszach śmiech przyjaciółek. Tylko że tym razem przerwał go krzyk Jordan: „Zatrzymaj się, Beth Ann!”

Z drzeniem osunęła się w ramiona Marka. Głaskał jej włosy, plecy. Miała wrażenie, że dotyk jego dłoni przywraca jej siły.

– Wyjechałaś z podjazdu w niewłaściwym momencie. Chwila później...

Ale Beth na nowo przeżywała tamtą chwilę. Czula jej zapach i smak, czuła pedał hamulca pod stopą.

Odetchnęła głęboko i spojrzała w jego piwne oczy.

– Skoro cię gonili i przez nich zjechałeś z właściwego pasa... Dlaczego aresztowano tylko ciebie? Dlaczego tylko ty trafiłeś do więzienia?

– Chyba sama znasz odpowiedź na to pytanie.

No tak. Donny Ray Saunders i Ex Walling, syn i siostrzeniec szeryfa, gwiazdy szkolnej drużyny futbolu. W tamtych czasach wszyscy zapowiadali się świetnie. Nawet cheerleaderki z chevroleta.

– Pete Riker cię wrobił – stwierdziła. – A Jim Morrell świetnie o tym wiedział. Może nawet sam podjął tę decyzję.

Teraz Mark nie był bezbronny. Wiedział, jak zniweczyć świetlaną przyszłość senatora elekta Scotta Morrella. Mark mógł zaszkodzić wszystkim, nie wyłączając policjantów, gdyby jego wersja ujrzała światło dzienne.

– Dlaczego milczałeś? Jak mogłeś?

– Moja siostra i dwie inne dziewczyny nie żyły. Nikt nie wierzył, że ty przeżyjesz. Mój ojciec nie dał złamanego centa na adwokata, a stary obrońca z urzędu nie chciał tracić dla mnie czasu.

– Nawet cię nie wysłuchał?

– Władze samorządowe płacą obrońcom z urzędu marne grosze, bez względu na to, ile czasu i uwagi poświęcą danej sprawie. Staruszek poszedłby z torbami, gdyby się angażował w każdą sprawę.

– Jak się nazywał?

– To już naprawdę nieistotne. Na posterunku jakoby zgubiono wyniki testu na obecność alkoholu, który mi zrobiono tamtej nocy, ale oskarżyciel dysponował zdjęciami mego samochodu, do którego ktoś – pewnie Calvert i jego kumple albo Riker – podrzucił butelki po piwie. Miał zdjęcia wraku waszego samochodu i martwych dziewcząt. I miał chłopaka, znanego z brawurowej jazdy i braku szacunku dla starszych.

– Poświęcili cię – szepnęła. – Wcale nie byłeś taki zły. Nigdy nikogo nie skrzywdziłeś przed wypadkiem.

Wzruszył ramionami.

– Po co marnować życie czterem chłopakom, skoro można wszystko zwalić na jednego łobuza?

Beth Ann miała łzy pod powiekami. Ujęła jego twarz w dłonie i zobaczyła w niej prawdę, której nie sposób zaprzeczyć.

– Jesteś wart tyle, co dwudziestu Gene'ów i stu Rayów... Pocałowała bliznę pod jego lewym okiem.

– Tysiąc Xavierów i Scottów, milion parszywych kłamców, jakimi są Morrell i Riker.

– Znasz się na matematyce.

Nagle ogarnął ją płomień. Powróciły fantazje ostatnich nocy. Niezdolna oprzeć się

impulsowi, musnęła językiem koniuszek jego ucha i wyszeptała głosem przesyconym pragnieniem:

– Jess...

Równie dobrze mogła przysunąć zapalną do kanistra z benzyną.

Z jękiem złapał ją za ramiona i ustami sięgnął do jej ust. Była w tym siła, pożądanie, które nie mieszczą się w niewinnym słowie „pocałunek”.

Płoneła. Zdjęła sweter, żeby ochłonać.

Mark cisnął go na bok – nie wiedziała gdzie, za bardzo pochłaniało ją rozpinanie guzików jego dżinsowej koszuli. Szepnął:

– Najpierw to. – Jego usta pieściły jej szyję, aż piersi nabrzmiały pragnieniem.

Wkrótce i one się doczekały jego uwagi. Zwinnie rozpiął jej stanik i rzucił gdzieś daleko. Po chwili poczuła jego zarost na piersi. Ale to jej nie przeszkadzało, cudowna pieśczoła kazała jej wygiąć się w łuk. Umierała z rozkoszy, bo rzeczywistość okazała się wspanialsza niż marzenia.

Popchnął ją w dół, aż opadła na kanapę. Pochylił się i pieścił jej piersi, a jednocześnie mocował się z suwakiem jej dżinsów. Po raz kolejny sięgnęła do jego koszuli, ale znowu jej przerwał:

– Najpierw to, Beth Ann. Marzyłem o tym.

Ściągnął jej buty, skarpetki, a potem spodnie i majteczki. Dotykał jej, pieścił zwinnymi palcami, muskał dłonią pępek. Klęczał między jej nogami, czuła jego oddech na udach, gdy w końcu na nią spojrział.

– Chcesz tego, Beth Ann?

– Boże, jeśli teraz przestaniesz, zamorduję cię.

Uśmiechnął się, pochylił głowę i robił rzeczy, które jej studenckiemu kochankowi nawet nie przeszły przez myśl, a o których marzyła od dawna. Jednak marzenia w żadnej mierze nie dorównywały realnej rozkoszy... Gdy wsunął w nią dwa palce, eksplodowała fajerwerkiem prosto w niebo.

Po chwili świat wrócił na stare miejsce. Mark się do niej uśmiechał, bardzo z siebie zadowolony. Jej serce przestało bić, gdy zdjął koszulę i dżinsy, odsłaniając...

O rany! Czy to możliwe?

Spojrzała mu w oczy i przelknęła głośno ślinę. Wystarczyło jedno jego dotknięcie, by powrócił ogień.

Muskał dłonią jej nagie udo.

– Pragnę cię, Beth Ann. Pragnąłem cię już wtedy, gdy byliśmy w szkole, ale poczekam, jeśli...

Złapała go za ramiona i przyciągnęła do siebie. Nie pozwoli sobie odebrać tych cudownych chwil. Mark wraca jutro do Pittsburga? Trudno. Woli zostać z jednym rzeczywistym wspomnieniem niż z tysiącem fantazji.

Wsunął dłoń do kieszeni spodni.

– Poczekaj chwilkę...

Nigdy w życiu nie słyszała nic tak podniecającego, jak dźwięk rozdieranej folii. Nic

nigdy nie pachniało tak zmysłowo jak lateks.

– Pozwól, że ja to zrobię... – szepnęła. Wyjęła mu prezerwatywę z dłoni i założyła, nie szczędząc pocałunków. Jęknął z rozkoszy. No proszę, a obawiała się, że wszystko zapomni.

– Powiniennem wziąć cię do sypialni.

Uśmiechnęła się.

– Po prostu mnie weź.

I zrobił to. Mocno, szybko, gwałtownie, niemal brutalnie, ale Beth Ann poddała się rytmowi. Bo mimo pozornej agresji, w tym akcie były też nadzieja i zaufanie...

I rozkosz, kolejna rozkosz, która przeszywała ją cudownym napięciem. Mark podążył za nią z jej imieniem na ustach.

Łzy spływały jej na policzki, na skronie. Tak cudownie, tak dobrze było poczuć więź między nimi. Poczła się silna, kobieca. Pełna życia.

Całował ją powoli, czule, i zsunął się z niej, by jej nie przytłaczać.

– Beth Ann... Ty płaczesz? Bolało cię? Cholera, byłem za gwałtowny...

– Było cudownie – powiedziała i rozplakała się jeszcze bardziej. Całował ją, pieścił i pocieszał, ale łzy nie przestawały płynąć.

Oplakiwała lata spędzone na marginesie normalnego życia, lata szarej myszki, która spod ściany obserwuje tańce. Płakała, ostatecznie żegnając Jordan Jessup, Heidi Brown i Sarinę Hyatt.

Rozdział 22

Dwa dni później...

Drżące palce rozrywają grubą kopertę...

Choć współczesność jest tak grzeszna, ma także zalety dla szczerych wyznawców. Można na przykład zdobyć dokładny schemat wszystkiego, nawet plany systemu alarmowego, który córka nierządniczy zainstalowała w swoim pałacu.

Ustalenie nazwy firmy okazało się dziecinnie proste za sprawą logo na wozie instalatorów i tabliczek ostrzegawczych w oknach Wielkiego Fartu. Ustalenie modelu nie było już takie proste, ale Najwyższy dopomógł, za sprawą akwizytora, skuszonego perspektywą kolejnej prowizji po sprzedaży „niezawodnego systemu alarmowego, takiego, jaki ma moja znajoma, Beth Ann Decker”. Dzięki jego chciwości – a warto zauważyć, że to jeden z siedmiu grzechów głównych – wreszcie udało się znaleźć wszystko, co potrzebne do zakończenia tej sprawy.

Teraz trzeba tylko czekać na ciemną noc, na okazję, by wkraść się niepostrzeżenie. Ale nie ma wątpliwości, że i to się uda.

Wkrótce wszystko się skończy. Beth Ann Decker i jej kochanek staną twarzą w twarz z Bogiem.

– Rozmawiasz z psem? – zawołał Pete Riker od furtki. Miał na sobie mundur. Pewnie zajrzał do niej w drodze do pracy.

– Skądże! – Zarumieniła się. W rzeczywistości nie tyle mówiła do Mai, co jej śpiewała, czesząc jedwabiste futro. A jej rumieniec spowodowany był nie wstydem, lecz przerażeniem.

– Wpuścisz mnie? Mam twój globus.

Zamarła. Oto jej stary znajomy, mąż jej najlepszej przyjaciółki, a zarazem człowiek z opowieści Marka, policjant, który wykorzystał swoją pozycję, by zniszczyć chłopakowi życie. Miała ochotę zażądać od niego wyjaśnień, ale powstrzymała się; przypomniała sobie, jak niechętnie Mark wspominał tamtą noc. Nie chciała także robić tego ze względu na Sheryl.

W końcu zawołała, że zaraz przyjdzie.

Z Maią u boku podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Dzięki – wykrztusiła, gdy wszedł z globusem do środka. Kątem oka dostrzegła jego służbowy samochód z otwartym bagażnikiem.

– Nie ma sprawy. – Pete poszedł do saloniku i ustawił stojak na dawnym miejscu. Wskazał miejsce, gdzie pękła obręcz.

– Widzisz? Tutaj.

– Nie ma żadnego śladu. – Pochyliła się i przyjrzała uważnie. Wszystko lepsze niż spojrzeć Pete'owi w oczy. Przełknęła gorzki gniew i zmusiła się, by dodać: – Naprawdę jesteś w tym świetny. Mógłbyś zrobić majątek, naprawiając stare meble.

Najwyraźniej sprawiła mu przyjemność. Uśmiechnął się.

– Może gdzie indziej, ale nie w hrabstwie Hatcher.

Ten uśmiech przypomniał jej, ile razy widziała go z Sheryl, gdy żartują, a nie kłócą się, jak bawi się z córeczkami. Niemal słyszała, jak rzępoli na małych skrzypkach w lokalnym zespole country. Owszem, wtedy podjął złą, okrutną decyzję, ale przecież to nie przekreśla jego całego życia.

Ale z drugiej strony, jak można o tym zapomnieć, skoro Mark trafił do więzienia, stracił rodzinę?

– Poczekaj, przyniosę też globus. – Pete rozejrzał się po pokoju. – Śpieszy mi się. Ktoś musi pilnować porządku na ulicach, łapać chuliganów i bezdomne psy.

Wrócił po chwili, taszcząc wielki globus, pokryty płaskorzeźbami ze szczegółowo odtworzonymi detalami. Według Beth Ann to cudo kosztowało więcej niż podróż do Europy.

„Ale tu pasuje, co?” – cieszyła się mama, gdy go dostarczono.

Beth Ann nie zaprzeczyła, choć kusił ją, by powiedzieć: „Jasne, tak samo jak nasze pieniądze do portfela pewnej zarozumiałej anorektyczki”.

– Postawiłeś do góry nogami – zwróciła Pete’owi uwagę, gdy zobaczyła, że biegun południowy dumnie celuje w niebo.

– O, rzeczywiście! A co to? Popatrz! – Wskazał szew dokoła kręgu, polarnego. – Przedtem nie zwróciłem na to uwagi. Co prawda interesował mnie stojak, nie globus.

– Ja też nie. Ale to chyba część konstrukcji?

Pete przecząco pokręcił głową i dotknął ledwie widocznej linii.

– O rany, patrz!

Część globusa poruszyła się pod jego dłonią.

– Tylko nie popsuj – powiedziała i usłyszała zgrzyt mechanizmu. Pete potworzył skrytkę w dnie ziemi.

„Prawda jest taka, że świat należy do ciebie, jeśli tylko wykazesz dość odwagi, by po niego sięgnąć” – przypomniała sobie słowa matki.

– Wspaniałe! Możesz tu ukryć biżuterię albo... – Pete umilkł i wsunął dwa palce do środka... Po chwili wyjął złożoną karteczkę i podał Beth Ann.

Przyjrzała się jej zaciekawiona, jaką tajemnicę ukrywa.

– To logo mercedesa. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że mama była do niego tak bardzo przywiązana.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia; może źle postąpiła, oddając do komisju największy skarb matki, kierowana oszczędnością? Praca zmuszała ją do jeżdżenia po całym hrabstwie, a nie stać jej było na tankowanie co kilka dni.

– Słyszałem, że ukryła instrukcję wozu aż w Fort Worth. – Pete pokręcił głową, ale nagle jego uwagę zwrócił napis w rogu kartki. – Zobacz, to nie tylko rysunek, tu jest też jakaś liczba.

– Rzeczywiście. – Beth Ann przeczytała osiem cyfr na głos i nagle zaschło jej w ustach. To nie były zwykłe cyfry. To data, data, która zmieniła całe jej życie.

Data tamtego wypadku przed szesnastu laty.

Powrót do wspomnień to bolesna sprawa. Mark od rana przeglądał rzeczy matki. Ojciec nie tknął ich przez tyle lat. Spakował też część rzeczy ojca – odda je na cele dobroczynne – gdy usłyszał trzask kuchennych drzwi. Zamknął oczy i policzył do dziesięciu, żeby nie nakrzyczeć na synka za to, że znowu się wymyka.

Powtarzał sobie, że krzykiem niczego nie załatwi. Eli na pewno i tak jest już poza zasięgiem jego głosu i z uporem godnym lepszej sprawy namawia kotkę Stormy, by zechciała wyjechać stąd razem z nimi.

Żarty na bok – musi zdecydować, co zrobi ze zdziczałą kotką. Nikt się nią tutaj nie zaopiekuje, a on nie miał pojęcia, jak ją złapać, żeby zabrać do Pittsburga.

Na myśl o powrocie na północ ogarnął go smutek. Rozdzwonił się telefon. Mark, zanim go odebrał, zerknął za okno.

– A niech mnie – mruknął. Eli kucnął za domem z wyciągniętą rączką. Szara kotka podeszła do niego i otarła się kościstym grzbietem o jego dłoń.

Mark, patrząc na to, podniósł słuchawkę.

– Cześć. – Beth Ann. W jej głosie, seksownym jak zwykle, wyczuwało się niepokój. – Chciałam się tylko upewnić, czy przyjdziecie. Muszę wiedzieć, na ile osób mam gotować.

– To zależy – odparł. – Nadal nas chcesz?

To niebezpieczne pytanie, doskonale o tym wiedział. Seks z Beth Ann oznaczał dla niego o wiele więcej niż spełnienie dawnych marzeń. Pragnął więcej; pragnął jej. Ale jej łzy sprawiły, że poczuł się bezradny, zwłaszcza gdy nie chciała mu powiedzieć, czemu płacze. Przeprosił instynktownie i zaraz sobie wyobraził niekończącą się serię takich incydentów. Beth Ann cierpi, z jakiegoś powodu, a on w kółko błaga o przebaczenie.

Rachel nauczyła go, że poczucie winy podmywa fundament związku i wreszcie wszystko wali się z hukiem. Lepiej uciec do Pittsburga niż czekać, aż jedno z nich przekroczy nieodwracalną granicę.

– Oczywiście, że was chcę, Mark. Obu.

Powiedziała to tak szczerze, że zrozumiał, że już za późno na ucieczkę. Mógł się tego domyślić, Beth Ann nie oddałaby ciała, jeśli przedtem nie otworzyłaby serca.

– Wspomniałaś coś o innych gościach?

– Będą Rikerowie.

– Po tym, co ode mnie usłyszałaś, mam usiąść do stołu z Pete Rikerem? – Mark przecząco kręcił głową, choć wiedział, że ona tego nie widzi. – O nie.

Abstrahując od tego, co się stało przed laty, drań śmiertelnie wystraszył Elię. I niewykluczone, że nadal miał ochotę wsadzić Marka za kratki.

– Nie, nie Pete – zapewniła. – Nie zaprosiłabym jego, pracuje w święto dziękczynienia. Ale bez względu na to, co zrobił przed laty, Sheryl to moja najbliższa przyjaciółka, a ich córeczki są słodkie. Eli zna, najmłodszą z przedszkola. Abby, taka mała blondyneczka. Widziałeś ją? Markowi kamień spadł z serca.

– Chyba żartujesz? Ta słynna Abby to córka Rikera? Eli ciągle o niej opowiada i co wieczór robi dla nie rysunki. Chyba się zakochał.

Parsknął śmiechem. Pete nie może się o tym dowiedzieć, bo odbierze małą z przedszkola.

Myśl, że ich dzieci się przyjaźnią, ułatwiła mu podjęcie decyzji.

– Pewnie, że przyjdziemy – odparł. – Nie darowałbym sobie, gdyby mnie to ominęło.

Ustalili godzinę i spierali się, czy ma przynieść coś do jedzenia, gdy Mark wyrzął przez okno.

Nie było ani synka, ani kota. Coś leżącego na ziemi zabłysło w słońcu.

Była to srebrna odznaka policyjna Eliego, z którą się nie rozstawał.

– Muszę kończyć. – Starał się opanować panikę w głosie. – Eli był na podwórzu, a teraz gdzieś zniknął.

– Pewnie tylko...

Nie wiedział, co chciała powiedzieć. Odłożył słuchawkę. Instykt podpowiadał mu, że musi odnaleźć synka, zanim będzie za późno.

Rozdział 23

Damon Stillwater chętnie poprosiłby mamę, żeby upiekła ciasto dla Agnes Miller. Tak narzekała na jego wścibstwo, że szeryf przywrócił go na dzienną zmianę, by mieć go na oku.

Morrell zastanawiał się, czy go nie wyrzucić za niesubordynację. Powtórzył to trzykrotnie, ale powiedział też, że podoba mu się jego zapał, bo przed laty on sam zachowywał się podobnie, jak również jego wspaniały syn Scotty, którego zdjęcie wisiało nad biurkiem szeryfa. Tak więc, zamiast na bruk, Damon trafił pod skrzydła swego idola – i tym samym zyskał dostęp do materiałów z dochodzenia w sprawie zabójstwa Lilly Decker.

Siedział teraz sam w sali konferencyjnej i studiował akta. Przezornie odłożył na bok zdjęcia z miejsca zbrodni, bojąc się, że zrobi mu się niedobrze, i skupił się na przesłuchaniach.

Morrell, Gustavsen i Riker okazali się bardziej metodyczni i drobiazgowi niż przypuszczał. Rozmawiali z obecnymi i dawnymi sąsiadami pani Decker, z rzekomymi kochankami i dawnymi przyjaciółkami, oburzonymi, że Lilly niechętnie dzieliła się nowo nabytym bogactwem. Damonowi zawsze się wydawało, że pieniądze rozwiązują problemy, ale wyglądało na to, że w przypadku Lilly tylko wzbudziły negatywne uczucia. Choć ludzie niechętnie mówią źle o umarłych, zwłaszcza w obecności funkcjonariuszy policji, lokalni przedsiębiorcy, wśród nich także członkowie komitetu ratowania Eudeny, mieli jej za złe, że wydawała pieniądze z dala od hrabstwa Hatcher.

Jednak żaden z nich nie wydawał się podejrzany, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ci najbardziej zawzięci, jak choćby dawna przyjaciółka Lilly, Gertrudę Pederson z delikatesów Barty'ego, mieli żelazne alibi, więc policja zainteresowała się plotkami, jakoby Lilly trzymała pieniądze w domu.

Wiść o wygranej rozeszła się szerokim echem aż po osiedle Meksykanów, pełne biedy i rozpacz. Niewykluczone, że perspektywa łatwego łupu ściągnęła do miasta kryminalistów z daleka, którzy chcieli za pomocą tortur wydobyć z Lilly informację o tym, gdzie trzyma pieniądze. Policjanci usiłowali ustalić miejsc pobytu znanych przestępców, ale na razie niewiele im to dało, podobnie jak nie udało się przesłuchać Meksykanów, którzy uciekali na wszystkie strony, gdy tylko pojawił się wóz policyjny.

Katie Hill zajrzała do sali konferencyjnej i posłała Damonowi uśmiech, który wywołał drżenie w jego sercu. Śliczna brunetka była od niego dwa lata starsza, ale w dorosłym świecie takie drobiazgi nie miały znaczenia.

– Mam zgłoszenie i nie wiem, komu je przekazać – powiedziała zdenerwowana. Pracowała dopiero od tygodnia, zastąpiła Dorothy, która przeszła na emeryturę. Polecił ją Pete Riker, ponieważ często zajmowała się jego córeczkami. Katie dopiero się wszystkiego uczyła. Wyznała Damonowi, że straszenie się boi, iż coś pokręci i będzie musiała wrócić do poprzedniej pracy, w zakładzie pogrzebowym ojca. Robiła tam makijaż nieboszczykom, czego nienawidziła całym sercem.

– Spokojnie, ja się tym zajmę. – Damon wypiął pierś, mając nadzieję, że wygląda bardzo

męsko, i zamknął akta Decker.

Katie posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie i zerknęła na kartkę w drżącej dłoni.

– Zaginęło dziecko, u Jessupów. Czy... O rany, potrzebny ci adres! Był strasznie zdenerwowany, ale nie dziwię mu się. Zaginął pięciolatek, a tam dokoła jest preria. No i jest zimno, a mały wyszedł bez kurtki.

– Nie ma sprawy. – Damon nie posiadał się z radości, że ma okazję wyjść na bohatera. – Wiem, gdzie to jest. Zajmę się koordynacją poszukiwań.

Cholerny szczeniak widział go i zaraz poleciał do ojca. Dzieciak popełnił błąd, chowając się za domem, poza zasięgiem wzroku ojca. W tej odległości bez problemu odetnie mu drogę powrotu, zagrozi, że żywcem wypatroszy kota, jeśli piśnie ojcu słowo o tym spotkaniu.

Ale cholerny mały poganin był szybszy niż sądził. Uciekł, pobiegł nad stare koryto potoku, gdzie w zaroślach spokojnie ukryłaby się setka bachorów. Nie ma wyjścia, musi go poszukać.

Problem w tym, że im dłużej trwa ta gonitwa, tym większa szansa, że ktoś go przyłapie. I choć początkowo uważał, że wystarczy przestraszyć dzieciaka, by trzymał buzię na kłódkę, zmienił zdanie, gdy słyszał, jak Mark Jessup woła synka po imieniu. Jeśli ten drań pierwszy dopadnie dzieciaka, mały wszystko mu opowie.

Odbezpieczając strzelbę, westchnął smutno. W życiu wyrządził już wiele złego, ale nigdy nie myślał, że zabije dziecko.

Beth miała tego dnia odwiedzić pacjentów rozsianych po całym hrabstwie, ale wyczuwając panikę w głosie Marka, postanowiła najpierw pojechać do niego.

Przez całą drogę powtarzała sobie, że robi to niepotrzebnie, że Eli pewnie już się znalazł i rysuje samochody, a Mark strofuje chłopca za to, że tak go przestraszył. Albo minie Marka, wiozącego małego do przedszkola. Nie mogła zapomnieć o słodkiej buzi tego chłopczyka.

Musiała przyznać się do tego, że zakochała się w małym w tym samym stopniu, co w jego ojcu. Powtarzała sobie: „Jestem idiotką, żyję wyobrażeniami z książek mamy, a nie rzeczywistością. I chyba w innym stuleciu, jeśli się łudzę, że facet, który może mieć każdą, zakocha się we mnie tylko dlatego, że się ze mną przespał, a ja kilka razy zaopiekowałam się jego synkiem. Spójrz prawdzie w oczy, Beth Ann. Było miło i tyle. Taka mała przerwa w codziennej rutynie”.

Ani Eli, ani jego ociec nie będą należeli do niej. Wrócą do Pittsburga, do wielkiego domu i prosperującej firmy, do świata, do którego ona nie pasuje. A ona będzie dalej pomagała umierającym i patrzyła na zagładę miasteczka. Straciła szansę na wyjazd, gdy po studiach wróciła do Eudeny, by powstrzymać matkę przed dalszym upadkiem. Wtedy straciła też dawną energię i stała się niewolnicą tragicznej przeszłości – zbudowanej na kłamstwach, jak się okazało. A teraz jest za późno, by to zmienić.

Przekonała się jedynie, co straciła.

Kilka kilometrów od farmy Jessupów minęła zwęglone kikuty krzewów, które spłonęły w pożarze wywołanym suszą. Popiół pokrywał grubą warstwą milczące szyby naftowe,

unieruchomione po wyeksploatowaniu złóż ropy.

Nieco dalej kolczaste krzewy wiły się wśród zbrązowiałych traw, jakby targane bólem, a nieliczne cedry, które co roku zimą stawały się przyczyną cierpienia alergików, nie poprawiały sytuacji. I krzewy, i drzewa, uważane przez farmerów za chwasty, na nieuprawianej ziemi Jessupów szczególnie się rozpleniły. Żadnego ruchu, dostrzegła jedynie drapieżnego ptaka z jaszczurką w dziobie.

Czy Eli tam jest, czy po prostu schował się wśród zabudowań gospodarczych? Przyglądała się zniszczonej stodole, szopie, w której niegdyś stały traktory i ciągniki, a teraz tylko jeden pikap. Tyle kryjówek dla pięciolatka – i tyle ukrytych niebezpieczeństw: pojemniki z pestycydami, przegniłe deski w podłodze, zardzewiały sprzęt...

Zobaczyła Marka – wybiegł z garażu z dłońmi przy ustach. Na pewno wołał synka.

Skręciła na podjazd, otworzyła okno, i od razu usłyszała Marka:

– Nie widziałaś go? Rozglądałaś się?

Starła się nie okazywać niepokoju. Świetnie odgrywała troskliwą, ale obojętną pielęgniarkę i teraz nadszedł czas, by zaprezentować tę umiejętność Markowi. Był zdenerwowany, pot spływał mu po twarzy, choć było dość chłodno.

Przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie widziałam go. Jak jest ubrany?

– Nie wiem... nie pamiętam. Cholera! Co ze mnie za ojciec, skoro nawet nie pamiętam, co mój syn ma na sobie?

– Jesteś bardzo dobrym ojcem – zapewniła, sięgając po laskę. – Każdy to widzi. Ale teraz się uspokój. Ze względu na Eliego.

Mark zamknął oczy.

– Już dzwoniłem do szeryfa. Przysięgam, jeśli ten brzdąc wymyślił jakąś zabawę...

– Pocałujesz go, uściskasz i nie będziesz go spuszczał z oka do szesnastych urodzin – wpadła mu w słowo z wymuszonym uśmiechem.

– Koszulka z długimi rękawami w biało-czerwono-niebieskie paski, dzinsy i białe adidasy – przypomniał sobie.

– Będzie go łatwo dostrzec – mruknęła. – Pomóc ci szukać? Potrząsnął głową.

– Już wszędzie sprawdzałem... Może go przestraszyłem? Nie mogłem zapanować nad nerwami...

– Nie szkodzi. Wszyscy tak reagują. – Położyła mu rękę na ramieniu. Był bez marynarki, ale i tak wydawał się rozpalony. Przypomniał jej się płomień, który ich ogarnął na kanapie w saloniku.

Speszona odepchnęła tę myśl od siebie.

– Im szybciej się uspokoisz, tym szybciej znajdziemy Eliego – zauważyła.

– Dobrze. – Odetchnął głęboko. – Rozejrzyj się tutaj. Powiedz, że przywiozłaś Maię.

– Dobry pomysł. – Teraz, gdy się okazało, że Eliego nadal nie ma, żałowała, że nie zabrała suki. Maia uwielbiała chłopca i na pewno czekałaby głośno na jego widok. – A ty? Poczekasz na policję?

Zaprzeczył tak energicznie, że ciemne włosy opadły mu na twarz.

– Przejdę się, będę zataczał koła wokół posiadłości. I wezmę strzelbę ojca.

– Chyba nie myślisz... – Nie mogła powiedzieć tego na głos. Niemożliwe, żeby ktoś był tak zły, że chciał zabić Elięgo.

Czy naprawdę niemożliwe? Niedawno Mark został pobity. Gene Calvert co prawda siedzi, ale wielu innych oskarża Marka o wypadek. Czyżby ktoś chciał się mścić na małym chłopcu? A może ten, którego Eli widział wcześniej koło domu, okazał się o wiele groźniejszy niż Pete Riker? Jakby nie było, po okolicy nadal kręcił się brutalny zabójca jej matki.

Na myśl o śmierci Lilly Beth Ann zrobiło się niedobrze. Muszą znaleźć Elięgo – i to natychmiast.

– Nie chcę o tym myśleć – powiedział Mark z trudem. – Ale nie wykluczam tej możliwości. A poza tym niedawno zastrzeliłem wielkiego grzechotnika niedaleko stodoły. Uważaj, gdzie chodzisz.

Skinęła głową, starając się nie wzdrygnąć na myśl o wężach.

– Dobrze. Poczekam tu na policję.

Mark poszedł do domu po strzelbę, a ona się zastanawiała, czy na wezwanie przyjedzie Pete Riker? A jeśli tak, czy zdoła zapomnieć o niechęci do Marka i skupić się na poszukiwaniach chłopca? Pete też jest ojcem – nie zawsze troskliwym, to fakt, ale kocha swoje córki i szczeni się profesjonalnym podejściem do pracy. Na pewno zapomni o osobistych urazach i odnajdzie smyka.

Beth Ann zaczęła poszukiwania od stodoły. Mimo szeroko otwartych drzwi w środku panował półmrok. Rozejrzała się: puste boksy, zardzewiałe narzędzia na ścianach, chwiejna drabina wiodąca na stryszek. Czy Mark już tu był? Raczej nie, bo drabina nie wytrzymałaby jego ciężaru. Ale dziecka – tak. Może jej także.

Dzięki uporowi pokonała długą drogę rehabilitacji, ale jeśli nawet jakimś cudem udałoby się jej wgramolić na górę, musiałyby wzywać straż pożarną, żeby ściągnęła ją na dół.

– Hej, Eli! – zawołała. – Chodź, pobawisz się z Maią! Zna nową fajną sztuczkę!

To akurat było zgodne z prawdą. Beth Ann nauczyła sukę balansować ciasteczkami na czubku nosa i pożerać je jednym kłapnięciem na dany znak.

Odpowiedziało jej jedynie echo własnego głosu. Nie poddawała się.

– Eli, tata wcale się nie gniewa. Nic ci nie robi, naprawdę, ale strasznie się martwimy. Chodź, pobawimy się, w co tylko zechcesz.

I znowu cisza.

– No dobrze, w takim razie idę sobie.

Udała, że wychodzi, ale cisza przekonała ją w końcu, że chłopca tam nie ma.

Zajrzała do garażu i starej szopy, za każdym razem powtarzała to samo – na darmo. Zastanawiała się, czy nie poszukać malca w domu, gdy dostrzegła wóz policyjny. Damon Stillwater. Natychmiast pomyślała o tym strasznym dniu, gdy ją wiozł do Wielkiego Fartu.

Stillwater zatrzymał się koło świeżo odmalowanego pikapa Marka i zgasił silnik. Uchylił kapelusza na widok Beth Ann. Był to tak staroświecki gest, że w innych okolicznościach powitałaby go uśmiechem.

- Dzień dobry, panno Beth Ann – powiedział.
- Dzień dobry. Mark Jessup pana wzywał. Zaginął jego pięcioletni synek.
- Czy zdarzyło się to po raz pierwszy?
- Mark mówił, że kilka razy wymykał się do szopy, do kota, ale nigdy nie oddalał się tak bardzo.

Damon zmarszczył czoło w namyśle.

– Nie wie pani, czy karano go za to? Może się chowa, bo się boi lania? Wiem, bo sam tak robiłem.

– Nie przypuszczam, żeby Mark Jessup go bił. Przekonałam się, że jest wspaniałym, kochającym ojcem.

– A gdzie jest teraz? – zainteresował się Damon.

– Obchodzi posesję i woła małego.

– A co pani o tym myśli? Zna pani dziecko. Czy mały się ukrywa? A może się zgubił? Albo gdzieś zasnął?

Przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie śpi. To pełen życia dzieciak, zresztą nie... Co to było? Za jej plecami rozległ się szelest, ale to tylko szara kotka goniła mysz albo jaszczurkę.

Nagle inny odgłos kazał jej się odwrócić gwałtownie w stronę wyschniętego strumienia.

Strzał, była tego pewna.

Damon wyciągnął broń.

– Z drogi! – zawołał i puścił się biegiem. Beth Ann zawołała za nim:

– To pewnie Mark, zabrał strzelbę ze względu na węże... Jednak młody policjant nie słuchał, nie reagował, a to była prosta droga do nieszczęścia.

Rozdział 24

Choć bolała go noga, stłuczona, gdy upadł na dnie strumienia, Mark biegł na oślep. Myślał tylko o dziecku, które trzymał w ramionach, o krwi na ręce. Krwi Eliego... Nie mieściło mu się w głowie, że jakiś drań usiłował zabić mu synka.

Mark chciał go dopaść, władować w niego cały magazynek – albo jeszcze lepiej, rozszarpać gołymi rękami. Ale silniejszy był strach, chęć ukrycia syna w bezpiecznym miejscu.

– Boli, boli! – Mały płakał rozdzierająco. Dygotał na całym ciele. Mark zatrzymał się za powykęcany drzewem i spojrzał na Eliego.

– Synku, musisz być dzielny. Dasz radę?

Starał się nie zwracać uwagi na krew kapiącą z brody dziecka. Nie od rany postrzałowej, dzięki Bogu. Gdy chłopiec zobaczył Marka, puścił się do niego biegiem po wyboistym dnie strumienia. Potknął się i upadł. Być może to go ocaliło od kuli, która wbiła się w drzewo kilka kroków dalej.

Eli spojrzał na niego z powagą i skinął główką.

– Zły człowiek nas dopadnie, jeśli nas usłyszy?

Mark ważył każde słowo, świadom, że od tego, co powie, zależy stan psychiczny synka.

– Jestem tu i nic ci się nie stanie. Widzisz? Mamy strzelbę dziadka. Eli spojrzał na broń i oczy mu się zaszkliły.

– Nie chcę, żeby nas dopadł.

Otoczył szyję Marka ramionkami i uściśnął mocno. Mark przytulił go do siebie. Cały czas nasłuchiwał. Musi się zorientować, gdzie jest napastnik. Na razie go nie widział, ale to nie znaczy, że strzelec zrezygnował. Może zaczął się gdzieś, by zabić ojca i syna, gdy wyjdą na otwartą przestrzeń między zaroślami a domem? Byli już tak blisko, że słyszał wołania Beth Ann, ale bał się zaryzykować i pobiec. Tu chodzi o życie Eliego i nie ma miejsca na błędy.

Ale kiedy mały będzie już bezpieczny, ruszy na polowanie – na człowieka okrutniejszego niż grzechotnik.

Usłyszał ciężkie kroki i sapanie. Mark oderwał od siebie Eliego i posadził go za kamieniem.

– Bądź cicho – polecił i wyszedł na spotkanie biegnącemu. Kroki zbliżały się od strony domu. Czyli z przeciwnej strony, niż się spodziewał. Uniósł lufę, gdy z zarośli wypadł posterunkowy Stillwater, z bronią w ręku, z nieprzytomnym wzrokiem.

Mark instynktownie odrzucił strzelbę i podniósł ręce do góry.

– Wszystko w porządku, proszę nie strzelać – powiedział. Młody policjant pobrał.

– To pan? – krzyknął, celując w Marka. – To pan strzelał?

– Nie, ktoś celował do...

– To jest krew... Ma pan krew na koszuli! Na ziemię! Ręce do góry! – W głosie Stillwatera pojawiła się panika, co bardzo często źle się kończy.

Eli wyskoczył z kryjówki.

– Nie rób krzywdy tatusiowi!

Pistolet błyskawicznie zwrócił się na chłopca. Mark rzucił się na Stillwatera i uderzył go w rękę.

Huknął strzał. Stillwater osunął się na ziemię, upuszczając pistolet.

– O Boże! – jęknął, patrząc, jak Eli obejmuje Marka za szyję. – Mogłem trafić... dziecko!

– Dzięki Bogu nic się nie stało. – Mark głaskał synka, który drżał cały. – Ale ktoś inny strzelał do niego.

Damon spojrzał na Marka.

– Chyba mam złamany nadgarstek.

– Nie jest tak źle. Nic panu nie będzie, ale teraz musi się pan wziąć w garść. Ten, kto strzelał do Eliego, nadal tu jest, więc niech pan mnie osłania, gdy pójdę z małym do domu.

Damon skinął głową. Nagle coś się w nim zmieniło, jakby odkrył w sobie nieznane przedtem pokłady odwagi. Podniósł pistolet z ziemi, poprawił kapelusz i wstał.

– Zajmę się tym.

Mark nie miał wyboru, musiał mu zaufać.

– Eli, jesteś gotów? Pan Stillwater będzie nas pilnował. Wie, że ty także jesteś policjantem, więc musi się bardzo do tego przyłożyć.

– No właśnie. Jeśli trzeba będzie, oddam za ciebie życie.

Mark pomyślał, że to lekka przesada, ale młody policjant mówił bardzo przekonująco. Eli otarł łzy i spojrzał na Damona z powagą. Mark wziął malca na rękę.

– Chwileczkę – mruknął Stillwater. – Jak wygląda napastnik?

– Nie wiem, nie widziałem go – odparł Mark. – Niech pan po prostu uważa na każdego z bronią w ręku.

– No tak. – Stillwater skinął głową. – Jasne.

Mark spojrzał na niego jeszcze raz i puścił się biegiem w stronę domu, z Elim w ramionach. Kilkakrotnie zmieniał kierunek, licząc, że zmyli celującego.

Dostrzegł Beth Ann przy szopie, z komórką w ręku i twarzą bladą jak ściana. Podbiegł bliżej. Wsunęła telefon do kieszeni, ale nie odrywała wzroku od chłopca.

– On krwawi – szepnęła. – Czy to... Czy on....

Mark dyszał ciężko, zmęczony biegiem, ale naładowany adrenaliną. Przecząco pokręcił głową.

– Potknął się i rozciął sobie brodę.

Poszła z nim za stodołę, gdzie, jak miał nadzieję, już nic im nie groziło.

– Słyszałam strzały – powiedziała. – Przed chwilą dzwoniłam po szeryfa. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wiem, że ty i Morrell... nie przepadacie za sobą od wypadku, prawda?

Przypomniał sobie stosunek szeryfa do Eliego i skinął głową.

– Akurat teraz Morrell mnie nie obchodzi. Mało brakowało, a Eli zostałby trafiony. Ktoś do nas strzelał, być może ten sam człowiek, co wtedy przy zakładzie pogrzebowym.

– A co z posterunkowym Stillwaterem? Widziałeś go?

Skinął głową.

– Tak, zaraz powinien tu być.

Teraz, gdy najgorsze było już za nimi, dał o sobie znać stary guz na głowie. Z jękiem postawił Elię na ziemię.

– Świetnie się spisałeś, bracie. Byłeś bardzo dzielny.

Eli przyglądał mu się z powagą, a potem, ku zaskoczeniu ojca, podszedł do Beth Ann. Ukucnęła i objęła go serdecznie.

– Pokaż brodę – powiedziała. Mark ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Damon biegł w ich stronę, cały czas z bronią w ręku. Dobrze chociaż, że opuścił lufę.

– Widział pan kogoś? – zapytał Mark. Posterunkowy pokręcił głową.

– Nie, sprawca uciekł.

– Cholerny tchórz! – powiedział Mark. – Nie boi się strzelać do nieuzbrojonych i dzieci, ale kiedy coś układa się nie po jego myśli, podkula ogon pod siebie. – Po chwili dodał:

– Szeryf tu jedzie. Będzie pan miał wsparcie.

W zielonych oczach młodego policjanta pojawił się strach.

– Jeśli chodzi o to, co się wydarzyło tam, w zaroślach... Wszystko działo się tak szybko... Bardzo przepraszam, że celowałem do pana synka.

– A ja przepraszam, że pana uderzyłem. Świetnie się pan spisał. Tylko tyle szeryf ode mnie usłyszy.

Damon skinął głową i wyraźnie się odprężył.

– A strzelec? Rozpoznał go pan?

– Nie widziałem go – powtórzył Mark. Spojrzał na Elię. Stał cierpliwie, podczas gdy Beth Ann oglądała rozcięcie na brodzie. Mówiła mu cicho do ucha i Mark po raz kolejny uświadomił sobie, ile jego syn traci, nie mając matki. A on sam – partnerki.

Ta myśl na moment oderwała go od rzeczywistości, ale zaraz wrócił na ziemię.

– Eli, może ty wiesz, kto to był?

Eli wzruszył ramionami i opuścił głowę.

– Ten sam człowiek, o którym opowiadałeś pannie Beth Ann?

Eli podniósł głowę. Drżał. Był przerażony, nieszczęśliwy. Rozplakał się.

– Boli mnie, chcę do domu. Zły człowiek tam nie wejdzie, prawda? Chcę ciasteczko i kolorowy plaster... I chcę do Mai.

– Zajmę się nim. W torbie mam plaster i środki dezynfekujące. Eli ciągle się jeszcze boi – powiedziała Beth Ann.

– Tak, ale to ważne. – Mark wiedział, że musi się tego dowiedzieć. – Czy ten zły człowiek miał mundur, tak jak pan Stillwater?

– Co? – Damon podniósł głowę. Zmarszczył brwi. – Dlaczego pan o to pyta?

Eli przecząco pokręcił głową.

– Nie, miał niebieskie spodnie. Jak ty, tato.

– A więc dzinsy – mruknął Mark.

Eli skinął głową.

– I taką samą kurtkę.

– Więc to mógł być każdy.

Damon powtórzył poprzednie pytanie.

– Dlaczego pan pytał o...

– Idę z nim do domu. – Zaciśnięte usta Beth Ann dawały im jasno do zrozumienia, że nie toleruje sprzeciwu. – Pytania mogą poczekać. A teraz niech jeden z was przyniesie mi torbę z samochodu...

– Już idę – zaoferował się Mark.

Wzięła Eliego za rączkę i poszła z nim do domu.

Mark odprowadzał ich wzrokiem i spojrzał na Stillwatera.

– Jakiś czas temu Eli widział Pete'a Rikera, jak się tu kręcił. Tak go przestraszył, że mały nie pisał ani słowa przez kilka dni, a Beth Ann powiedziała tylko dlatego, że męczyły go koszmary senne. Riker wrócił po mnie.

Widząc błysk zdziwienia w oczach Stillwatera, wyjaśnił:

– Eli był u Beth Ann, kiedy leżałem w szpitalu.

Nie będzie zadowolona, jeśli rozejdzie się plotka, że u niego spała. Chociaż weszli już w wiek XXI, w Eudenie nadal pogardzano kobietami za to samo, za co mężczyźni cieszyli się uznaniem kolegów.

Damon zmarszczył brwi.

– Nie wyobrażam sobie, by Pete celowo straszył pańskiego synka. Może przyjechał tu służbowo, w związku z morderstwem?

„Morderstwem Lilly Decker” – uściślił Mark w myślach.

– Domyślam się, że chętnie przypisałby je mnie. Problem w tym, że to nie ja.

Damon przyglądał mu się przez chwilę i skinął głową.

– Szeryf mówi to samo. Im więcej o tym myślę, tym mniej wydaje mi się prawdopodobne, że przyjeżdża pan tu ni stąd, ni zowąd i nagle, po tylu latach, morduje panią Decker.

– Bardzo pan wielkoduszny.

Stillwater skrzywił się, słysząc jego sarkazm.

– Śledczy musi myśleć obiektywnie. Kierować się dowodami, a nie uczuciami.

– A jeśli dowody wskażą na Rikera? – mruknął Mark. – Wtedy też będzie pan myślał obiektywnie?

Stillwater westchnął głośno i nie odpowiedział. Mark nie spodziewał się innej reakcji. Przecież to jeszcze dzieciak, dzieciak, który dorastał, słuchając opowieści o martwych cheerleaderkach i zakale miasteczka.

Mark poszedł po lekarską torbę Beth Ann. Razem czekali w domu na szeryfa, jakby miał on dać odpowiedzi na wszystkie pytania, zapewnić im bezpieczeństwo.

– Jak tam mój młodszy posterunkowy? – zapytał szeryf, wchodząc do domu tylnymi drzwiami.

Eli siedział na blacie kuchennym, skulony i osowiały, a Beth Ann ciepłą wodą zmywała mu krew z szyi. Mimo wysiłków jej i Marka, by wciągnąć go w rozmowę, mały prawie się nie odzywał. Co chwila niespokojnie zerkał w okno, choć Mark opuścił rolety. Jednak

czerwone, migające światło policyjnego wozu i tak docierało do środka.

Chłopczyk wzruszył ramionami, słysząc pytanie szeryfa, i złapał ojca za rękę.

– Plaster na razie wystarczy. – Beth Ann starała się nie okazywać, jak bardzo niepokoi ją stan Eliego – psychiczny, nie fizyczny. – Bez szwów się nie obejdzie. Musimy jechać na ostry dyżur.

Mark chciał coś powiedzieć, ale Eli zapytał:

– Będę miał bliznę?

Beth Ann uśmiechnęła się, słysząc ozywienie w jego głosie.

– Może malutką.

Eli spojrzał na Marka.

– Jak ty, tato.

Beth Ann wyczuła, że coś się dzieje między Markiem i Morrellem. Patrzyli na siebie z taką nienawiścią, że, mogłaby przysiąc, temperatura w pokoju spadła o dobre kilkanaście stopni.

– Właśnie tak, Eli. – Mark nie odwracał wzroku od szeryfa. – Zupełnie jak ja.

Beth Ann zadrżała, bo przypomniała jej się opowieść Marka o feralnej nocy. Dopiero teraz w pełni do niej dotarło, jak wiele szeryf zataił.

Na myśl o wypadu powrócił zapach. Słodki, o smaku jak...

„Zatrzymaj się Beth Ann!” – wrzasnęła Jordan. Ale pedał hamulca zapadł się, miękki jak pianka, i już po chwili widziała jedynie reflektory.

Poczuła łzy pod powiekami i szum w uszach. Po chwili wszystko minęło. Słyszała, jak Morrell zapewnia Eliego, że zrobi, co w jego mocy, by zły człowiek już nie dokuczał jego najlepszemu posterunkowemu.

– Wszystkich tu ściągnąłem. – Z tymi słowami wręczył Eliemu zgubioną odznakę. – Dosłownie wszystkich. Przeszukają całą okolicę. Zobaczymy, co znajdą.

– Pete Riker też tu przyjedzie? – zapytał Mark.

– Jasne. Sam do niego dzwoniłem. I Ted Gustavsen, Jay Hill, Charlie Colson, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. A teraz pójdę się rozejrzeć i pomóc chłopakom, żeby nikt nie mówił, że się obijam.

Wyszedł. Eli zsunął się z blatu z odznaką w ręczce.

– Jedziemy po bliznę? Do szpitala?

Mark się uśmiechnął.

– Zaraz. Jesteś strasznie brudny, idź do siebie i znajdź coś czystego. Za chwilę pomogę ci się przebrać.

– Sam to zrobię. – Eli zwrócił się do Beth Ann. – Przecież nie jestem dzieckiem. Jestem młodszym posterunkowym.

– Chyba jednak nic mu nie będzie – stwierdziła, gdy wyszedł. Mark westchnął.

– Mam taką nadzieję. Przysięgam, że ubył mi dziesięć lat życia, gdy usłyszałem strzał. A potem zjawił się Stillwater i mało brakowało, a rozwaliliby nas obu. Mówię ci, w życiu się tak nie bałem.

– Nadal nie mieści mi się w głowie, że ktoś chciałby skrzywdzić małego chłopca. Takie

zło jest nie do pojęcia. – Chcąc zająć czymś ręce, sięgnęła po dzbanek do kawy. – Wiesz, to już nie jest Eudena. Tutaj takie rzeczy się nie dzieją. Koniec, kropka.

– A jednak. Najpierw twoja mama, a teraz ten wariat... Spojrzała znad zlewu, gdzie nalewała wodę do dzbanka.

– To bez sensu.

– Rozumiem, czemu ludzie mnie nienawidzą. Wyobrażam sobie nawet, że jakiś świr chce mnie ukarać za tamten wypadek, krzywdząc moje dziecko. Ale niech ten drań się modli, aby szeryf dopadł go przede mną.

– Chyba że to ktoś z policji... – mruknęła. – To niewykluczone, zważywszy, że Morrell i Riker zataili prawdę o wypadku.

Oboje zamyślili się i umilkli. Beth Ann naląła wody do czajnika i wyjęła z lodówki świeżo zmieloną kawę. Otworzyła pudełeczko.

– Ale skoro chodzi o wypadek, co wspólnego miała z tym moja mama? – zapytała głośno.

– Owszem, nie brakowało jej wrogów, wiele osób nie akceptowało jej stylu życia i zazdrościło jej majątku. Nawet sobie nie wyobrażasz, co mówili przez telefon, co pisali w listach. Grożono jej. Musiała zmienić numer telefonu i na jakiś czas zatrudniła ochroniarza.

Mark potarł czoło.

– Może nie ma wspólnego wątku w tych sprawach. Morderstwo twojej mamy było bardzo... osobiste. A to... snajper strzela z oddali, chowa się. Może wcale nie chce zabijać? Może tylko chce mnie wypłoszyć z Eudeny.

– Nie łudziłabym się. – Włączyła ekspres.

– Nie łudzę się, nie mogę ryzykować życia Eliego. Im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że powinienem zatrudnić kogoś, kto dopilnuje tutaj moich spraw. Zamierzałem zostać do przyszłego tygodnia, ale nie chcę ryzykować, że coś mu się stanie.

Beth Ann ogarnęło poczucie pustki.

– Wyjeżdżacie. – Stwierdzenie faktu, nie pytanie. Wiedziała, że ten dzień się zbliża. To jasne, że dla Marka najważniejsze jest bezpieczeństwo synka. Zresztą niczego jej nie obiecywał.

Ekspres bulgotał głośno. Zapach kawy drażnił jej i tak napięte nerwy. Mark podszedł bliżej i ujął jej dłonie. Drżała na całym ciele.

– Beth Ann – szepnął.

– Nie patrz tak na mnie, Mark. – Błaganie w jego piwnych oczach tylko wszystko komplikuje. – To, co się zdarzyło między nami, było... fajne. Nie, to za mało powiedziane. To było...

– Mówiłaś do mnie Jess.

Opuściła wzrok i na darmo usiłowała cofnąć dłonie.

– To bardzo trudne. Nie chcę, żebyś pomyślał, że robię sobie nadzieję po jednym...

Pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem, od którego kręciło jej się w głowie. Zapomniała o wszystkim, o policjantach, o Elim, rozchyliła usta pod naporem jego języka, otworzyła się na falę rozkoszy i przyjęła świadomość, że to, co czuje, jest prawdziwe,

rzeczywiste..., że to miłość. Zakochała się po raz pierwszy w życiu. To magia, najwspanialsza rzecz, jakiej zaznała. Bezkręśna jak niebo nad prerią i...

Wróciła na ziemię, gdy sięgnął do jej piersi. Przypomniała sobie wszystko i oderwała się od niego. Ogarnął ją strach. Przeszywał lodowatym ostrzem do szpiku kości.

Miłość ogłupia. Widziała to na własne oczy, na przykładzie matki. Ile razy Lilly była w siódmym niebie, by potem, gdy związek się kończył, pogрузić się w rozpacz? Nie ma co liczyć na hormonalne wzloty. Zwłaszcza teraz, gdy ostatnie wspomnienie z nocy wypadku dręczyło ją jak drzazga pod skórą.

– Przepraszam – mruknął Mark. – Przy tobie łatwo mnie ponosi. Gdybyśmy byli tu sami... Boże, jest tyle rzeczy, które chciałbym z tobą robić... Tyle rzeczy...

Przeszył ją zmysłowy dreszcz. Zamknęła oczy pod naporem obrazów, jakie wywołały jego słowa.

– Posłuchaj, Beth Ann, nie chcę, żeby się skończyło to, co jest między nami. Nie wiem, jak to będzie, ale to, co do ciebie czuję, to coś więcej niż namiętność. Więcej niż seks. Kocham cię, nie tylko twoje ciało, i chcę spędzać z tobą więcej czasu, żebyśmy mogli się przekonać, czy...

– Tatusiu?

Eli stał w progu i przyglądał się im uważnie, najwyraźniej zaskoczony ich bliskością. Co usłyszał?

Beth Ann głęboko zaczerpnęła tchu. Potrzebowała powietrza, które ostudzi rozpalony umysł.

Mark się odsunął.

– Ej, bracie, uczesz się, włosy stanęły ci dęba, kiedy zmieniałeś koszulkę. Potem zajmijmy się blizną – powiedział.

Eli skrzywił się i poszedł do łazienki.

– Ty też się przebierz – powiedziała Beth Ann. – Masz krew na koszuli.

Ból w jego oczach sprawił, że opuściła wzrok.

– Beth Ann, nie możesz puścić mimo uszu tego, co powiedziałem. A może wyszedłem na idiotę, bo się nie zorientowałem, że żałujesz tego, co się stało między nami? – W jego głosie pojawiła się gorycz. – Mogłem się domyślić po tym, jak płakałaś.

Przecząco pokręciła głową.

– Niczego nie żałuję, Bóg mi świadkiem, że nie o to chodzi. Ale teraz mamy tyle rzeczy na głowie. Jest tu szeryf, na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać, zanim zabierzesz Elię do szpitala. A na mnie czekają pacjenci. Możemy wrócić do tej rozmowy jutro? Chyba że już cię tu nie będzie...

– Zostanę. I musimy poważnie porozmawiać.

Rozdział 25

Beth Ann była zadowolona, że żadna z koleżanek nie przejęła jej pacjentów. Miała dużo roboty i dzięki temu czas płynął bardzo szybko. Zrobiła sobie tylko jedną króciutką przerwę, wpadła do domu i spotkała się z mechanikiem z Wichita Falls, który przyproceedził jej samochód – z nową szybą – i zabrał wynajęty wóz. Nakarmiła Maię, w biegu zjadła kanapkę i wróciła do pracy. Pięćdziesięciodwuletnia kobieta przegrała walkę z rakiem jelita grubego i wobec rozpaczającej rodziny Beth Ann musiała wykazać się profesjonalizmem, opanowaniem. Potrzeby pacjentów były ważniejsze od jej własnych. Mknęła teraz przez prerię, pod rozgwieżdżonym niebem, i nagle zrozumiała, że nieszczęścia innych osuszyły jej łzy.

Pozwalały nie myśleć o zapachu i smaku dzinu w ustach, który pojawił się nagle, gdy stała w kuchni Marka Jessupa. Zmęczona długim dniem, przypomniła sobie słodki alkohol, który rodzice trzymali na najwyższej półce w barku.

Szok wywołany wspomnieniem sprawił, że uderzyła w krawężnik kołami po prawej stronie. Przerazona starała się odzyskać panowanie nad samochodem, ale rozpędzony SUV nie dawał się łatwo okiełznać, wjechał na lewy pas i dalej, na pobocze, aż wreszcie zatrzymał się na wyschłej trawie prerii.

Zatrzymała samochód zaledwie kilka centymetrów od słupka ogrodzenia i siedziała, wstrząsana dreszczami, zbyt przerażona, by krzyczeć. Pustka w jej pamięci wypełniała się scenami zapomnianego wieczoru.

Nalewka to jedyny alkohol, po którym nie robiło jej się niedobrze. W ciągu minionych miesięcy próbowała ukradkiem wszystkiego z barku rodziców – uważała, że fajnie będzie tak od niechcienia rzucić, że napiła się wódki czy whisky. Ale wszystkie napoje alkoholowe były obrzydliwe, jeszcze gorsze niż piwo, na które uparcie namawiał ją Scotty. Zaczynała się obawiać, że Scotty ma rację, że nigdy naprawdę nie będzie równą dziewczyną, skoro nie mogła polubić tego, jak dotykał jej piersi i zapuszczał się w okolice majteczek.

Scotty sugerował, że inne dziewczyny składały mu propozycje – podejrzewała, że była między nim i jej przyjaciółką Aimee – skoro Beth Ann to taka cnotka... Alkohol pomaga się rozluźnić, więc musi nauczyć się pić, żeby nie wyjść na świętoszkę i wprawić się w odpowiedni nastrój. Musi zapomnieć o chorobie ojca, o walce o stypendium i tym wszystkim, co robi z niej nudziarę. Tego wieczoru, gdy Scotty głośno wyraził zdziwienie, że jest oziębła, skoro ma taką matkę, Beth Ann zerwała z nim ostatecznie.

Nie chciała jednak, żeby powtórzyła się taka sytuacja. Musiała być jak inne. Dlatego uparcie, krzywiąc się z obrzydzenia, kosztowała różne alkohole, ilekroć mamy nie było w domu, a ojciec spał. Już niemal straciła nadzieję, gdy w kącie barku, na najwyższej półce, trafiła na butelkę czerwonego płynu.

Wcale nie był taki zły, zwłaszcza ze sprajtem. Wypiła tyle, że zakręciło jej się w głowie i zrobiło niedobrze. Następnego dnia, po treningu cheerleaderek, opowiadała o tym na prawo i lewo, aż sama niemal uwierzyła, że nalewka to najpyszniejsza rzecz na świecie, może poza

mleczną czekoladą. Heidi i Larinda wymusiły na niej obietnicę, że przemyci butelkę na imprezę po meczu. Obie przyznały, że też nie przepadają za piwem. A mała Jordan Jessup, początkowo niezdecydowana, błagała, by jej także pozwoliły popróbować, przecież nikomu o tym nie powie.

Tak więc gdy Sokoły, po przegranej pierwszej części, pokonały Tygrysy z Elektry, Beth Ann wsunęła butelkę do torby i pocałowała ojca na dobranoc. Byli w jego pokoju.

– Naprawdę żałuję, że nie widziałem cię dzisiaj podczas meczu. – Objął ją i jego siwe wąsy załaskotały ją w policzki. – Bardzo chciałem przyjechać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

– Oczywiście tato, rozumiem. – Lekarze orzekli, że ma trudności z oddychaniem i opuchnięte nogi z powodu choroby serca. Pojawiła się trzy lata temu i jego stan był coraz gorszy. Jednak ona nie chciała myśleć o nieuchronnym końcu, pilnie się uczyła i zaciekle trenowała, wiedząc, że jest z niej bardzo dumny.

– Mama już wróciła? – zapytał.

– Nie. – Chyba powiedziała to zbyt ostro. Bóg jeden wie, dokąd matka poszła po meczu i z kim. Beth Ann za nic w świecie nie powtórzyłaby ojcu krążących o tym plotek. – A obiecała mi, że będę mogła wziąć jej samochód. Głupio mi teraz dzwonić do Larindy, obiecałam, że zawiozę dziewczyny na przyjęcie.

– Wiesz co? – Ojciec się uśmiechnął. – Weź mój wóz.

– Camaro? – zapytała z niedowierzaniem. Samochód matki to obciach, poobijany i sfatygowany. Ponieważ Lilly jeździła zbyt szybko i nieuważnie, ojciec nie pozwalał jej prowadzić sportowego cacka, które zjawilo się w ich garażu zaledwie pół roku temu. Smukły, czarny jak noc camaro był ostatnią próbą ojca powrotu do szaleńczych młodych lat. Nigdy nie było mowy, by Beth Ann usiadła za kierownicą, bo ojciec uważał, że to za duży, zbyt trudny do prowadzenia samochód dla niedoświadczonej nastolatki.

A teraz uśmiechnął się wyrozumiale i powiedział:

– Nie było mnie na widowni, gdy dopingowałaś naszą drużynę, a chcę jakoś sprawić, byś zapamiętała ten wieczór. Jeździsz o wiele lepiej od mamy.

Zarumieniła się, zadowolona. Aimee, która uganiała się za każdym chłopakiem w mieście, została królową meczu, ale to ona wzbudzi powszechną zazdrość, gdy zjawi się takim autem. A cholerny Scotty Morrell, który musiał się zabrać poobijanym pikapem swego kuzyna, pęknie z zazdrości. Uściskała ojca i głośno zapewniała go, jak bardzo go kocha, aż roześmiał się i zaniósł się kaszlem.

W końcu odzyskał oddech.

– Skarbie, pamiętaj, to bardzo mocny silnik. Musisz mi obiecać, że będziesz ostrożna i nie dociśniesz gazu do dechy.

Jeszcze jeden uścisk i solenna obietnica. Ale oczyma wyobraźni już widziała siebie za kierownicą camaro, gdy wjeżdżają na podwórze Kellerów, wszystkie cztery roześmiane, rozbawione, z posmakiem słodkiej nalewki w ustach.

Święto dziękczynienia

Mark dopadł Beth Ann w kuchni, gdy wniósł półmisek z ciastem dyniowym. Od rana usiłował porozmawiać z nią na osobności, ale ona ciągle wymyślała jakiś nowy pretekst, by uniknąć sytuacji sam na sam.

Odwrociła się i zobaczył, że rozmawia przez telefon.

– Rosario, bardzo proszę. Mam nowy zamek i system alarmowy. Wróc jutro do pracy. Nie musisz zakładać tego głupiego stroju pokojówki. I przyjdź z siostrą, jeśli dzięki temu poczujesz się pewniej. Tak, twojej siostrze też zapłacę. Dziękuję, Rosario. Wiesz, że bez ciebie nie uda mi się utrzymać domu w czystości.

Beth Ann rozłączyła się i pokręciła głową.

– Moja gosposia uważa, że dom jest nawiedzony. Chyba przez koty z kurzu, bo ostatnio nikt tu nie sprzątał. Nie obwiniam jej. To ona znalazła...

Jej oczy stały się szkliste. Mark wiedział, że na nowo przeżywa ten koszmar, który zapamiętała ze szczegółami.

– Pyszne ciasto – powiedział trochę za głośno, żeby sprowadzić ją na ziemię. – Napracowałam się, przygotowując takie smakołyki.

Skinęła głową i napełniła zlew wodą. Podała ciasto na delikatnej, złoczonej porcelanie, najlepszej zastawie mamy, i obawiała się, że kruche naczynia i delikatne srebrne widelczyki nie przeżyją zamknięcia w zmywarce. Mark przyniósł do kuchni resztę naczyń.

– Co robi Sheryl? – zapytała przez ramię. Denerwowała się, jego obecność działała na nią tak samo, jak wspomnienia.

– Wyleguje się na kanapie. Teraz moja kolej ci pomóc, skoro przez cały wieczór nie pozwoliliście mi nawet pozmywać.

– Przecież ktoś musiał pilnować dzieci. – Nadal unikała jego wzorku. Pokręcił głową.

– Dzieci grają w gry planszowe, bawią się z Maią i oglądają filmy na wideo. A ty dyskryminujesz mężczyzn, nie dopuszczając ich do kuchni.

W końcu się uśmiechnęła. Najwyższy czas.

– Może po prostu strzegę moich przepisów kulinarnych. Nie chciałabym, żeby Eli otworzył w Pittsburgu sieć restauracji, nie płacąc mi prowizji.

Kuchnia wyglądała imponująco. Jej matka nie żałowała pieniędzy: dokoła były ciemnobrązowe granitowe blaty i drewniane szafki, kryjące najnowocześniejsze kuchenne urządzenia. Beth Ann oparła łaskę o szafkę, żeby jej nie zawadzała. W kuchni nadal unosił się zapach pieczonego indyka, choć na nieskazitelnie czystym blacie nie było nawet kropli tłuszczu ani okruszka chleba. A przecież Beth Ann i Sheryl miały mało czasu na sprzątanie.

Z szerokim uśmiechem Mark otworzył wielką nowoczesną lodówkę i wskazał pudełko z logo pensjonatu Sandi Sawyer. Podobne widniały na pojemnikach po chlebie kukurydzianym, ziemniakach i indyku.

– Mam cię. Też mi talent kulinarny.

– Hm. Czy zdradziła mnie moja przyjaciółka?

– Nie, dostałem anonimowy telefon, że koło północy widziano twój samochód pod sklepem Sandi Sawyer. I że naprawdę nie umiesz gotować, a jeśli liczę na to, że nakarmisz mnie i mego synka, to się grubo mylę.

Śmiech Beth Ann niósł się echem po kuchni.

– A czy ten anonimowy rozmówca nie miał przypadkiem głosu Aimee Gustavsen?

– Właściwie kiedy teraz o tym myślę... – Wkurzały go idiotyczne próby siania fermentu, do jakich uciekała się Aimee.

– Gdybym chciała, mogłabym nauczyć się gotować – zauważyła Beth Ann. – Ale czy nie po to są pieniądze, by nie robić tego, czego się nie lubi?

– Święta racja. – Zmierzył ją wzrokiem i zobaczył, że zeszywniała. – Chciałem tylko powiedzieć, że wyglądasz na zmęczoną.

– Przepraszam. Wczoraj miałam trudny dzień. Ciągle nie mogę zapomnieć tych strzałów. Tak się bałam, że coś się stało tobie albo Eliemu. – Zanurzyła dłonie w wodzie z mydlinami i spojrzała w okno. Wychodziło na basen, w którym odbijały się wszystkie kolory nieba przed zachodem słońca. – Boże, chciałabym, żeby policja wreszcie go złapała. Tyle się tu ostatnio dzieje. To niekończący się koszmar.

Stanął za nią, oparł dłonie na jej biodrach, wdychając kwiatowy zapach jej włosów, upiętych w luźny kok.

– Ja pozmywam – powiedział. – A ty usiądź i odpocznij.

Jego oddech muskał jej ucho. Nie sprzeciwiała się, wytarła ręce w lnianą ściereczkę i pozwoliła, by zaprowadził ją do wysokiego barowego stołka przy kuchennej ladzie.

– Tak, jestem zmęczona – przyznała. – Pracowałam do późna, a potem zamartwiałam się przez pół nocy. Obawiałam się, jak przeżyję pierwsze święto bez mamy. – Pokręciła głową. W jej oczach zabłyśły łzy. – Nie mogę powiedzieć, żeby słynna Lilly Decker stanowiła miłe towarzystwo w święta. Zazwyczaj paliła jednego papierosa za drugim, piła whisky i narzekała, że nie może się doczekać na wielką miłość. A jeśli ktoś się pojawił w jej życiu, zaczynała pić na poważnie. Potem była głośna muzyka, tańce... Mama umiała wcielić w życie łacińskie powiedzenie – *carpe diem*.

Beth Ann uśmiechnęła się do wspomnień. Widać było, że tęskni za matką, mimo jej wad.

– Żałuję, że mój ojciec nie umiał korzystać z dnia. – Mark opłukał kolejny talerz i postawił na suszarce. – Po śmierci Jordan poddał się. Szkoda, że mnie przy nim nie było. Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Byłeś przy nim. Wybaczyłeś mu. Wróciłeś tu i przedstawiłeś mu wnuka.

– O ile to dla niego cokolwiek znaczyło.

– Znaczyło, i to dużo, choć nie umiał tego okazać.

– Chciałbym ci uwierzyć. Wtedy przynajmniej cała ta wyprawa nie byłaby marnowaniem czasu. – Widząc, jak się zjeżyła, w myślach nawymyślał sobie od ostatnich idiotów. – Oczywiście poza tym, że poznałem ciebie.

– Ładnie wybrnąłeś, czarusiu. Roześmiał się.

– Martwiłem się dzisiaj o ciebie. O nas. Potrząsnęła głową.

– Nie ma „nas”, Mark. To tylko piękne wspomnienie.

– Ale dlaczego? Odległość nie musi tego zakończyć. Istnieje telefon i Internet – masz komputer, prawda? – Gdy potwierdziła ruchem głowy, mówił dalej: – Możesz nas odwiedzić, zobaczysz, czy ci się spodoba życie na północy.

Patrzyła na niego, blada jak ściana. Jego serce biło coraz szybciej.

– Co się stało? Czy to dla ciebie za szybko? Nie chcę zepsuć wszystkiego między nami tylko dlatego, że muszę wywieźć stąd synka. – Zdawał sobie sprawę, że mówi za dużo, zbyt ryzykuje, ale każda mijająca chwila ciążyła mu jak utracona szansa. – Wczoraj powiedziałem, że zawsze mi się podobałaś. Zresztą dobrze o tym wiesz. Ale to było szczeniące zauroczenie, nic w porównaniu z tym, co czuję teraz, gdy cię poznałem jako dorosłą kobietę. Jasne, jest wiele spraw, które musimy wyjaśnić, potrzebujesz czasu, żeby dojść do ładu ze swymi uczuciami. Ale jeśli, o mnie chodzi... kocham cię, Beth Ann, i to się nie zmieni, bez względu na to, czy będę w Pittsburgu, czy na innej planecie. Chciałbym, żebyś i ty zostawiła hrabstwo Hatcher. Chciałbym mieć cię przy sobie. Westchnęła.

– Mark, twoje uczucia mogą ulec zmianie. Na pewno ulegną, kiedy ci powiem, co wiem o wypadku, co sobie przypomniałam.

– Beth Ann, od tego czasu minęło wiele lat. To już przeszłość. Nic, co powiesz...

– Mark, tamtej nocy piłyśmy, ja i dziewczęta. Miałyśmy butelkę, którą wyniosłam z domu. Piłam, rozumiesz? Chociaż prowadziłam.

Pokręcił głową.

– Co to ma teraz za znaczenie?

Chciał jednego – mieć to już za sobą. Trzeba iść do przodu.

– Oczywiście, że ma – obruszyła się. – Byłam idiotką.

– Przyznaję, to było głupie.

– Cholernie głupie, nieodpowiedzialne, wbrew prawu. Nie rozumiesz? To moja wina. Piłyśmy alkohol, żartowałyśmy, nie uważałam, nie spozrzałam w obie strony, zanim...

– A ja byłem na złym pasie, za sprawą Calverta i jego kumpli.

– Jordan to widziała. Krzyczała, żebym się zatrzymała, ale ja chyba nie kontaktowałam, miałam takie wrażenie jakby pedał hamulca nie stawiał żadnego oporu, jakbym wbijała stopę w bitą śmietanę. Niewykluczone, że zamiast hamulca nacisnęłam pedał gazu.

Mark zamknął oczy i odetchnął głęboko. Musi się zastanowić, jakie uczucia budzi w nim taki rozwój wypadków. Gniew i rozpacz na wieść o wołaniu siostry, bo to znaczy, że Jordan widziała nadciągającą śmierć i bała się w ostatnich chwilach życia. Ale pojawiła się też ulga. Wdzięczność, że nie tylko na nim spoczywa ciężar winy.

– Przykro mi – powiedziała. Wyglądało na to, że jeszcze chwila i się rozplacze.

A on pomyślał z satysfakcją: „Dobrze ci tak. Teraz wiesz, co czułem przez te wszystkie lata. Co to za uczucie, gdy przeprosiny nic nie znaczą wobec koszmaru popełnionego czynu”.

Jednak widok jej rozpaczony zgasił tę złośliwą iskrę; patrzył na świeżą, bolesną ranę, podczas gdy jego zablizniła się już dawno. Wytarł ręce i podszedł do niej. Spojrzała mu w oczy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Objął ją, pogłaskał po plecach i szepnął:

– Wiem, jak bardzo ci przykro. Wiem.

– Wiesz. – Zgodziła się, sięgnęła po chusteczkę, wytarła nos. – Ty jeden to rozumiesz.

Wyciągnął spinę z włosów Beth Ann, bo kłuła go w ramię, i głaskał miękkie, spływające

jej na plecy włosy.

– Kiedy sobie przypomniałaś?

– Zaczęło się wczoraj, u ciebie. A resztę przypomniałam sobie wieczorem, w drodze do domu. Tak się zdenerwowałam, że omal nie spowodowałam wypadku.

– Nic dziwnego, że nie mogłaś spać.

Skinęła głową.

– Nie wiedziałam, co mam robić. I bardzo się bałam.

– Czego? – zdziwił się.

– Po pierwsze, bałam się ci powiedzieć. Przez tyle lat cała wina spoczywała na tobie. Ty jeden poniosłeś karę za przewinienia Calverta i jego kumpli. I moje.

Pojawiły się wątpliwości, które stłumiły radość.

– Winy wystarczy dla wszystkich, jeśli naprawdę było tak, jak mówisz.

Pokręciła głową.

– Tylko ty za nią odpokutowałeś... To musi się zmienić.

– O co ci chodzi? Nie chcę, by ktoś trafił do więzienia. A zwłaszcza nie kobieta, którą kocham.

Odsunęła się od niego na tyle, by spojrzeć mu w oczy.

– Jak po tym wszystkim możesz ciągle myśleć, że mnie kochasz?

– Ja tak nie myślę, ja to wiem – poprawił. – Kocham cię za czułość wobec dzieci, zwierząt i chorych. Kocham twoje bystre, złośliwe komentarze, twoje włosy i to, że zawsze mówisz, co myślisz. I twoją odwagę. Nie znam innej kobiety, która wyznałaby mi to wszystko, co ty przed chwilą. Pamiętasz, co ci powiedziałem? Że przed laty, w szkole, uważałem, że jesteś dla mnie za dobra? Nadal tak uważam, ale teraz nie wycofam się.

Jego słowa odbijały się od twardych granitowych blatów, słowa, które zadziwiły samego Marka. Ale już za późno, nie cofnie ich z obawy, że wyszedł na idiotę. Pozostawało tylko czekać na jej reakcję.

Zaskoczona, przyglądała mu się, mrugając szybko powiekami.

– Skończyłeś? – zapytała. Stracił resztki nadziei.

– Co skończyłem?

W jej niebieskich oczach zapłonęły ogniki.

– Skończyłeś wymieniać, za co mnie kochasz? Mogłabym tego słuchać w nieskończoność.

Roześmiał się i pocałował ją. Radość tej chwili przyćmiła niepokój i gniew, wywołane jej wyznaniem. Bo na jej ustach czuł smak nadziei, nadziei na długie wspólne życie i odwzajemnioną miłość.

Całował ją coraz mocniej. Ssała jego dolną wargę, co przyprawiało go o dreszcz pożądania. Dotknął dłonią jej pełnych piersi. Jęknęła gardłowo i przywarła do niego, uniosła nogę, muskała go udem. Już szukał guzika jej dżinsów, gdy odezwał się zdrowy rozsądek.

Cofnął się i odetchnął głęboko.

– Koniec z tym – zdecydował. – Chyba że chcesz, żeby dzieciaki złapały nas na gorącym uczynku, o tutaj. – Uderzył dłonią w granitowy blat. Kontrast między miękkim ciepłem Beth

Ann a chłodem kamienia sprawił mu dziwną przyjemność.

– Cudowna perspektywa – mruknęła rozmarzona. – Chociaż wolałabym, żeby nam nie przerywano. No i nie chcę gorszyć nikogo poza tobą.

Jej zmysłowy ton budził nowe fale pożądania.

– Do cholery, Beth Ann, zaraz pęknie mi rozporek, jeśli nie przestaniesz.

Stała tak blisko, że niemal się dotykali, i przypomniała mu jego własne słowa:

– Jest tyle rzeczy, które chcę z tobą zrobić, Mark... Tyle rzeczy...

– Pamiętaj, że w salonie jest czworo małych dzieci i twoja przyjaciółka.

W jej westchnieniu słyszał swoją frustrację.

– Co powiesz na krótką wizytę? – Zapytał i odważył się ponownie na nią spojrzeć. – W Pittsburgu. Pakuj się i jedź z nami. Bądź moja.

Z jej twarzy zniknęły podniecenie i zalotność.

– Nie mogę tak po prostu uciec, za bardzo cię kocham. – W kuchennym świetle jej oczy wydawały się szafirowe. – Za bardzo, żeby pozwolić, byś sam nadal dźwigał ten ciężar. W Eudenie mnóstwo ludzi cię nienawidzi; ktoś do tego stopnia, że strzela do ciebie i twojego syna. Za coś, co wydarzyło się także z mojej winy, może w większym stopniu niż z twojej. Że już nie wspomnę o roli Gene'a Calverta, Jima Morrella i Pete'a Rikera. Nie pojmuję, czemu chcesz, by nam wszystkim uszło to na sucho.

– A co mnie obchodzi, co sobie myśli banda świrów, skoro i tak mnie tu nie będzie? Proszę cię, Beth Ann. Świat to coś więcej niż ta dziura...

– Tu jest mój dom, Mark. Mieszkają tu ludzie, którzy są dla mnie ważni. Dla ciebie także, musisz to przyznać.

– Chyba nie chcesz się nikomu zwierzyć z tego, co ci się przypomniało? Po pierwsze, skąd pewność, że naprawdę tak było? Może twój umysł fabrykuje fałszywe wspomnienia, bo nasz związek budzi nowe uczucia?

– Wiem, że tak było naprawdę. Sądzisz, że wymyśliłabym coś takiego? Twoja obecność stała się kluczem do wspomnień, otworzyła zapomniane drzwi.

– Nie jestem taki pewien. Po pierwsze, odniosłaś poważne obrażenia głowy, byłaś w śpiączce. Co więcej, wspomnienia zmieniają się z czasem, przekształcamy je zgodnie z naszymi pragnieniami, dopasowujemy do widzianego filmu, przeczytanej książki. Wszystko się płacze. Dzisiaj Calvert pamięta tamten wieczór inaczej niż ja. Pete Riker pewnie postrzega siebie jako bohatera. Scotty Morrell może całkiem o nim zapomniał. Zresztą skąd wiadomo, że faktycznie było tak, jak ci powiedziałem? Ja w to wierzę, ale minęło sporo czasu. Zrobiono kiedyś taki eksperyment: ludzie rozmawiali wiele lat później o przeżytym wspólnie zdarzeniu. Każdy pamiętał inną jego wersję. Opowieści zmieniały się wraz z upływem lat.

– To nie jest żaden eksperyment i niczego sobie nie wymyślam! – Beth Ann zmarszczyła czoło, poruszona tym, że Mark kwestionuje jej słowa.

– Nawet jeśli naprawdę piłyście, to wszystko wydarzyło się szesnaście lat temu. Komu niby chcesz pomóc, rozdrapując stare rany?

– Przede wszystkim tobie. Ludzie rozumieją, że pochopnie cię oceniali.

– Nie chcę tego. Fakt pozostaje faktem – spowodowałem ten wypadek. Uciekałem

samochodem, bałem się, że mnie pobiją.

Musnęła palcem bliznę pod jego okiem.

– Przecież mogli ci zrobić krzywdę. Może nawet zabić.

– Wtedy też tak myślałem, teraz jednak nie sędzę, żeby posunęli się aż tak daleko. A ja, pędząc z taką szybkością ciemną szosą, zagrażałem życiu innych. Wziąłem na siebie odpowiedzialność i nauczyłem się z nią żyć. Ale nie chcę rozdrapywać starych ran. Niech martwi spoczywają w spokoju. My wszyscy...

– Nie, Mark, nie możesz tego tak zostawić. Nie możesz pozwolić, by Calvertowi, szeryfowi i wszystkim innym ta sprawa się upiekła. Nie możesz pozwolić, by całe miasto nadal postrzegało mnie jako ofiarę, choć w rzeczywistości ja także jestem winna temu, co się stało. A Gene Calvert i jego kumple boją się, że prawda wyjdzie na jaw.

– Czy oni, twoim zdaniem, są tu tacy ważni?

– W Eudenie jest mnóstwo innych, dobrych ludzi, którzy pomagają sobie nawzajem, opiekują się chorymi sąsiadami... Niektórzy nawet na ochotnika zgłosili się do pomocy przy twoim ojcu, choć od lat się do nikogo nie odzywał.

– No dobra, więc są tu też dobrzy ludzie. Ale w jaki sposób miałbym im pomóc, rozgrzebując stare dzieje? Beth Ann, daj spokój, proszę. Nie ma sensu ciągle patrzeć do tyłu. Należy iść do przodu i nigdy więcej do tego nie wracać.

– Nie rozumiesz? Wszystko mi przypomina tamtą noc. Matka zostawiła mi w sejfie wycinki z gazet, datę wypadku ukryła w skrytce w globusie. To przesłanie, Mark. Wiadomość, że prawda jest najważniejsza. Prawda o wypadku.

Pokręcił głową.

– Nie wyobrażam sobie, żeby akurat twoja matka chciała się babrać w starych sprawach. Z tego, co o niej opowiadałaś, wynika, że żyła chwilą bieżącą. Miała rację. Przeszłość zraniła nas już raz; nie pozwólmy, by zrobiła to ponownie.

– A wykreślenie przeszłości pomogło twojemu ojcu? – zapytała. – Wróciłeś, by wszystko naprawić, ale to się nie udało, bo nie chcieliście rozmawiać o tym, co was rozdzieliło. Nie mieliście odwagi spojrzeć prawdzie w oczy.

– Nie mówmy o moim ojcu. I nie wywlekaj innych aspektów wypadku. Od czasu wypadku wiele się zmieniło. Pracowałem. Studiowałem. Założyłem własną firmę. Kochałem piękną kobietę, spłodziłem wspaniałego syna i robię, co w mojej mocy, by go wychować w poczuciu, że jest powszechnie akceptowany, bo mnie tego nie dał ani mój ojciec, ani moje środowisko. Spłaciłem dług społeczeństwu i żyję dalej. Jeśli myślisz, że wywlekanie tych szczegółów poprawi twoją sytuację, moją albo rodzin Heidi czy Larindy, to wierzysz w bajki. Jej oczy stały się lodowate.

– Nie podoba mi się, kiedy tak do mnie mówisz. Sugerujesz, że ja niczego w życiu nie dokonałam.

– Nie porównuję nas i nie pouczam cię.

– Owszem, robisz i jedno i drugie. Najpierw usiłujesz mi wmówić, że sama nie wiem, co pamiętam, a potem...

– Może nie chcę, żebyś cierpiała, Beth Ann. Może uważam, że zapłaciłem za nas oboje i

nie ma sensu, żebyś i ty się poświęcała. I nie lekceważę tego, co dokonałaś. Na własne oczy, przy ojcu, przekonałem się, jak ważna jest twoja praca. I choć ja nigdy nie pogodziłem się z ojcem, ty wypracowałaś sobie układ z mamą, mimo że zapewne nie było ci łatwo.

– Przykro mi, Mark, że cię zraniłam, mówiąc o twoim ojcu. Nadal uważam, że prawda musi ujrzeć światło dzienne, ale to był cios poniżej pasa. Jeśli mamy mieć jakąś szansę, muszę to zrobić.

Zaimponowała mu jej dojrzałość, zwłaszcza w porównaniu z Rachel, która uważała, że wszystkie chwytły dozwolone.

– A ja przepraszam, że tak na ciebie nawrzeszczałem. Chciałbym tylko, żebyś mi obiecała, że nie zrobisz niczego pochopnie.

– Na przykład?

– Na przykład nie będziesz opowiadała na prawo i lewo o tym, że piłaś.

Skrzywiła się.

– Więc liczysz, że będę trzymała język za zębami? Mark, ty miałeś szesnaście lat, by się uporać ze swoją rolą w tej tragedii, dla mnie to rzecz całkiem nowa.

– O ile to prawda – zaznaczył.

W ciszy, która nastąpiła, niemal widział, jak wyrasta między nimi mur.

W końcu się odezwała:

– O której wyjeżdżacie?

A więc to koniec. Nie obiecała mu niczego, a zatem wszystko się może zdarzyć. Na przykład pewnego dnia zjawi się na progu jego domu w Pittsburgu jakiś dziennikarz i przypomni całemu światu o jego największym koszmarze. Z jednej strony rozumiał Beth Ann, z drugiej – przeklinał jej upór i naiwność. Czy naprawdę wierzy w banał, że prawda wyzwala człowieka?

– Nie wiem jeszcze – odparł. – Pewnie jutro. Muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc, załatwić sprzedaż domu, przekierować rachunki do Pensylwanii. No i spakować się. Niewykluczone, że zostaniemy do soboty.

Obiecował sobie, że do tego czasu nie spuści synka z oczu.

– Pozwolisz mi się z wami pożegnać? – zapytała zrezygnowana.

– Oczywiście.

Dotrzyma danej obietnicy. Choćby to miało być ostateczne pożegnanie.

Rozdział 26

Pojechał do domu i ułożył zmęczonego synka do snu. Przechadzał się po pustych pokojach, a przed oczami stawały mu obrazy Beth Ann, dzisiejszej i z przeszłości, przeplatały się z wizją krzyczącej siostry, ze wspomnieniami rozpaczony na twarzy matki, gdy przyjechała po niego do szpitala, gdzie lekarz założył mu szwy i podał środek uspokajający. Przypomniawszy sobie, jak szeryf Morrell założył mu kajdanki. Jak Pete Riker wepchnął go na tylne siedzenie policyjnego wozu, szczerknął klucz przekręcany w drzwiach celi więziennej; do dzisiaj drżał, słysząc ten dźwięk w telewizji czy w koszmarach sennych.

Tyle bólu, tyle zmarnowanych szans. Z jego związku z Beth Ann prawdopodobnie także nic nie wyjdzie, a wszystko przez jej głupi upór. Mark wszedł do saloniku i zadzwonił do Aimee Gustavsen.

Nie zwracał uwagi na to, że dochodziła dziesiąta wieczorem. Był w zbyt podłym nastroju, by przejmować się zasadami dobrego wychowania, zwłaszcza że ona dzwoniła wczoraj do niego późnym wieczorem.

Słuchawkę podniósł Ted Gustavsen, starszy od Marka o kilka lat zawodnik drużyny Sokołów. Zawahał się, ale poprosił Aimee do telefonu. Mimo zamętu w głowie, Mark mu współczuł: w szkole Gustavsen wydawał się w porządku, a los pokarał go taką żoną, której tylko zdrada w głowie.

– Halo?

– Mark Jessup.

– Chwileczkę, panie Jessup – powiedziała i szepnęła do męża coś na temat pilnej sprawy związanej z wystawieniem na rynek nowej nieruchomości. Mark słyszał, jak odchodzi. – A zatem zmieniłeś zdanie – odezwała się ponownie. – Tylko widzisz, skarbie, dzisiaj chyba nie uda, mi się wyrwać.

– Nie zmieniłem zdania. – Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to bardzo ostro, ale nie zamierzał się z nią patyczkować. – Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli liczysz na prowizję ze sprzedaży mojego domu, daruj sobie anonimowe telefony na temat Beth Ann Decker.

Aimee chciała zaprzeczyć, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Słuchaj, Aimee, nie wiem, czy nadal chodzi ci o głupią szkolną rywalizację, ale jeśli tak, zapomnij o tym. Zresztą jutro albo pojutrze już mnie tu nie będzie.

– Doprawdy, Mark, nawet nie wiesz, jak mnie uraziłeś – kokieteryjnie dąsała się. – Jak mogłeś tak pomyśleć? Uwierz mi, nie zamierzam rywalizować z kaleką, która w życiu nie miała mężczyzny.

– Bo nie masz z nią szans – odciął się. – W każdym razie, jeśli chodzi o ciepło, lojalność czy wierność.

A także o urodę. Owszem, widział blizny, ledwo dostrzegalne na jej twarzy i wyraźniejsze na lewej nodze i plecach. Zdawał sobie sprawę, że wielu mężczyzn wybrałoby Aimee, a nie Beth Ann, on jednak nie szukał szybkiej, przelotnej rozrywki. Chciał kobiety, która wie, czym jest oddanie. Kobiety, z którą warto spędzić całą przyszłość.

– Tak się składa, że większość mężczyzn zadowala się tymi cechami u dobrego psa myśliwskiego – odparła Aimee. – Ale jeśli chodzi o zaspokajanie innych potrzeb, lepszej ode mnie nie znajdziesz, mój drogi.

Mark skrzywił się. Nie ma porównania między Beth Ann a Aimee. Dlaczego zaproponował jej sprzedaż domu? A może jej słowa to tylko forma samoobrony? Może nie jest aż taką egoistką, jak wynikałoby z jej słów?

– Rozumiem, że ci żal biednej Beth Ann – powiedziała.

– Nie musisz się nad nią tak litować. – Kiedy ostatnio zajrzał do sklepu Stillwatera, grupka mężczyzn śmiała się z tego, jak Beth Ann nakrzyczała na szeryfa. Nazywali ją teraz Bogata Beth Ann.

– Znam Beth Ann od przedszkola, podobnie jak ty. Wiesz, że nie skrzywdziłabym jej.

– Oby tak było, Aimee, a dobijemy interesu.

Odłożył słuchawkę i zaklął. Niczego nie osiągnął – nie uspokoił się i nadal nie wiedział, co robi Beth Ann. Mimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. A potem spał niespokojnie, ciągle myśląc o przeszłości i teraźniejszości...

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała Beth do Mai, wpatrzonej w nią wyczekująco. – Po południu pójdziemy na długi spacer, obiecuję.

Niepokój długo nie dawał jej zasnąć, a potem zasnęła, nie słysząc budzika. Obudziła ją w końcu Maia, ale nie było czasu na długi poranny spacer. A pośpiech zawsze źle wpływał na humor Beth Ann, zwłaszcza że nadal nie wiedziała, co zrobić ze świeżo odkrytą wiedzą na temat wypadku. Powiedzieć o tym głośno i stracić szansę na szczęście u boku Marka? Czy milczeć i stracić szacunek do samej siebie?

Czuła, jak jej żołądek ścisną żelazną obręcz na samą myśl o tym wszystkim. Maia posłała jej ostatnie błagalne spojrzenie i powoli wyszła z sypialni. Okazało się, że czeka na dole, przy drzwiach, ze smyczą w pysku.

Beth Ann przysiadła na stopniu i uściskała Maię.

– Jestem okropna, prawda? – Nie potrafi uszczęśliwić nawet psa. Może to i lepiej, że nie ma dzieci, że niemal na pewno nigdy nie będzie ich mieć. Na myśl o Elim miała ochotę ponownie zacząć się nad sobą uzalać. Wróciło także wspomnienie Marka, rozczerowanego jej wczorajszą postawą. Łzy napłynęły jej do oczu.

– O nie, nie dam się – obiecała sobie, a Maia, jakby chcąc ją pocieszyć, upuściła smycz i polizała ją w policzek.

Beth Ann ze śmiechem wytarła twarz. Jak mogła dotąd żyć bez kochającego psa? Szybko wrzuciła grzanekę do opiekacza i zaparzyła sobie kubek kawy rozpuszczalnej, czekając, aż pies załatwi się w ogrodzie.

Maia wróciła do domu. Beth Ann zamknęła drzwi i odniosła smycz na miejsce, do pralni, gdzie jej uwagę przykuł plik wycinków z gazet na temat wypadku i instrukcja obsługi mercedesa.

Powinna to schować. Rosario przyjdzie dzisiaj, dzięki Bogu, więc lepiej nie zostawiać na wierzchu krwawych fotografii. Spieszyła się tak bardzo, że upuściła wszystko z rąk. Musiała niezdarnie ukucnąć, żeby pozbiierać rozsypane kartki.

Starła się nie patrzeć na to, co podnosi, nie myśleć o tym, że fakt, iż tamtej nocy piła, mógł się okazać tragiczny w skutkach. Nagle jej uwagę przykuł plik kartek, które wysunęły się z instrukcji obsługi mercedesa.

Początkowo nie zwróciła uwagi na rachunek opiewający na pięćset sześćdziesiąt dziewięć dolarów, wystawiony przez firmę z Fort Worth – potem jednak dostrzegła słowa: skrytka – bagażnik. Na odwrocie kartki – matka nabazgrała dzieciennym pismem: „Pod dywanikiem. Jeśli coś mi się stanie, przekazać policji stanowej”.

– O Boże! – Beth Ann nie była w stanie wykrztusić słowa, tak mocno waliło jej serce. Matka wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo. A jednak beztrząsco tańczyła, romansowała...

– Jakby nie miało być jutra – szepnęła, cytując ulubione powiedzenie matki. Czy Lilly wiedziała, że śmierć nadchodzi?

Wiedziała, ale milczała, choć zadała sobie wiele trudu, by ukryć to, co Beth Ann ma przekazać władzom. Tyle trudu, a Beth Ann już oddała samochód do komisji.

Podniosła się tak szybko, że mało brakowało, a straciłaby równowagę, i poszła do saloniku. Odnalazła numer dilerów, u którego kupiła swój obecny wóz. Maia przyglądała się jej niespokojnie, gdy zaczęła głośno kląć po tym, jak odezwała się sekretarka automatyczna. Sklep otwierają dopiero o dziesiątej.

Beth Ann zerknęła na zegarek na biurku. Ma niecałe dwie godziny. Dwie godziny, żeby się dowiedzieć, czy mercedesa już sprzedano, czy nie.

Rozdział 27

Jak tam postępy w sprawie?

Damon nawet na końcu świata poznałby głos Katie Hill. Podniósł głowę znad klawiatury wiekowego komputera. Męczyło go przepisywanie bazgrołów Teda Gustavsena i z przyjemnością spojrzął w piękne piwne oczy Katie, czując rozkoszne bicie serca.

– Cześć, Katie – powiedział. – Masz bardzo ładną bluzeczkę. I spódniczkę.

Ledwie to powiedział, ugryzł się w język. A jeśli Katie pomyśli, że chwali spódniczkę, bo cały czas gapi się na jej nogi? Albo że biała, elastyczna bluzeczka podoba mu się dlatego, że podkreśla jej małe, sterczące piersi? Czy uzna go za zbrojeńcę i seksoholika? A może pomyśli, że jest jak filmowi geje, co to znają się na modzie, ale nie zależy im na modnie ubranych dziewczynach.

Katie podziękowała mu jednak za komplement i zarumieniła się po uszy. Może ubrała się tak dzisiaj w nadziei, że on to zauważy, że przyszła tu podczas przerwy na lunch, bo czuje to samo, co on, tę magię, która wibruje mu w brzuchu, ilekroć są razem.

– Skłaniamy się do teorii, że zbrodni dokonał drobny złodziejaszek. Przesłuchujemy tutejsze szemrane typy, żeby sprawdzić, czy któremuś nie zamarzył się łatwy zysk w Wielkim Farcie.

Przepisał przed chwilą protokół z przesłuchania Gene'a Calverta. Odkryło się w areszcie. Calvert oczywiście wszystkiego się wypierał, twierdząc że konkubina zapewni mu alibi. Jasne, tak ją zastraszył, że powie wszystko, co trzeba.

Calvert twierdził także, że nie posiada broni palnej i nie wie, kto strzelał do Beth Ann Decker i Marka Jessupa. Ponieważ podczas incydentu z synkiem Jessupa siedział za kratkami, było oczywiste, że nie on to zrobił, ale Damon nie wykluczał jego pracownika, Donniego Raya.

– Naprawdę uważasz, że zamordował ją jakiś przybłęda? Włóczęga? – zapytała Katie. – Myślisz, że nikomu nic już nie grozi? Moja mama w kółko sprawdza wszystkie zamki w drzwiach, bo się boi, że grasuje tu człowiek mordujący na tle seksualnym.

Damon mało nie pękł z dumy, gdy Katie zapytała go o jego zdanie w sprawie zabójstwa Lilly Decker. Przecież nikogo innego nie obchodzi, co on myśli. W rodzinnym domu nawet nie śmiał poruszać tego tematu, a w pracy tak go zawałono robotą papierkową, że nie miał czasu snuć nowych teorii.

– Powiedz mamie, że moim zdaniem nie ma się czego obawiać. Nadal uważam, że Lilly Decker zamordował ktoś, kto ją dobrze znał. Ten, kto się włamał do domu później i zaatakował Beth Ann, być może czuł się w pewnym sensie zagrożony jej...

Głośne chrząknięcie kazało Damonowi spojrzeć w stronę drzwi, gdzie stał szeryf Morrell. Cholera! Damon miał nadzieję, że pod jego niewygodnym krzesłem nie pojawiła się kompromitująca kałuża.

– Skończyłeś to sprawozdanie? – zapytał szeryf głosem niewróżącym niczego dobrego.

– Nie, ale właśnie nad nim pracuję.

– Dobrze. Przyniesiesz mi je do gabinetu. Za dziesięć minut.

– Tak jest. – Musiałby się stać cud, żeby Damon zdążył napisać to sprawozdanie w tak krótkim czasie.

– Wtedy pogadamy – dodał Morrell groźnie i skinął głową Katie. – Dzień dobry, panno Hill.

– Ja... ja właśnie wracam do pracy – powiedziała. – Skończyłam przerwę i pan Gustavsen będzie zły, jeśli będzie musiał nadal za mnie dyżurować przy telefonie.

Damon słyszał ciężkie kroki Morrella, który szedł do swego gabinetu na końcu korytarza. Nie podnosił głowy, starając się pisać dużo szybciej niż przedtem.

– Przepraszam – szepnęła Katie. – Chyba nie narobiłam ci kłopotów?

– Wybaczę ci, ale tylko pod jednym warunkiem – odparł, najeżdżając kursorem na miejsce, gdzie zrobił kolejny błąd. – Jutro pójdziesz ze mną na kolację do chińskiej restauracji.

– Nie wiesz, że państwo Chen wyjeżdżają? Przenoszą się do Dallas.

– W takim razie pod Niebieskim Kojotem – zdecydował. Jedyna alternatywa to knajpa, w której do niedawna smażył frytki.

Katie z uśmiechem skinęła głową.

– Zadzwonisz do mnie po pracy? Umówimy się dokładniej.

Z idiotycznym uśmiechem na ustach skończył przepisywanie w rekordowym czasie, ale zanim uporał się z wiekową drukarką, w której trzeba było zmienić pojemnik z atramentem, minęło już prawie dwadzieścia minut. Z duszą na ramieniu stanął pod drzwiami szeryfa. I nagle usłyszał kobiecy głos.

– Wszystko mi powiedział, szeryfie. – Głos był znajomy, ale Damon nie od razu skojarzył go z odpowiednią twarzą. – Wiem, co się wydarzyło, wiem, co robił Gene Calvert, Donny Ray, Xavier i pański syn. I wiem, że to ukryliście.

Beth Ann Decker. Ale co ukryli? Damon wiedział, że jeśli chce nadal pracować w okręgu Hatcher jako policjant, powinien natychmiast wrócić do biurka i zająć się przepisywaniem kolejnego dokumentu. Ale coś kazało mu zostać pod drzwiami szefa. Damon udawał, że porządkuje kartki w sprawozdaniu, i słuchał.

– Nie wiem, co ci nagadał Jessup. – Morrell mówił spokojnym głosem, jakby jej słowa nie robiły na nim wrażenia. – Ale tu w hrabstwie Hatcher nie ma żadnej afery Watergate.

– Mark Jessup nie powinien był trafić do więzienia – a w każdym razie nie sam.

– Beth Ann, przedstawiasz mi wersję byłego skazańca, który, co wie całe miasteczko, zrobi wszystko, żeby zaciągnąć cię do łóżka. Chyba masz dość oleju w głowie, by nie dać się złapać na czułe słówka...

– Nie tym tonem, szeryfie. Opowieść Marka ma sens, pod wieloma różnymi względami. Ale choć uważam, że to, co zrobiliście, jest karygodne, przyszedłam tu w innym celu.

– Najpierw zjawiasz się w kościele i zarzucasz mi, że ignoruję Marka Jessupa jako potencjalnego zabójcę. A teraz twierdzisz, że go wrobiłem, żeby uratować mojego syna i jego kumpli? – powiedział szeryf podniesionym głosem.

– Mnie też pan chciał uratować? Damon nie słyszał odpowiedzi.

– Słucham? – Beth Ann nie dawała za wygraną i choć Damon wolałby, żeby już się zamknęła, musiał jej przyznać, że odwagi jej nie brakuje. Niewielu mężczyzn w hrabstwie Hatcher, a tym bardziej kobiet, odważyłoby się na konfrontację z szeryfem.

– O co ci chodzi? – W jego głosie zrezygnowanie mieszało się z irytacją. – Nie wiem, co za bzdury chodzą ci po głowie, ale chcę je usłyszeć, bo widzę, że nie dasz mi spokoju, póki o tym nie porozmawiamy.

– Wie pan, że niewiele pamiętałam z wypadku.

– To zrozumiałe, przecież byłaś strasznie pokiereszowana. – Morrell złagodniał odrobinę. – Beth Ann, dobrze pamiętam tamtą noc. Do dzisiaj dręczą mnie koszmarne sceny, które zobaczyłem, gdy Riker mnie wezwał. Pewnie myślisz, że w moim zawodzie człowiek przyzwyczaja się do takich widoków, ale nigdy nie zapomnę tych dziewcząt... ani tego, co czułem, gdy musiałem powiadamiać ich rodziców.

– Wiem o tym. – W jej głosie pojawiło się współczucie. – Ze śmiercią niektórych ludzi trudno się pogodzić, choć w mojej pracy przekonałam się, że dla niektórych bywa wybawieniem. Zaczynam sobie coraz więcej przypominać. To, co się wydarzyło tuż przed wypadkiem. Ale najbardziej męczy mnie wspomnienie alkoholu, który piłyśmy...

– To było dawno temu.

– Dla mnie to świeże, bolesne wspomnienia. Nie mogłam spać, nie mogłam pracować, cały czas mnie to dręczy. Muszę wiedzieć.

Morrell znowu westchnął.

– Teraz masz i tak mnóstwo spraw na głowie. Daj sobie spokój. Albo umów się z pastorem Timmonsem, modlitwą wybije ci te bzdury z głowy.

– A skąd pan wie, że właśnie modlitwa nie przyprowadziła mnie tutaj?

– No to może skontaktuj się z jakimś konowalem. Wiem, że ostatnio rzadko bywasz w kościele.

– Sugeruje pan, żebym się zgłosiła do psychiatry?

– Wiem, że w dzisiejszych czasach młodzi chętnie chodzą do lekarzy. No i są jeszcze psychoterapeuci. Ale to co innego, prawda?

– Widzi pan, szeryfie, ja nie potrzebuję żadnych lekarzy. Domagam się tylko odpowiedzi na kilka prostych pytań... Czy w moim samochodzie była butelka nalewki?

– A niby skąd mam to wiedzieć? Od wypadku minęło trochę czasu.

– Tamtej nocy zginęły trzy dziewczyny, a pański syn i siostrzeniec byli w to zamieszani.

– Myśleliśmy, że zginęły cztery – wyznał Morrell cichym głosem. – Nikt nie sądził, że przeżyjesz. A tym bardziej, że będziesz tu siedziała, w moim gabinecie, i zwracała mi głowę.

– Więc uznał pan, że o zmarłych mówi się albo dobrze, albo wcale? Znaleźliście butelkę, ale milczeliście. Nawet nie zbadaliście nam poziomu alkoholu we krwi.

– Chcesz wiedzieć, czy tego żałuję? Nie, Beth Ann. Ani odrobinę. Ich rodziny, twoi rodzice...

– Pańska decyzja zniszczyła rodzinę Jessupów. A siedemnastoletni chłopak trafił za kratki. Sam. W wypadku zginęła też jego siostra, ale pan zwałił całą winę na niego.

– Czasami w życiu przychodzi chwila, gdy trzeba podjąć najlepszą z możliwych decyzji.

Morrell mówił coraz głośniej. Katie wyrzała z dyżurki, Ted Gustavsen wyszedł z pokoju rekreacyjnego z kawałkiem ciasta w dłoni, nawet szef straży pożarnej wychylił się zza drzwi swego gabinetu na końcu korytarza. Spojrzeli pytająco na Damona, ale szeryf jeszcze nie skończył.

– Prawdziwy mężczyzna musi sam decydować, nie może liczyć na doradców. Nie kwestionuj mojego wyboru, Beth Ann. Ktoś musiał ponieść konsekwencje wypadku.

Pod drzwiami gabinetu szeryfa gromadziło się coraz więcej osób.

– Być może na pana miejscu postąpiłabym tak samo – przyznała Beth Ann. – Ale wiem jedno: w ostatecznym rozrachunku nikogo pan nie uratował tą decyzją. Litowano się nade mną, a teraz okazuje się, że prawdopodobnie także byłam winna. Gene Calvert siedzi w areszcie, Donny Ray zapija się na śmierć. Może Xavier i Scotty mają się dobrze, ale zapewne, gdyby ich o to zapytać, przyznają, że tamta noc zmieniła ich życie... Albo jeszcze zmieni. Co będzie z karierą Scotty'ego, jeśli jakiś dziennikarz wyciągnie tę sprawę na światło dzienne? A jeśli chodzi o pana i Pete'a, tylko wy dwaj wiecie, jak bardzo was to zmieniło. Jeśli będziecie ze sobą szczerzy, przyznacie, że cena była wysoka.

– Beth Ann, wyjdź, bo inaczej cię zamknę.

– Bo w celi jest moje miejsce – odparła. – Razem z panem.

Słuchacze się rozpierzchli, gdy Beth Ann wychodziła z gabinetu szeryfa. Szła bardziej wyprostowana niż zazwyczaj, z większą pewnością siebie, a jej laska niemal nie dotykała jasnozielonej terrakoty na podłodze.

Jim Morrell zamknął za nią drzwi. Nikt z podsłuchujących nie zdobył się na odwagę, by zapukać, wymienili tylko spojrzenia i wrócili do swoich zajęć.

Damon przepisywał kolejny protokół z przesłuchania i starał się nie myśleć o flasce w szufladzie biurka szeryfa, świadczącej o słabości jego idola. A jednak za sprawą oskarżeń Beth Ann przypominały mu się krążące po miasteczku plotki, że Evelyn Morrell miała dosyć tego, iż mąż co wieczór zasypia nad butelką.

Choć zawsze pierwszy stawał w obronie szefa, teraz zaczął się zastanawiać, czy w tych plotkach nie ma odrobiny prawdy. A jeśli tak, to czy nie z powodu sprawy Marka Jessupa szeryf szuka zapomnienia w butelce?

Na parkingu Beth Ann zobaczyła wielką białą kopertę zatknietą za wycieraczki jej samochodu. Zdenerwowana konfrontacją z Morrellem, wyciągnęła ją i bez namysłu wsiadła do wozu.

– Uparty staruch – mruknęła. Gdyby do tego stopnia nie wyprowadził jej z równowagi, porozmawiałaby z nim o skrytce w samochodzie matki. Choć nadal nie miała pojęcia, co w niej było, sprzedawca – najwyraźniej podekscytowany tajemnicą, która urozmaicała jego nudną egzystencję – powiedział, że co prawda samochód już został sprzedany, ale skontaktuje się z nabywcą i sprowadzi auto do komisju na darmowy przegląd. Poinformuje Beth Ann, kiedy to nastąpi.

Czekając, aż silnik się rozgrzeje, spojrzała na kopertę. Jej nazwisko wypisano wielkimi drukowanymi literami, z ozdobnym zawijaszem.

– Co znowu? – burknęła i rzuciła ją na siedzenie obok. Nie miała siły na kolejne problemy. Pojechała do ostatniego dziś pacjenta.

Powinna była najpierw zajrzeć do pana Johnsona, ale dawne wspomnienia tak ją niepokoiły, że mimo woli skrzywiła się na postarunek. Chciała usłyszeć wyjaśnienia z ust szeryfa.

Teraz, gdy wszystko powiedziała już Morrellowi, poczuła się znacznie lepiej. Niewykluczone, że będzie musiała ponieść konsekwencje, ale o tym pomyśli później.

Zaparkowała przed starym domkiem pacjenta. Wyciągnęła rękę po laskę i spojrzała na kopertę. Przyszła jej do głowy okropna myśl. A jeśli to od Marka? Kilka słów pożegnania, zanim wyjechał z Elim na dobre? Przerazona, że już nigdy ich nie zobaczy, rozerwała kopertę tak energicznie, że naderwała też arkusik w środku.

Była to fotokopia oferty kupna ziemi. Dawnej ziemi Jessupów. Ofertę złożył Mark. Na dole tym samym flamastrem, także drukowanymi literami, napisano jedno zdanie: „Nadal uważasz, że nie on ją zabił?”

Szok sprawił, że dostała gęsiej skórki i poczuła mdłości. Kto przysyła takie anonimy? Obejrzała kartkę ze wszystkich stron, Potrząsnęła kopertą, ale nie znalazła żadnych wskazówek co do tożsamości nadawcy. Takim flamastrem może pisać każdy.

Także snajper, który usiłował zabić Marka. Czyżby to on chciał zasiać ziarno niezgody między Beth Ann a jego potencjalną ofiarą?

Może zabójstwo wcale nie jest jego głównym celem? Może wystarczy mu wyjazd Marka z hrabstwa Hatcher? A skoro tak, nadawca tego listu nie wie, że już wygrał.

Albo wygrała...

– Aimee Lynn Baker Johnson Gustavsen – wycodziła Beth Ann, jakby był to ciąg przekleństw. Jej tak zwana przyjaciółka, która śliniła się do Marka, odkąd wrócił do Eudeny. Ta sama, którą obraził, dając jej jasno do zrozumienia, że woli Beth Ann od szybkiego numerku z byłą szkolną królową piękności.

Aimee była pewnie głęboko rozczarowana, że Mark okazał się solidnym ojcem rodziny, a co gorsza, zaczął faworyzować żalostną kalekę, na którą nie spojrzał żaden tutejszy mężczyzna.

Beth Ann spochmurniała, gdy pojawiło się nowe, przerażające podejrzenie. A jeśli Mark uwiódł ją i zapewniał, że kocha, tylko po to, żeby... Właściwie co? Ukryć, że to, co go łączyło z jej matką, to coś więcej niż sugestia, że musi ratować Eudene?

Wzdrygnęła się, ale zaraz pokręciła głową.

– Nie ma mowy – mruknęła. Nie mieściło jej się w głowie, że Mark, taki czuły i troskliwy, mógłby kogoś skrzywdzić, a tym bardziej zaszlachtować jej matkę. Zresztą zorientowałyby się chyba, gdyby ją wykorzystywał...

– Oczywiście – mruknęła, wysiadła i skierowała się z torbą do drzwi. Ale z każdym krokiem utykała coraz bardziej.

Największym wyzwaniem okazało się przekonanie Towarzysza, że czas obserwacji minął, że teraz Najwyższy domaga się działania.

Oczywiście lepiej byłoby dokonać krwawej ofiary w samotności, jak w przypadku nierządnic, ale Towarzysz grał ważną rolę w tym wszystkim, ba, to od niego wszystko się

zaczęło. A więc może to i dobrze, że grzesznik weźmie udział w odkupieniu.

Córka nierządnic wyszła z biura szeryfa, z determinacją na twarzy. Zatrzymała się, wyjęła kopertę, umieszczoną za wycieraczką zaledwie kilka minut temu, wsiadła do samochodu i odjechała, żeby zaopiekować się umierającymi...

Nie wiedząc, że zanim dzień dobiegnie końca, sama znajdzie się w niebie.

– Proszę, tato. – Mark pakował ostatnie pudła do pikapa, a Eli nie przestawał błagać. – Stormy jest teraz grzeczna, widzisz? Beau ją polubi, na pewno.

Ich dwuletni labrador pewnie umarłby ze strachu na widok szarej kotki, ale należało przyznać, że Eli dokonał cudu. Stormy ocierała się o nogi chłopca, dawała mu się pogłaskać.

– Tutaj jest jej dom – tłumaczył. – Już ci mówiłem, pani Gustavsen obiecała, że będzie ją karmiła, póki nie sprzeda domu.

Mark jednak nie był taki pewien, czy Aimee dotrzyma słowa. Trudno wyobrazić sobie tę blondynę na wysokich, prowokacyjnych obcasach, zaglądającą do szopy, żeby nakarmić kotkę.

– Nie możemy jej zabrać? Codziennie będę sprzątał swoje zabawki, obiecuję.

Mark pokręcił głową.

– Nie byłaby szczęśliwa w naszym domu. Nie mamy takiego podwórka.

Mieszkali w kamienicy w rozwijającej się części miasta, nadal trochę niebezpiecznej. Mark nie wypuszczał Eliego samego na dwór. Kotka w ciągu pięciu minut zginęłaby pod kołami samochodu.

– Więc zostaniemy tutaj. Mam tu przyjaciół, lubię panią Minton i pannę Beth Ann. A ona bardzo lubi ciebie.

– Ja też ją bardzo lubię.

Eli gwałtownie podniósł duże, ciemne oczy. Popołudniowe słońce odbijało się od odznaki młodszego posterunkowego.

– Kochasz ją?

– Może – odparł Mark po chwili wahania. Nie dlatego, że wątpił w swoje uczucie, lecz uważał, że musi zachować ostrożność, póki nie wie, czy jego związek z Beth Ann ma szansę.

Eli wyduł usta i skinął głową.

– W takim razie musimy tu zostać. Może wyjdzie za ciebie i będzie moją drugą mamą.

– Niestety nie możemy tu zostać. Wiesz co? Porozmawiam z Beth Ann przed wyjazdem i poproszę, żeby zaopiekowała się Stormy. Ona nas nie zawiedzie. Sam widzisz, jak rozpuszcza Maię.

Uśmiechnął się na zabawne wspomnienie. Beth Ann uraczyła Maię różnymi smakołykami z okazji Dziękczynienia. Maia w nagrodę zwymiotowała wszystko na biały dywan w salonie.

Eli zacisnął pięści.

– Nie boję się złego człowieka. Zostaję tutaj!

Z tymi słowami odwrócił się na pięcie i wbiegł do domu. Mark po chwili poszedł za nim. Zjrzał w każdy kąt w starym domu, ale nie znalazł synka. Nie pomogły też nawoływania,

obietnice słodkich łąpówek.

Rozdział 28

Dzwonek do drzwi, kanister benzyny, otwarcie garażu i licealna wiedza z chemii; to i łaska Pana wystarczą do popełnienia morderstwa. No i potrzebne jeszcze kości z mięsem, żeby zwabić psa w pułapkę.

Schemat systemu alarmowego okazał się niepotrzebny, bo Pan nie żałował swego błogosławieństwa. Zjawilo się pod postacią dwóch Meksykanek, sprzątaczek, sądząc po wiadrach i mopach, które bardzo długo kręciły się przy drzwiach, ale nie wiedziały, jak przed wyjściem uaktywnić alarm. Kiedy w końcu przestały kombinować i odjechały zardzewiałym pikapem, wystarczył jeden rzut okiem, by się upewnić, że system nie działa. A potem już tylko wejść przez tylną furtkę, wyciąć diamentem szybkę w oknie wychodzącym na basen w kształcie serca...

– Nikt nie może nas tu zobaczyć. – Towarzysz się niepokoił. – Zorientują się, że to nie był wypadek.

– Oczywiście, że to nie będzie wypadek. To wola naszego Pana, błogosławieństwo dla miasteczka.

Na podjeździe Jessupów, w zakurzonej pikapie, siedział Damon Stillwater i trząsał się tak, że z trudem udawało mu się utrzymać w dłoniach papiery, które zaledwie pół godziny temu wyjął ze służbowej skrzynki. Zmarszczył brwi, widząc drukowane litery i brak nadawcy, co, według ostrzeżeń władz, może oznaczać zagrożenie węglikiem albo ładunek wybuchowy. Ale na kopercie widniał stempel pocztowy z Eudeny, którą trudno było uznać za kolebkę terroryzmu. Co więcej, koperta była zaadresowana do niego. Damon rozerwał ją i zobaczył kserokopię oferty handlowej Marka Jessupa.

„Krwawe pieniądze wystarczą na wszystko. Nawet zapewnią milczenie Morrella!”

Damon nigdy nie zapomni bolesnego podejrzenia i towarzyszącego mu impulsu, by przemknąć się obok zamkniętych drzwi szefa i wyjechać. Czyżby to pierwszy krok ku zdradzie swego idola?

Jeszcze może stąd odjechać. Może wrócić na posterunek i zapukać do drzwi Wielkiego Jima, powiedzieć mu o anonimie...

Ale dlaczego koperta była zaadresowana właśnie do niego? Czyżby nadawca wyczuł jego bojowość, zobaczył, że się nie poddaje, węszy dalej mimo sprzeciwu szefa? Przypomniał sobie kłótnię Morrella z Beth Ann, to, jak zaprzeczał istnieniu spisku. W trakcie rozmowy padło także nazwisko Pete'a Rikera. Czyżby tutejsi policjanci byli skorumpowani? Co się stanie, jeśli wręczy Morrellowi tę kopertę? Czyjej zawartość nie zniknie w tajemniczy sposób? A posłaniec? Czy po nim także ślad zaginie?

Damon się wzdrygnął. Nie sądził, żeby go zabito, raczej zostanie skompromitowany i wyrzucony z policji z wilczym biletem.

– Cholera! – Ciągle był niezdecydowany. Morrell został szeryfem okręgu Hatcher na długo przed tym, jak Damon pojawił się na świecie. Choć jego żona nie szczędziła mu

gorzkich słów, nikt nie mógł mu zarzucić braku profesjonalizmu.

Ale mimo wszystko...

Mark Jessup podjął decyzję za niego – wyszedł na dwór z pudełkiem w ręku. Synek włókł się za nim naburmuszony. Na twarzy Jessupa zdenerwowanie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu, gdy zobaczył samochód Damona. Wstawił pudełko do pikapa i podszedł do wozu Stillwatera. Malec szedł teraz za nim, o wiele szybciej.

Damon stłumił westchnienie i wysiadł. Poczł gulę w gardle, widząc, jak mały się rozpromienia na widok jego munduru i odznaki.

– Złapał pan tego złego człowieka? – zapytał chłopczyk. Spojrzał na ojca i dodał: – Teraz nie musimy wyjeżdżać, możemy tu zostać na zawsze.

– Niestety nie złapałem – mruknął Damon. – Chodzi o co innego.

– O co? – Wzrok Marka przesunął się obojętnie po kopercie. – Chcemy się pożegnać z Beth Ann, zanim wyjedziemy. Mówiłem szeryfowi, że wyruszamy w drogę, podałem mu numery telefonów, pod którymi może się ze mną skontaktować.

Damon pomyślał, że mógłby teraz odejść. Życzyć im szczęśliwej podróży i wrócić na posterunek. Położyć uszy po sobie. Zachować pracę, może wziąć kredyt na dom i założyć rodzinę... Przed oczami stanęła mu śliczna buzia Katie.

A jednak nawet taka pokusa nie powstrzymała go przed zrobieniem tego, co należy.

– Ja... muszę z panem porozmawiać. Bardzo proszę. Jessup pobladł.

– Coś się stało Beth Ann?

– Nie, nie, to nic takiego – zapewnił Damon. – Ja po prostu... muszę z panem porozmawiać. W środku. W środku będzie lepiej.

Nie chciał, żeby zobaczyli ich wszyscy ludzie. Jessup skinął głową, wyraźnie zaintrygowany.

– Dobrze, otworzę dom. Eli rozpromienił się.

– To potrwa chwilę – zastrzegł ojciec. – Masz najwyżej dziesięć minut.

Otworzył drzwi. Weszli do środka. W kuchni Mark powiedział do synka:

– Idź do sypialni Hiram'a i zajrzyj do pudła z drobiazgami w szafie. Możesz sobie wybrać jeszcze jedną glinianą żabę.

– A mogę dwie?

– Jeśli obiecasz, że nie wyjdiesz z domu i przybiegniesz natychmiast, kiedy cię zawołam. W innym wypadku umowa zerwana. I jeszcze jedno – żadnych postojów na frytki w drodze powrotnej.

– Ani jednego?

– Ani jednego.

Eli obiecał i zniknął w korytarzu. Jessup spojrzał surowo na Damona.

– Nie wiem, co pana tu sprowadza, ale kosztowało mnie to kolejne dwa koszmaki. Załatwmy sprawę szybko, zanim Eli zacznie negocjować kolejny układ.

Damon odsunął od stołu okrągłe krzesło i usiadł nie czekając na zaproszenie. Przede wszystkim dlatego, że nie ufał własnym nogom. Niezdolny wykrztusić słowa, wyjął anonim z koperty i położył na stole.

Mark zapalił światło i usiadł naprzeciwko Damona. Wziął kartkę do ręki i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem zaklął pod nosem.

Damon w końcu odzyskał głos.

– Czy to prawda?

– Że przekupiłem Morrella? Skądże. Niby po co?

– A przetarg? I oferta? To prawda?

Jessup wzruszył ramionami.

– To była prawda, jeszcze kilka dni temu. Zanim strzelano do mojego dzieciaka. Od tego czasu poważnie się zastanawiam, czy nie wycofać oferty. Nie jestem pewny, czy hrabstwo Hatcher zasługuje na przysługę. I czy w ogóle coś przyjmie... ode mnie.

– Przysługę? Jak to? Niby dlaczego kupno ziemi, która kiedyś należała do pana rodziny, miałyby być przysługą dla hrabstwa?

– A jak pan myśli, po co ją kupuję? Żeby tu zamieszkać? Zważywszy na przyjęcie, jakie zgotowano Jessupowi, Damon musiał przyznać, że to mało prawdopodobne. Chyba że jego związek z Beth Ann jest poważniejszy, niż się wszystkim wydaje.

– Sam nie wiem. Po co panu ta ziemia? – Uśmiechnął się lekko. – Żeby wybudować składowisko toksycznych odpadów?

Jessup roześmiał się.

– A może jeszcze elektrownię jądrową? Nie, ani jedno, ani drugie. – Mark wzruszył ramionami. – Moja firma się rozrasta, a jest to działalność wysoce ekologiczna, z wykorzystaniem najnowocześniejszych technologii. Pomyślałem sobie, że może mógłbym wybudować tutaj nowy zakład produkcyjny. Na cześć Lilly Decker, która miała dość wyobraźni i odwagi, by do mnie napisać w tej sprawie.

Damon poczuł, jak jego serce bije coraz szybciej.

– Kontaktował się pan z Lilly Decker?

Czyżby jednak nie mylił się co do Marka? Czyżby siedział przy jednym stole i dowcipkował z mordercą?

– Nie wiem, czy można mówić o kontakcie. Napisała do mnie na początku września, bardzo przekonująco. Twierdziła, że moim obowiązkiem jest ocalić nasze miasteczko. Odpisałem jej, że nie poczuwam się do żadnego obowiązku.

– A co potem? – Musiało być coś jeszcze. Bo dlaczego ją zabił?

– Napisała jeszcze raz, ale nawet nie odpisałem. A potem, tydzień albo dwa później, Aimee Baker – czyli Aimee Gustavsen – zdobyła skądś mój numer telefonu i zadzwoniła, żeby mi powiedzieć o ojcu.

– A pani Decker dała panu spokój? Może dowiedziała się, że pan przyjedzie i chciała się z panem spotkać? Może pana szantażowała?

Jessup roześmiał się.

– Ogląda pan zdecydowanie za dużo telewizji. Lilly Decker zrozumiała mnie i nie wracaliśmy więcej do tego. Miałem mnóstwo innych spraw na głowie. Mój ojciec umierał.

– Na pewno bardzo pan przeżył jego stratę. Przykro mi, że od czasu powrotu doznał pan tyłu nieprzyjemności. – Damon upokorzony, zawstydzony paplał automatycznie. Czuł, jak mu

uszy płoną. Był idiotą, pozwolił, by marzenia o rozwiązaniu sprawy zagłuszyły zdrowy rozsądek. Każdy głupek wpadłby na to, że ktoś z tutejszych mieszkańców zadaje sobie mnóstwo wysiłku, by zabić Jessupa albo przynajmniej wykurzyć z Eudeny. Ktoś, kto ma dostęp do informacji na temat transakcji nieruchomościami.

Jessup skinął głową.

– Najwyraźniej nadawca tego listu nie zadowolił się strzelaniem do mnie i do mojego synka. Teraz chce na mnie napuścić pana.

Damon analizował wszystkie możliwości. Także rozmowę, którą wcześniej podsłuchał.

– Dlaczego jednak zjawił się tutaj pan, a nie pański szef? – Mark przechylił głowę.

Damon wbił wzrok w stół. Na blacie z klonowego drzewa widniała ciemniejsza plama od zbyt gorącej patelni.

– Dlaczego? – Jessup nie dawał za wygraną. Damon podniósł wzrok i zobaczył w jego oczach wyrozumiałość.

– Dzisiaj rano coś usłyszałem. – Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Beth Ann Decker rozmawiała z Morrellem o fałszowaniu dowodów. Chodziło o tamtą noc, o wypadek, który pan spowodował.

Mark wstał i mruknął:

– Dlaczego to zrobiła?

– Jej zdaniem nie tylko pan jest winny – odparł Damon w nadziei, że to wyjaśnienie go uspokoi.

Jessup jednak przechadzał się nerwowo, przeczesując palcami ciemne włosy.

– Mogłem po prostu wyjechać. Pozwolić, by w dalszym ciągu nienawidzili mnie na odległość. Ale grzebanie w przeszłości... Czy to komuś pomoże?

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na Damona.

– I jaki związek ma to z pana podejrzeniami, że przekupiłem Morrella, żeby trzymał język za zębami w sprawie zabójstwa Lilly Decker?

Damon wzruszył ramionami.

– Nadawca tego listu wybrał właśnie mnie, bo uważa mnie za idiotę, który połknie każdą przynętę.

– Albo uważa pana za jedyne policjanta w Eudenie, który ma dość odwagi, by się sprzeciwić szefowi. Pewnie słyszał, że zadaje pan mnóstwo pytań, co nie wszystkim się podoba.

– Pan też o tym wie?

– To w końcu Eudena. – Jessup błysnął zębami w uśmiechu, ale z jego słów przebijała gorycz. – Tutaj wszyscy wiedzą o wszystkich, nawet taki wyrzutek społeczeństwa jak ja.

– Wolę już to, że nadawca listu uznał mnie za odważnego, a nie za głupka.

– Też tak sędzę – zapewnił Jessup. – Ale wcale nie jestem pewien, czy to nadawca... czy nadawczym.

Damon gwałtownie podniósł głowę.

– Co? Myśli pan, że to kobieta? Która ma do pana żal?

Jessup skinął głową.

– Niestety tak. A ta kobieta z pewnością ma dostęp do akt, które trzyma pan w ręku.

– Proszę mi podać jej nazwisko – zażądał Damon. Skoro i tak przekroczył uprawnienia, równie dobrze może przesłuchać kolejną podejrzaną.

Po rozmowie z Jessupem wyszedł z domu i wszedł do pikapa. Z bólem głowy wyjechał na drogę i zawrócił w kierunku centrum miasta. Z przyzwyczajenia zerknął we wsteczne lustro i zahamował gwałtownie.

Dostrzegł jakąś postać, która przebiegła przez drogę i zmierzała w kierunku krzewów rosnących w pobliżu domu Jessupa.

Osoba ta trzymała w ręce strzelbę albo dubeltówkę. Owszem, trwa sezon polowań na jelenie, ale każdy myśliwy ma obowiązek nosić jaskrawą kamizelkę.

Tymczasem niespokojne ruchy tego człowieka sugerowały, że chce zapolować na inną zwierzynę. Czyżby to on kilka dni temu strzelał do Eliego Jessupa?

Choć Damonowi bardzo się śpieszyło do agencji nieruchomości Gustavsen, zjechał na pobocze i sięgnął po radio. Podał swój numer identyfikacyjny i poinformował Katie:

– Mamy tu coś nowego...

Rozdział 29

Mark przywiązał Elięgo pasami w dziecięcym foteliku. Chłopczyk zmarszczył brwi.

– Pojedziemy do Mai? I do panny Beth Ann, tak jak obiecałeś?

Mark żałował tej obietnicy. Nie podobało mu się, że poszła do szeryfa, ale zarazem podziwiał jej odwagę. To kolejny powód, by za nią tęsknić, by ją kochać. Bo w głębi serca wiedział, że przyszłość Beth Ann wiąże się z tym miastem, że dla niego nie zrezygnuje ze swego życia tutaj. A on nie wróci do miasteczka, które złamało mu serce.

Na myśl, że jedzie pożegnać się z kobietą, którą będzie kochał do końca życia, miał ochotę wymknąć się z miasteczka niepostrzeżenie, rozpląnąć się w nocy przecinanej reflektorami innych samochodów. Bezkresna preria wchłonęłaby go i ukoła jego ból.

Nie zrobi tego jednak, bo zawsze dotrzymuje obietnic danych synkowi. I choć to będzie bardzo bolesne, dotrzyma też słowa danego Beth Ann.

– Oczywiście, Eli – wykrztusił w końcu. – Pożegnamy się szybko, a potem może wstąpimy do McDonald's na zestaw dziecienny? Wiesz, taki z zabawką?

Spochmurniał na myśl, że upadł tak nisko, że przekupuje synka jedzeniem z fast foodów.

Słyszając głośny trzask, podskoczył tak gwałtownie, że uderzył głową o framugę. Rozpoznał ten dźwięk od razu – strzał.

– Na ziemię, Eli! – Zatrzasnął drzwiczki pikapa.

Oglądając się przez ramię, obiegł wóz. Chciał wskoczyć do środka i odjechać, gdy usłyszał krzyki.

– Spokojnie, mam snajpera.

Mark znieruchomiał, słysząc głos Stillwata.

Po chwili Stillwater wynurzył się z zarośli. Prowadził skutego mężczyznę. Snajper nie podnosił głowy i miał na sobie strój maskujący. Na prawym rękawie widniało rozdarcie, z rany płynęła krew. Pewnie Damon zranił go strzałem, który słyszał Mark. W tej chwili młody policjant czytał zatrzymanemu jego prawa.

– Oto pański strzelec – oznajmił, gdy skończył. Eli wyskoczył z samochodu.

– To ten zły człowiek! – Z podniecenia mówił głosem wyższym niż zazwyczaj. – Ten, którego widziałem wtedy, kiedy zarobiłem bliznę. Złapał go pan! Super!

Mężczyzna groźnie łypnął na Elięgo.

– Zamknij się. Zamknij się, ty wybryku natury. Szalone niebieskie oczy spoczęły na Marku.

– Żałuję, że go nie zabiłem. Wiedziałbyś wtedy, co to znaczy stracić dziecko, zabite przez mordercę.

Głos mu się załamał i w tym momencie Mark go rozpoznał. Ojciec Larindy, Billy Hyatt, o wiele starszy i bardziej siwy niż w jego wspomnieniach, jakby postarzał się nie o szesnaście, ale o trzydzieści lat. Był lokalnym doradcą podatkowym i Aimee z pewnością zwróciłaby się do niego z pytaniem, kto jest właścicielem ziemi, którą Mark zamierza kupić. Czyżby potem pod byle jakimś pretekstem wyciągnął od właściciela kopię jego oferty i

wysłał anonim Stillwaterowi?

– Wracaj do wozu, Eli. – Nie chciał, żeby synek słyszał jeszcze więcej obelg.

– Teraz nic już nam tu nie grozi! – cieszył się mały, ale Mark posłał mu takie spojrzenie, że Eli bez słowa protestu wgramolił się do wozu. I tak będzie wszystko słyszał, ale przynajmniej zniknął z zasięgu wzroku Hyatta.

– Pańska córka zginęła w nieszczęśliwym wypadku i bardzo tego żałuję – powiedział głośno. – Ale pan strzelał do pięcioletniego dziecka. A koło domu pogrzebowego chciał pan zabić kobietę.

Hyatt pokręcił głową.

– Nie skrzywdziłbym Beth Ann. Chciałem zastrzelić ciebie. A ona mnie okłamała, okłamała! Uwierzyłem, że cię zabiłem. Nie rozumiem tego. Nie pozwoliłbym Larindzie się z nią przyjaźnić, gdybym wiedział, że wyrośnie z niej taka kłamczucha.

Wydawał się bliski łez. Stillwater potrząsnął głową.

– Panie Hyatt, niech pan poczeka z tymi wyznaniem na później, dobrze? Niech pan najpierw porozmawia z adwokatem. – Zerknął na Marka i dodał: – A przynajmniej niech pan poczeka, aż znajdziemy się w pokoju z magnetofonem. W innym wypadku pańskie zeznania okażą się bezwartościowe...

– Wezwał pan wsparcie? – zapytał Mark. Damon zaprzeczył ruchem głowy.

– Po co? Mam wszystko pod kontrolą. Dobrze, że go zobaczyłem. Miał ze sobą strzelbę – nadal leży w krzakach.

Mark odetchnął lekko. Czy straciłby syna, gdyby nie Stillwater? A może chłopczyk musiałby patrzeć na śmierć ojca?

– Dziękuję panu – powiedział. – Bardzo panu dziękuję. Czy potrzebuje pan pomocy?

Stillwater zerknął na Hyatta.

– Chyba nie. Zabiorę jego strzelbę, wrócę do wozu i wezwę szeryfa. W szpitalu opatrzą ranę pana Hyatta, a potem odwieziemy go na posterunek. Musi pan przyjechać i złożyć zeznania.

Mark skinął głową.

– Zjawię się, jak tylko... jak tylko zobaczę się z Beth Ann.

Bo razem z ulgą pojawiło się pragnienie, by ją tulić, by porozmawiać z jedyną osobą, która zrozumie, co czuł, widząc nienawiść Hyatta. Pragnął jej powiedzieć, że już wie, jak bardzo ciąży jej przeszłość. Przekonać ją, że tylko razem zdołają udźwignąć ten ciężar.

Teraz dom wydawał się ostoją spokoju.

Beth Ann miała opóźnienie po wizycie u Lena Johnsona, bo nie wiadomo czemu pielęgniarka nie była u niego od kilku dni. Trzeba go było wykąpać i zmienić pościel, chociaż należało to do jej obowiązków. Zabrała się do roboty, nie zważając na ból pleców, nie mogła przecież zostawić tej pracy słabiutkiej, osiemdziesięcioletniej żonie chorego.

Po wyjściu zadzwoniła do Sheryl, żeby powiedzieć, co myśli o niesolidnej pielęgniarce, ale musiała się zadowolić pocztą głosową, bo Sheryl nie było w biurze. Pewnie włączy się po mieście w nowiutkim samochodzie – o ile Pete nie schował jej kluczyków. Po raz pierwszy

od lat kupili nowy wóz i teraz byli jak dzieci kłócące się o zabawkę.

Beth Ann pokręciła głową na tę myśl i wsunęła telefon do kieszeni. Czeką ją jeszcze mnóstwo roboty papierkowej, lecz zamiast do nory, którą zarząd szpitala nazywał biurem, pojechała prosto do domu. Równie dobrze może wypełnić raporty w ulubionym fotelu, z nogami na krześle, jedząc kanapkę z indykiem.

Cały czas dręczyło ją jednak pytanie, czy Mark już wyjechał. Czy zapomniał, że obiecał się do niej odezwać, zanim wyruszy w drogę?

Nie zrobiłby tego. Nie jest taki.

Między innymi za to go pokochała – zawsze postępuje właściwie, nieważne, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

Jej uwadze nie umknęła grupka podsłuchujących pod drzwiami szeryfa – wystarczy kilka słów, a plotki dotrą do Marka. A może szeryf już u niego był? Czyżby zażądał, by jak najszybciej wyjechał?

Jednak nawet w takim wypadku nie wyjechałby bez słowa. Chyba że coś się stało. Zrobiło jej się zimno na wspomnienie snajpera.

Skręciła w swoją uliczkę i zdecydowała, że pierwsze, co zrobi, to zadzwoni do Marka. Musi się dowiedzieć, czy jej obawy mają realne podstawy.

Minęła samochód stojący na ulicy, wstukała kod otwierający bramę garażu i czekała, aż drzwi się uniosą. Myślała tylko o jednym – że stało się coś strasznego. Podbiegła do drzwi łączących garaż z domem. Już wyciągała rękę do panelu systemu alarmowego, gdy w ułamku sekundy dotarły do niej trzy fakty. Po pierwsze, alarm był nadal wyłączony, jak wówczas, gdy wychodziła. Po drugie, stłumione szczekanie Mai dochodziło gdzieś z głębi domu, czyli zamknięto ją. Po trzecie, poczuła przykry zapach nieświeżych jajek.

Błyskawicznie przypomniała sobie, że nie przećwiczyła obsługi systemu alarmowego z Rosario, ale angielski gosposi pozostawiał wiele do życzenia. Ponieważ od pierwszej chwili obawiała się Mai, mogła ją zamknąć w domu, ale suka szczekała tak żałośnie, że serce Beth Ann zabiło szybciej... Zwłaszcza gdy sobie uświadomiła, że zapach, który czuje, to gaz.

Czyżby Rosario albo jej siostra zostawiły włączoną kuchenkę? Mało prawdopodobne. Najważniejsze to wydostać się z domu, zanim jakaś iskra spowoduje wybuch.

Ale nie zostawi Mai na pastwę losu. Z tą myślą pospieszyła w kierunku, z którego dochodziło szczekanie.

Rozdział 30

Mark skręcił w ulicę Beth Ann i usłyszał coś, co zabrzmiało jak grzmot, choć na niebie widniały tylko nieliczne chmurki. Eli, coraz bardziej rozbawiony, ze śmiechem wskazywał kaczki na stawie, pływające jedna na drugiej. Mark nie wiedział, jak wytłumaczyć synowi, że kaczki pracują nad wzrostem populacji swego gatunku. Zarumienił się zmieszany i zapytał:

– Spójrz, czy to nie żółw?

Kiedy minął ich samochód jadący z przeciwka, Eli odwrócił się.

– Nie, tato, to tylko kamień. Czemu nagle zrobiłeś się taki czerwony?

– Chyba muszę iść do okulisty – mruknął Mark i skręcił na podjazd Beth Ann.

W tym samym momencie zobaczył wybite szyby w oknach i zahamował gwałtownie.

– Zły człowiek był też tutaj – powiedział Eli piskliwym głosikiem.

Mark gapił się na kłęby dymu w powybijanych oknach. W tym momencie z sąsiedniego domu wybiegł ciemnowłosy nastolatek w dżinsach i bluzie z logo drużyny Cowboys. On także z przerażeniem patrzył na to, co się stało.

Mark wyskoczył z wozu, spojrzał na sąsiedni budynek i zobaczył, że tam także nie było szyb w kilku oknach.

Wybuch. To, co brał za grzmot, okazało się czymś znacznie groźniejszym.

Eli wygramolił się z fotelika, podszedł do ojca i złapał go za rękę.

– Gdzie panna Beth Ann? Gdzie Maia?

Mark spojrzał na chłopca sąsiadów.

– Pójdę sprawdzić, czy Beth Ann tam jest. Musisz zabrać mojego synka do domu i zadzwonić po pomoc – na policję, straż pożarną, pogotowie... Może jest ranna.

Chłopak pobladł.

– O kurczę. Na pewno jest w domu. Tuż przed wybuchem słyszałem, jak otwierała drzwi do garażu. Musimy ją stamtąd wyciągnąć. Może jest ranna, a dym...

Mark złapał go za ramię i krzyknął prosto w twarz:

– Zabierz mojego syna do siebie, a potem zadzwoń po policję i sprowadź rodziców.

– Zadzwonię po nich, nie ma ich w domu. Mark uścisnął dłoń Eliego.

– Powierzam ci życie mojego synka.

– Tatusiu, ja chcę do panny Beth Ann i Mai. – Mały się rozplakał.

– Jestem Matthias. – Nastolatek wziął go na rękę. – Wszystko będzie dobrze. Chodź, pomożesz mi zadzwonić.

Matthias puścił się biegiem, a Mark patrzył na płomienie wijące się w oknach i czarny dym w bocznym skrzydle domu. Pobiegł do głównego wyjścia i zawołał Beth Ann przez wybite okno salonu.

Starął się przekrzyczeć trzask ognia i wycie alarmu.

– Beth Ann, gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi, ale usłyszał chyba szczekanie.

Może suka jest ze swoją panią? Ale gdzie? Nie sposób tego określić w kakofonii

dźwięków. A sytuacja stawała się groźniejsza z każdą chwilą.

Ogarnęła go panika na myśl, że Beth Ann zginęła wskutek wybuchu. Nie, los nie może być aż tak okrutny.

Ściągnął kurtkę, owinał dłoń materiałem i wybił ręką i nogą resztkę szyby, na tyle, że zdołał dostać się do środka, gdzie od razu potknął się o stolik. Znalazł się poniżej najbardziej gęstych kłębow dymu.

Mógł oddychać, ale oczy łzawiły mu tak, że prawie nic nie widział. Co gorsza, nie słyszał szczekania. Czy zagłuszyły go odgłosy pożaru? A może suka padła ofiarą płomieni, jak jej pani?

Rozdział 31

Wyciągnie ją stamtąd. Uratuje ją.

Ulga w głosie Pomocnika budzi gniew. Zdrajca! Nie wolno pozwolić na taki brak lojalności.

– Nie może jej uratować. Ona wie. Zawracamy. Towarzysz gwałtownie odwrócił głowę.

– Nie, nie możemy. Dom się spali, to pewne, wylaliśmy mnóstwo benzyny, do tego wybuch... Dowody także spłoną.

– Nie ma tam listu. Córka nierządnicy go znalazła i pokazała szeryfowi, kochankowi...

– Nie wiesz tego na pewno. Mówiłem ci, nie możesz...

– Wiem. Pokazano mi. Lepiej będzie, gdy wszyscy zginą. Trzeba chronić niewinnych.

– Ale co komu przyjdzie z tego, że nas tam przyłapią?

Jeden ruch ręki i w dłoni znalazł się pistolet ze schowka przy desce rozdzielczej.

– Gdzie twoja wiara? Nie czujesz Jego łaski? Nie słyszysz Jego głosu? Mówi, że wszystko nam się uda, o ile nadal będziemy Mu służyć i głosić Jego chwałę. Nie stchórzymy... Już nie ma odwrotu.

List matki uratował jej życie, ten sam, który początkowo tak ją zaniepokoił, kiedy dostała go od pana Lipscomba, prawnika mamy, po pogrzebie. Beth Ann wyminęła Maię i wpadła do gabinetu, chcąc zabrać teczkę z listem, zawartością sejfu i karteczkę z bagażami z globusa.

Działała instynktownie, bez żadnych kalkulacji; ledwie pomyślała o dokumentach, gdy podmuch wybuchu pchnął ją na ścianę i rozpętało się piekło. Upadła na podłogę, odłamki szkła sypały się jak grad.

Przez jakiś czas – nie miała pojęcia, jak długo – leżała bez czucia, niezdolna się poruszyć. Otaczała ją cisza, ale ciepła wilgoć przywróciła ją do życia. Pomyślała, że to krew.

Podniosła ręce do twarzy... i poczuła Maię. Kochana Maia lizała ją po policzku. Beth Ann bezskutecznie próbowała unieść powieki. Zapach spalenizny zmuszał ją do kaszlu. Otarła twarz. Poczuła pod palcami gęstą warstwę pyłu.

Zamrugnęła powiekami. Jak przez mgłę dostrzegła nad sobą pysk Mai. Suka trącała ją łapą i chyba szczekała, ale Beth Ann słyszała tylko szum w uszach.

Przypomniała sobie zapach gazu i nagle zrozumiała. Wybuch. Mało brakowało, a zginęłyby – i nadal grozi jej niebezpieczeństwo, jeśli pojawi się ogień.

Kiedy odzyskała ostrość widzenia, zobaczyła krzesła porozrzucane po całym pokoju, półki na książki na podłodze... Powyżej kłębił się ciemny dym.

Dom się palił. Musiała wyjść.

Nie myślała już o dokumentach, szukała łaski. Nie mogła jej jednak znaleźć. Wsparła się na krzesło i dzwignęła z wysiłkiem.

Rozkaszała się i ponownie osunęła na ziemię. Znalazła torebkę i przewiesiła ją sobie na szyi. Na czworakach zmierzała do drzwi, czując ból w biodrze.

Maia złapała ją za pasek od torebki i pociągnęła. W rezultacie tego Beth Ann wyładowała

na brzuchu.

– Cholera! – krzyknęła ze złością i usłyszała echo własnego krzyku. Maia zaszczeaka jej nad uchem i tym razem ten dźwięk także do niej dotarł, nieco przygłuszony.

Nadal jednak nie słyszała odgłosów pękającego szkła ani huku walącej się ściany w głębi domu. Nie słyszała również tego, że zaledwie pokój dalej zawołano japo imieniu.

Rozdział 32

Damon jeszcze nie dojechał z Hyattem do szpitala, gdy w radio rozległ się znajomy głos.

– Posterunkowy Stillwater! Damon! – zawołała Katie. – Chodzi o szeryfa. Zdziwiłam się, że nie odbiera telefonu. Weszłam do jego biura i znalazłam go nieprzytomnego na podłodze.

O cholera! Katie, nowa w pracy, zapomniała, że ludzie z miasta lubią podsłuchiwać ich rozmowy. Na pewno wielu ciekawskich przypomni sobie w tej chwili narzekania Evelyn Morrell na męża.

– Wezwij karetkę – powiedział. Może to serce? – Sprawdź, czy oddycha.

– Nie, to nie to – wyrzuciła Katie. – Potrzeba mu trochę czasu, mocnej kawy i czystych ciuchów...

Damon zawrócił gwałtownie.

– Katie, poczekaj na mnie. I ani słowa na ten temat, póki nie przyjadę.

– O Boże! – Przeraziła się na myśl, co zrobiła. – Dobrze, czekam. Na tylnym siedzeniu Billy Hyatt wyprostował się i spojrzał podejrzliwie.

– Co to znaczy? Myślałem, że jedziemy do szpitala opatryć mi ramię.

Damon nie odpowiadał. Po chwili znowu usłyszał w radiu głos Katie, jeszcze bardziej zdenerwowanej.

– Do wszystkich. Otrzymałam wiadomość, że na Mili Pond Bend doszło do wybuchu. Cywilów słuchających radia policyjnego proszę o pomoc, jak najszybciej. W domu są dwie osoby.

Damon po raz kolejny zmienił cel podróży.

– Nie jedziemy do więzienia? – Hyatt patrzył na niego z przerażeniem. – Chcę zadzwonić do żony, niech mi znajdzie adwokata.

– Cicho bądź – burknął Damon. – Nie ma obawy, wkrótce trafisz za kratki, i to na długo. Ale najpierw czeka nas mały objazd.

Mark, spocony, oślepiiony ogniem, stracił orientację. Zdawało mu się, że pełnie w kierunku, z którego ostatnio dobiegło szczekanie. Starał się przypomnieć sobie rozkład pokoi na parterze, ale całkiem się pogubił. Nie wiedział już, gdzie prawo, a gdzie lewo – zawsze miał z tym kłopoty, jako dyslektyk. Ochrypl, wołając Beth Ann.

Mógł sam tu zginąć i pomyślał o Elim, zostawionym pod opieką nieznanego nastolatka.

Wyciągnął rękę i natrafił na jakiś mebel – może stolik? Przewrócił go i coś ciężkiego spadło mu na głowę.

Rozdział 33

Beth Ann chciała skierować się do okna, ale Maia tarasowała jej drogę. Ponieważ drzwi były bliżej, Beth Ann ruszyła w tamtą stronę.

Natknęła się na laskę na podłodze. Złapała ją, choć teraz, gdy szła na czworakach, jedynie utrudniała jej ruchy.

Maia przeskoczyła ją i zaszczekała. Beth Ann wyciągnęła rękę, chcąc złapać sukę za obrozę... i natrafiła na ludzkie ciało.

To Mark! Maia lizała go po twarzy... Czyżby chciał ją ratować? Czy zginął przez nią?

Poczuła jednak, że się rusza i usłyszała jego jęk.

– Mark! – zawołała. – Obudź się! Musimy stąd wyjść! Tędy, przez okno w gabinecie!

Zaniósł się kaszlem.

– Beth Ann... Bałem się, że nie żyjesz.

– Szybciej. – Ciągnęła go za ramię.

Razem wrócili do gabinetu. Tym razem Maia, która zapewne przedtem poczuła Marka, szła za nimi. Beth Ann zamknęła drzwi, żeby odciąć ogień i dym.

Mieli sobie tyle do powiedzenia, ale oszczędzali tchu na drogę do okna. Mark szybko je otworzył.

Pomógł Beth Ann wyjść, potem poczekał, aż Maia wyskoczy na trawnik niedaleko basenu. Beth Ann, ciągle na czworakach, chciwie wciągała świeże powietrze. Podniosła głowę i zobaczyła znajomą twarz.

– Potrzebujemy pomocy! – zawołała i w tym momencie zorientowała się, że osoba, po której spodziewała się pomocnej dłoni, celuje do niej z pistoletu.

– Nie ruszaj się, córko nierządniczy.

Mark, oślepiiony dymem, nie widział, kto mówi, ale słyszał lodowatą nienawiść w głosie... Kobięcym głosie.

Chciał wstać, ale Beth Ann złapała go za ramię.

– Ona ma broń! – zawołała. – Celuje do ciebie. Proszę, nie rób tego, nie widzisz, że on jest ranny?

– Jeśli się nie zamkniesz, jego pierwszego zabiję.

– Odłóż broń, Ginny – odezwał się męski głos. – Sprawy zaszły za daleko.

Mark otarł oczy rękawem koszuli i dostrzegł zamglone postacie. Kobieta, starsza pani ze staroświecką fryzurą na głowie, skierowała wylot lufy na mężczyznę, który stał koło niej.

– Nie zniosę kolejnej zdrady. Nie dość, że cudzołożyłeś z nierządnicą, to jeszcze zdradzasz mnie dla jej córki!

– Ginny, daj spokój – odezwał się mężczyzna i Mark go rozpoznał. – To Earl Stillwater, właściciel sklepu z artykułami żelaznymi. Czy ta wariatka to jego żona... matka Damona Stillwatera?

– To ty kazałeś mi myśleć o przyszłości naszych dzieci! – wrzasnęła do męża. – To ty mnie wspierałeś, gdy traciłam siły, to ty mi podpowiedziałeś, jak zdobyć plan systemu

alarmowego.

– Tak, ale sprawy posunęły się za daleko, dotyczą zbyt wielu ludzi. Nie widzisz, że to szaleństwo? – Earl Stillwater nie dawał za wygraną. – Zawieziemy cię do szpitala. Ginny, kochanie, można cię jeszcze ocalić.

– A zatem, co Bóg złączył... – Huknął strzał, głośniejszy niż trzask płomieni. Earl Stillwater osunął się na ziemię z dziuraw czołem, a kobieta dokończyła spokojnie. – Tego człowiek nie rozłączy.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołała Beth Ann i lufa skierowała się w jej stronę.

– To, co powinnam była zrobić, kiedy tylko się dowiedziałam. – W głosie Ginny pojawiło się znużenie.

Mark rzucił się do przodu, odepchnął Beth Ann, chcąc obezwładnić wariatkę...

Poczuł, jak kula wbija mu się w pierś, zanim usłyszał wystrzał, czuł, jak siły go opuszczają...

A potem czuł już tylko nieznośny ból przy każdym oddechu.

W Beth Ann jakby coś pękło, gdy przewróciła Marka na plecy i zobaczyła krwawą ranę w ranie z prawej strony klatki piersiowej, szkliste spojrzenie jego oczu i szeroko otwarte usta. Postrzał w płuca, oceniła fachowo.

Nie zwracała już uwagi na Ginny Stillwater. Pochyliła się nad Markiem i zakryła ranę dłońmi, nie chcąc dopuścić do zapadnięcia płuca. Maia wyła żałośnie u boku Marka.

– Mamo, nie! – rozległ się męski głos.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że to Damon Stillwater w mundurze. Z bronią w ręku, krzyczał przez łzy:

– Co ty zrobiłaś, mamo? Co ty zrobiłaś tacie?

– Odłóż broń, Ginny – powiedziała błagalnie Beth Ann, słysząc, jak Mark z trudem wciąga powietrze. – Sprowadzimy pomoc. Uratujemy ich obu.

– Byłam dobrą żoną – powiedziała Ginny do syna, ciągle z pistoletem w dłoni. – Byłam mu towarzyszką, jak Pan nakazuje. Ale on pragnął tej kobiety, tej nierządnicy, jej fałszywych słów i jej fałszywych piersi, a potem jej piekielnych pieniędzy.

– Zabiłaś moją mamę – stwierdziła Beth Ann. Wiedza ta wydawała się teraz całkiem bez znaczenia, gdy Mark walczył o każdy oddech pod jej dłońmi.

Damon stanął w rozkroku.

– Mamo, rzuć broń. Jesteś chora. Sprowadzimy ci lekarza. Rzeczywiście jest chora, zrozumiała Beth Ann. Należało ją za wszelką cenę powstrzymać, póki jest nadzieja na uratowanie Marka.

Jedno spojrzenie wystarczyło – Earlowi Stillwaterowi już nic nie pomoże.

Ginny Stillwater wymierzyła w Beth Ann.

– Ona musi umrzeć. Ma dowód w sprawie wypadku – i pokazała go kochankowi.

– Kocham cię, Mark. Kocham cię. – Po twarzy Beth Ann spływały łzy.

– Biedna Beth Ann. W niebie będziesz miała zdrowe nogi – obiecała Ginny. – Pan tak zdecydował.

Padł strzał. Dopiero po chwili Beth Ann zrozumiała, że posterunkowy Damon Stillwater

zastrzelił własną matkę.

Rozdział 34

Trzy dni później...

O, panna MacGyver we własnej osobie! – Mark się uśmiechnął. – Słyszałem, że uratowałaś mi życie reklamówką delikatesów Barty’ego i taśmą klejącą. Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

Beth Ann patrzyła na niego przez łyzy. Wydawało się, że zaledwie wczoraj ona i Sheryl, która zjawiała się w szpitalu zaraz po odlocie helikoptera, jechały pełnym gazem do Dallas, dokąd zabrano Marka. Przez pięć długich godzin Beth Ann modliła się, choć i tak nie wierzyła, że zastanie go żywego.

Teraz Mark dochodził do siebie po operacji. Od tej pory ciągle była przy nim. Dzisiaj jednak musiała pojechać do Wichita Falls wynajętym samochodem – do Eliego, który chwilowo przebywał u pani Minton. Przez całą drogę powrotną do Dallas Beth Ann obawiała się, czy przewrotny los znowu odbierze jej Marka: może pojawi się nagła gorączka, sepsa...

Jednak dzisiaj Mark wyglądał dużo lepiej, nie był już taki blady, oddychał normalnie... Ale co będzie, kiedy mu powie, czego się dzisiaj dowiedziała?

– Wiele razy mówiłam ci już, jak załatałam dziurę w klatce piersiowej. Byłeś jednak pod wpływem środków przeciwbólowych i niczego nie pamiętasz.

– Hej, Beth Ann. – Mark stał jej łyzy z policzków. – Obiecuję, że nic mi nie będzie. Lekarz powiedział, że za kilka dni mnie wypuści.

Złapała go za rękę i pocałowała. Miała na ustach własne łyzy.

– Może coś ci podać? Wody? Lekarstwa?

Spojrzał jej w oczy.

– Potrzeba mi jedynie twego uśmiechu. Nie chcę niczego więcej.

– Zawsze będziesz go miał – obiecała. – Nawet w Pittsburgu, jeśli tego chcesz.

O ile nadal będzie ją chciał po tym, czego się dowiedziała o Earlu Stillwaterze i mamie.

– W Pittsburgu – powtórzył. – Moje miejsce jest tam, gdzie będziesz ty. Może to być nawet Eudena.

– Ale wydawało mi się, że mówiłeś...

– Wybuduję tu fabrykę. Dla miasta, którego nie doceniłbym, gdyby nie ty.

Beth Ann nie zdołała dłużej powstrzymać łez.

– W zamian proszę tylko o dwie rzeczy – ciągnął.

Skinęła głową.

– Co tylko chcesz.

– Po pierwsze, weź trochę wolnego i pozwiedzaj ze mną świat. Wielki Kanion, Hawaje, Paryż, Wenecję... Każdy zakątek, do którego ty i Eli zechcecie pojechać.

– Bardzo chętnie – stwierdziła i wyobraziła sobie, że będą prawie jak rodzina.

– No i jeszcze jedno. Wyjdź za mnie, Beth Ann. Tylko ciebie potrzebuję.

– Mnie i rolki taśmy klejącej.

Skrzywił się, bo gdy się śmiał, odzywała się rana. Zaraz jednak spowaźniał.

– Nie drażnij się ze mną, tylko powiedz, że mnie kochasz i za mnie wyjdiesz.

Westchnęła.

– Owszem, kocham cię i to bardzo. Kiedy widziałam, jak leżysz nieprzytomny i się wykrwawiasz, myślałam, że moje życie już nie ma sensu. Wiedziałam, że nie przeżyję, jeśli ty...

– Cicho, Beth Ann. Tylko znowu nie płacz. Zaciśnęła usta, starając się wziąć w garść.

– Posłuchaj, zanim coś zaplanujemy, muszę ci coś powiedzieć. A wtedy może... Może wcale nie będziesz chciał się ze mną ożenić.

Oczy Marka pociemniały.

– Jak to? Czego się dowiedziałas?

Rano mówiła, że wybiera się do dilerza w Wichita Falls po kopertę znaną w starym mercedesie matki. Co prawda skrytka w bagażniku była zamknięta na szyfrowy zamek, ale Beth Ann bezbłędnie odgadła właściwą kombinację.

Była to data wypadku sprzed szesnastu lat. W schowku znalazła dwa listy.

– Jeden list był od mamy, drugi od Earla Stillwatera. – Beth Ann przycupnęła na posłaniu obok Marka. – Napisał go do mamy, kilka tygodni po wypadku. Naszym wypadku.

Mark ostrożnie objął ją zdrowym ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Nie bój się, powiedz.

– Błagał ją o przebaczenie. Nie chciał, żeby komukolwiek stała się krzywda... Z wyjątkiem mojego ojca.

Mark spojrzał na nianie nie rozumiejącym wzrokiem.

– On... miał romans z moją mamą. Rozmawiali o... – Beth Ann z trudem zaczerpnęła tchu – o wspólnym wyjeździe. Mama nigdy nie traktowała tego poważnie, zarzekała się w swoim liście, ale Earl Stillwater – owszem. Uszkodził samochód ojca. Chciał przyspieszyć jego śmierć, żeby mama dostała pieniądze z ubezpieczenia i mogli zacząć nowe życie, gdzieś daleko od Eudeny.

– Uszkodził hamulce, tak? – domyślił się Mark. – Dlatego wóz nie reagował?

Beth Ann skinęła głową.

– Tak sądzę, chociaż nie napisał tego wyraźnie. Błagał tylko mamę o wybaczenie i zapewniał, iż rozumie, że zdecydowała się zostać ze mną, bo odniosłam poważne obrażenia.

– Cholerny egoista – mruknął Mark. – A twoja mama wiedziała, że to zrobił. Wiedziała przez tyle lat i milczała.

– Nie sądzę, żeby wiedziała, dowiedziała się dopiero z tego listu – zauważyła Beth Ann. – Napisała, że kiedy się dowiedziała, bała się, że oskarżają o współudział i że nikt jej nie uwierzy ze względu na jej... reputację. Najbardziej na świecie bała się więzienia, bo nie mogłaby się wówczas mną opiekować.

Mark milczał. Beth Ann mogła się tylko domyślać, jaki jest wściekły na myśl o latach za kratkami, gdzie trafił poniekąd za sprawą jej matki.

Beth Ann nie mogła dłużej wytrzymać przeciągającej się ciszy.

– Myliła się, wiem. Była nierozsądna i niemoralna, ale nigdy nie przyłożyłaby ręki do

morderstwa.

– Można to jednak określić jako zмовę milczenia.

– Powinna była to zgłosić, a nie ukrywać listu Earla przez tyle lat. Była słaba i samolubna, nie zdziwię się, jeśli ją znienawidzisz. Ale to moja matka, Mark, i mimo wszystko kochałam ją. Nadal Kocham i tęsknię za nią.

– Jestem wściekły, to fakt. Ale jej nie nienawidzę. Przecież to Lilly Decker pierwsza w tym mieście wyciągnęła do mnie rękę. A potem zapłaciła za swoje grzechy straszliwą cenę.

Beth Ann skinęła głową.

– Tak. Po wypadku zerwała z Earlem, ale kiedy wygrała w kasynie, zjawił się ponownie i twierdził, że teraz już mogą być razem, bo pieniądze nie stanowią problemu. Mama powiedziała mu wtedy, że zachowała jego list, i szantażem zmusiła, by się od niej odczepił. Niestety jakimś cudem dowiedziała się o wszystkim Ginny Stillwater.

– Ale jak?

– Nie wiem. Może śledziła męża, może coś w jego zachowaniu wydało jej się podejrzane, a potem męczyła go, aż wszystko wyznał. Wtedy straciła panowanie nad sobą i zabiła mamę.

– To była wariatka.

– Była chora. Naprawdę wierzyła, że Bóg do niej przemawia i każe popełniać te straszne czyny.

– Szkoda, że musiał ją zastrzelić jej własny syn. Biedny Damon. To porządny chłopak. Nie wiem, czy się z tym upora. Byłem niewiele od niego młodszy, gdy rozpętało się to piekło.

Beth Ann uściśnęła jego dłoń, poruszona, że po tym, co przeszedł, martwi się o innych. Choćby szukała tysiąc lat, nie znajdzie takiego drugiego faceta. Jak mogła pomyśleć, że przestanie ją kochać, gdy pozna sekret jej matki?

– Damonowi będzie jeszcze ciężiej, jeśli to wszystko wyjdzie na jaw – powiedziała. – Prawda o jego ojcu, o tym, że uszkodził samochód i dlaczego to zrobił.

Mark podniósł głowę.

– Powiedziałaś: jeśli?

Głęboko zaczerpnęła tchu i sięgnęła po torebkę, leżącą na krześle. Wyjęła z niej dwa listy i podała mu.

– Mark, wszystko w twoich rękach. Dużo myślałam o tym, co mi kiedyś powiedziałeś. Po co rozdrapywać stare rany? Earl i Ginny Stillwaterowie nie żyją, Morrell się zhańbił, Gene Calvert siedzi, Billy Hyatt też...

Mark skinął głową.

– Niemal wszyscy zapłacili wysoką cenę. A ci, których nie ukarał los, muszą żyć z nieczystym sumieniem – a to także kosztuje. Może więcej, niż nam się wydaje.

– Więc zostali tylko niewinni – dokończyła Beth Ann i zaczęła wyliczać: – matka Larindy, która musi się teraz uporać z aresztowaniem męża, rodzina Heidi Brown, biedny Damon i jego siostra. Ale ty sam cierpiełaś zbyt długo...

– Poradzę sobie – powiedział i podał oba listy na strzępy. – Poradzę sobie ze wszystkim, o ile będziesz przy mnie.

Ostrożnie usiadła koło niego. Jej serce przepełniały uczucia, na które już nie liczyła.

Objęła go i szepnęła:

– A zatem na zawsze, Jess. – Przypieczętowała tę obietnicę mocnym pocałunkiem, świadczącym o miłości tak nieskończonej jak bezkresne niebo nad prerią.

Podziękowania

Wiele osób wydatnie przyczyniło się do powstania tej książki. Po pierwsze, chciałabym podziękować agentce Helen Breitwieser i redaktorce Alicii Condon za entuzjastyczne wsparcie od samego początku.

Wiele osób pomagało mi przy zbieraniu materiałów i badaniach. Moja siostra, Connie Swarz, dyplomowana pielęgniarka związana z ruchem hospicyjnym South Jersey Healthcare Hospice-Care, stanowiła dla mnie źródło informacji na temat obowiązków pielęgniarki w hospicjum. Chris Samuelson, prawnik z Houston, był łaskaw podzielić się ze mną wiedzą na temat prawnych konsekwencji wypadków samochodowych ze skutkiem śmiertelnym. Wysoko sobie cenię także współpracę z Lindą Broday, pisarką z Wichita Falls, która ze szczegółami opowiedziała mi o życiu uroczego miasteczka Elektra w Teksasie. Serdecznie dziękuję wam wszystkim.

Dziękuję także pierwszym czytelnikom, moim najlepszym przyjaciółom, takim jak Patricia Kay, Jo Anne Banker, krytykom: Barbarze Taylor Sissel, Joni Rodgers, Wandzie Dionne, Lindzie Helman i Annie Slade.

I jeszcze jedno specjalne podziękowanie, dla Ingrid Hill, która opowiedziała mi o swoim psie imieniem Maia.